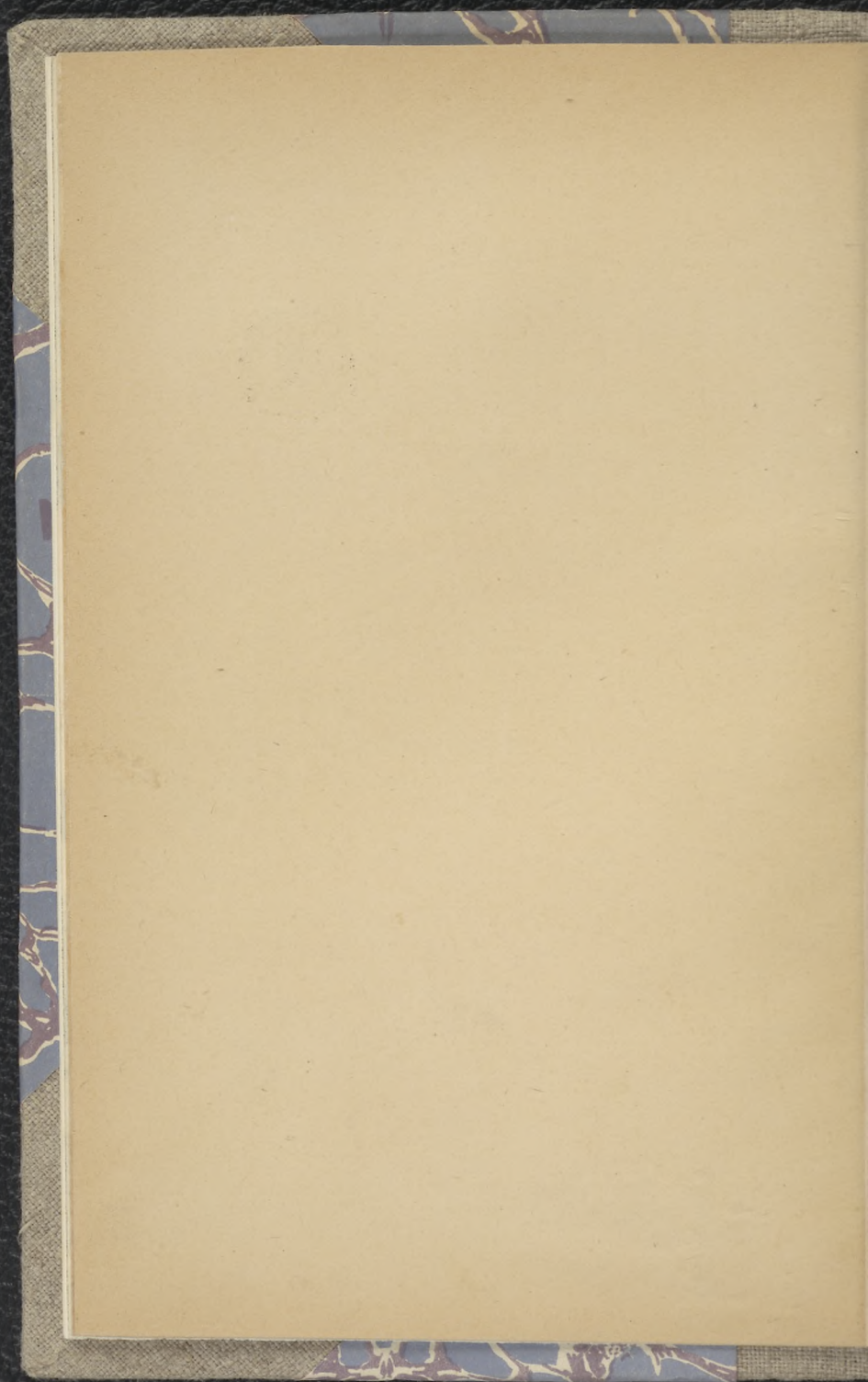


T 1.461.556







MARK TWAIN

YANKES NA DWORZE  
KRÓLA ARTURA

WARSZAWA - 1936

---

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

DRUKARNIA ARTYSTYCZNA  
WARSZAWA  
NOWY-ŚWIAT 47  
TELEFONY:  
635-80 i 635-83



I 1.461.556



1982 K. 1521/2

## KILKA SŁÓW WSTĘPU.

Z dziwnym człowiekiem, o którym zamierzam opowiedzieć, spotkałem się w warwickim zamku. Byłem oczarowany jego niewymuszoną prostotą, zdumiewającą znajomością starożytniej broni i wreszcie tem, że bez przerwy sam potrafił toczyć rozmowę, dzięki czemu towarzystwo jego nigdy nie stawało się uciążliwe. Z rozmowy, którą nawiązałem z nim, dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy. Słuchając jego płynnej, górnolotnej i wyszukanej mowy, miałem wrażenie, że przenoszę się do jakiejś oddalonej epoki, do dawno zapomnianych krajów. Gdy tak stopniowo osnawał mnie czarodziejską siecią swej gawędy, zdawało mi się, że widzę dookoła siebie, poprzez mgłę i patynę zamierzchłych czasów, jakieś majestatyczne widma i cienie, że mówię z cudem ocalałym rozbitkiem głębokiej starożytności. Zupełnie podobnie, jakgdybym ja mówił o swych najbliższych przyjaciółach i osobistych wrogach lub o swych sąsiadach — opowiadał o sir Bediverze, Bors de Ganisie, Lancelocie, rycerzu Jeziora, o sir Galahadzie i o innych wielkich imionach Okrągłego Stołu. Jakim starym, niewypowiedzianem starym, pomarszczonym i jakgdyby przyprószonym pyłem stuleci stawał się, gdy zagłębiał się w swe opowieści!

Pewnego razu, gdyśmy pod wodzą wynajętego przewodnika zaznajamiali się z historycznymi pałacami zamku, znajomy mój zapytał mnie najspokojniej w świecie, tak jak ludzie pytają zazwyczaj o pogodę:

— Czy słyszał pan coś o wędrówce dusz, o przenoszeniu się epok i ludzi?

Odpowiedziałem, że bardzo mało, nic prawie. Miałem wrażenie, że pograżony w zadumie nie słyszał, co mu odpowiedziałem i czy mu odpowiedziałem wogóle. Milczenie, które nastąpiło, przerwał monotony głos naszego przewodnika:

— Starożytna zbroja, pochodząca z szóstego stulecia, z czasów króla Artura i Okrągłego Stołu. Jak przypuszczają, zbroja należała do rycerza sir Sagramora le Desirousa. Niech Państwo zwrócą uwagę na okrągły otwór z lewej strony. Co do pochodzenia otworu nie mamy ścisłych wiadomości. Należy sądzić, że jest to późniejszy ślad po kuli któregoś z żołnierzy kromwellowskich.

Znajomy mój uśmiechnął się, — nie naszym zwykłym uśmiechem, lecz tak, jak się uśmiechano zapewne wiele, wiele lat temu, — i mruknął, jakgdyby mówiąc do siebie:

— Gadaj pan zdrow! Ja widziałem, jak powstał ten otwór. — I po chwili milczenia dodał: — Sam go zrobiłem.

Zanim przyszedłem do siebie po tem dziwnym oświadczeniu, już go nie było.

Cały ten wieczór spędziłem przy kominku, ozdobionym warwickskim herbem, zatopiony w marzeniach o zamierzczłych czasach, przysłuchując się wyciu wiatru w kominie i szemraniu deszczu, ściekającego kroplami po szybach. Od czasu do czasu zaglądałem do książki starego sir Tomasza Malory i rozkoszowałem

się jej niestworzonymi przygodami i cudownościami, upajając się aromatem starodawnych imion. Wreszcie postanowiłem już z pewną niechęcią udać się na spoczynek, gdy zastukano do drzwi mego pokoju i wszedł nowy mój znajomy. Powitałem go z prawdziwym zadowoleniem, podsunąłem mu krzesło i zaproponowałem fajkę. Poczem, gdy się rozsiadł, poczęstowałem go gorącą szkocką whisky i oczekiwałem ciekawej opowieści. Po czwartym łyku whisky gość mój zaczął spokojnie i niewymuszenie opowiadać.

## HISTORJA NIEZNAJOMEGO.

Jestem Amerykaninem. Urodziłem się i wychowałem w Hartfordzie, w stanie Connecticut, tuż nad rzeką. Jestem więc yankesem z krwi i kości i co za tem idzie, — kwintesencją praktyczności. Nie znam się tam na żadnych uczuciach i tym podobnych subtelnościach — innemi słowy, na poezji. Ojciec mój był kowalem, wuj — weterynarzem, ja zaś trudniłem się początkowo jednym i drugim. Po pewnym czasie jednak znalazłem sobie pracę w wielkiej fabryce broni i zostałem wkrótce jednym z najbardziej cenionych robotników. Nauczyłem się robić strzelby, rewolwery, armaty, a także kotły parowe i najrozmaitsze maszyny rolnicze. Brałem się, słowem, do wszystkiego i robota paliła mi się w rękę. Przytem, jeśli nie istniała ulepszona metoda robienia czegoś, to często gęsto sam na nią wpadałem i wszystko szło mi jak z płatka. Wkrótce zostałem mianowany głównym majstrem i miałem pod sobą dwa tysiące ludzi.

Otóż kiedy człowiek musi kierować dwoma tysiącami ludzi, to nie ma czasu na bawienie się w grzeczności i zajmowanie się t. p. faramuszkami. Różnie by-

wało. Wreszcie trafiła kosa na kamień i pewnego razu odpokutowałem za wszystko. Zdarzyło się to podczas sprzeczki z pewnym drabem, któregośmy nazywali Herkulesem. Chłop zdzielił mnie tak łomem przez głowę, że wydało mi się, iż moja czaszka pękła na dwoje jak orzech. W oczach mi pociemniało i straciłem przytomność.

Ocknąwszy się, zobaczyłem, że siedzę na trawie pod dębem, w jakiejś bardzo pięknej, ale zupełnie nieznaney mi miejscowości. Nade mną stał pochyłony jakiś dziwny człowiek, wyglądający tak, jakgdyby przed chwilą wyskoczył z ram obrazu. Był on zakuty od stóp do głów w żelazną starożytną zbroję i nosił na głowie coś w rodzaju beczułki, nabijanej gwoździami. W rękę trzymał tarczę i olbrzymią lancę, u boku miał miecz. Koń jego również był zakuty w stal, metalowy róg zawieszony był na jego szyi, a piękny czaprak i uzdy z czerwonego i zielonego jedwabiu zwieszały się niemal do samej ziemi.

— Waleczny rycerzu, czy nie zechciałbyś stoczyć ze mną walki? — zapytał mnie nieznajomy.

— Czegobym nie zechciał?

— Czy nie zechciałbyś się zmierzyć ze mną w obronie swej damy serca, ojczyzny lub...

— Czego sobie pan życzy ode mnie?! — zawołałem. — Ruszaj pan do swego cyrku, gdyż w przeciwnym razie zawezwę policję!

Usłyszawszy me słowa, nieznajomy uczynił coś niebywałego. Odjechawszy o kilka staj, zbliżył swą beczułkę do szyi wierzchowca, podniósł olbrzymią włócznię ponad głowę i ruszył na mnie z kopyta, mając najoczywistszy zamiar zetrzeć mnie z powierzchni ziemi. Zrozumiałem, że to nie żarty, i przy jego zbliżeniu się skoczyłem na równe nogi.

Wówczas człowiek oświadczył mi, że jestem jego własnością, jeńcem jego lancy. Wobec tego, że kij był aż nadto przekonywającym argumentem w jego ręku, wolałem nie protestować. Tym sposobem zawarliśmy umowę, na mocy której ja powinienem był iść za nim, on zaś miał poniechać wszelkich wrogich wystąpień przeciwko mnie. Nieznajomy ruszył przed siebie, ja zaś poważnie kroczyłem u boku jego konia. Droga prowadziła przez jakieś usypane kwieciami, poprzecinane strumieniami łąki, przez jakąś zupełnie mi nieznaną, bezludną okolicę, gdzie napróżno wypatrywałem czegokolwiek, przypominającego wędrowny cyrk. Zacząłem przypuszczać, że zwycięzca mój ma coś wspólnego nietyle z cyrkiem, co z domem warjatów. Nie napotykalismy jednakże niczego w tym rodzaju. Ostatecznie, przerwałem ciszę i zapytałem mego towarzysza, jak daleko jesteście od Hartfordu. Okazało się, że nigdy nie słyszał o takiej nazwie. Aczkolwiek byłem przekonany, że kłamie, szedłem dalej, nie wypowiadając swego zdania. Mniej więcej po upływie godziny ujrzałem jakieś miasto, malowniczo położone nad brzegiem krętej rzeki. Obok miasta, na wzgórzu, wznosiła się wysoka szara twierdza, zdobna w bastjony i wieżyczki, jakie zdarzało mi się dotąd oglądać tylko na ilustracjach.

— Bridgeport?—zapytałem nieznajomego, wskazując na miasto.

— Camelot, — odpowiedział.

— — — — —

...Widocznie znajomego mego opanowała senność, gdyż skinąwszy mi głową i uśmiechając się swoim patetycznym, starodawnym uśmiechem, rzekł:

— Trudno mi opowiadać dalej; lecz jeśli się Pan przejdzie do mnie, dam Panu książkę, w której znajdziesz opis całej tej historii.

Początkowo pisałem pamiętnik, — ciągnął, gdyśmy się znaleźli w jego pokoju — później zaś, po kilku latach, opracowałem swe notatki. O, jakże dawno to było!

Nieznajomy wręczył mi spory rękopis i wskazał od którego miejsca mam czytać.

— Niech Pan rozpocznie stąd, poprzednie jest już Panu znane, — rzekł, żegnając się ze mną i wyraźnie wpadając w coraz większą senność.

Byłem już za drzwiami, gdy usłyszałem mamrotanie: — Śpij dobrze, szlachetny sirze!

Usadowiłem się przy kominku i zacząłem badać swój skarb. Pierwsza część rękopisu — ciężki zeszyt — była pisana na pergaminie i zupełnie pożółkła od starości. Zbadawszy uważnie arkusz, przekonałem się, że jest to palimpsest. Pod starem, bladym pismem yankesa znać było ślady starszego jeszcze i jeszcze bardziej niewyraźnego pisma — łacińskie słowa i uwagi: widocznie pozostałości starożytnych, klasztornych kronik. Otworzyłem pamiętnik w miejscu wskazanem przez dziwnego nieznajomego i pogrążyłem się w czytaniu.



## I. CAMELOT.

Camelot, Camelot, — powtarzałem. — Nie, stanowczo nie przypominam sobie takiej nazwy. Prawdopodobnie nazwa domu warjatów.

Cichy, letni pejzaż, delikatny jak maizenie i wyludniony, jak fabryka w niedzielę, roztaczał się przed nami. Powietrze, przesiąknięte aromatem kwiatów, pełne było śpiewu ptaków i brzęczenia owadów, dookoła zaś nie było widać ani ludzi ani pociągów, żadnego ruchu, żadnego znaku życia.

Zamiast drogi biegła zwyczajna ścieżka, wydeptana przez mnóstwo końskich kopyt, — zaś z obu stron jej widniały w trawie ślady kół, szerokości dłoni.

Woddali ukazała się drobna figurka dziewczynki lat dziesięciu; fala złotych włosów rozsypała się po jej plecach, na głowie nosiła wianek z jaskrawo szkarłatnych maków. Ubrana była w coś bardzo ładnego.

Tego rodzaju odzież widziałem po raz pierwszy w życiu. Szła spokojnie i beztrosko z wyrazem absolutnego spokoju na niewinnej twarzyczce. Człowiek z cyrku nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi, jakgdyby jej wcale nie spostrzegł. I ona również nie spojrzała na jego fantastyczny ubiór, jakgdyby przyzwyczajona była od dawien dawna do takiej odzieży. Przeszła obok nas z taką obojętnością, z jaką się przecho-

dzi koło dwóch krów. Lecz kiedy wzrok jej wypadkiem zatrzymał się na mnie, maleństwo osłupiało.

Z podniesionemi do góry rękoma, z szeroko otwartymi ustami i rozwartemi, pełnemi zdziwienia i przestachu oczyma mała kobietka była uosobieniem zgrozy i ciekawości. Nie zmieniała tej pozycji i stała, jak kamienny posąg, dopókiśmy nie skręcili do lasu i nie stracili jej z oczu. Jeśli poniekąd mi to pochlebiało, to równocześnie i dziwiło w najwyższym stopniu, że dziewczynka patrzała na mnie właśnie, nie zaś na mego towarzysza. Poświęcając mi tak wiele uwagi, zapomniała zupełnie o swym własnym wyglądzie, co jest zaletą, ogromnie rzadko spotykaną wśród tak młodych stworzeń. Tak, to wszystko dawało mi wiele do myślenia; szedłem przed siebie, jak we śnie. W miarę tego, jakeśmy się zbliżali do miasta, zaczęliśmy spotykać coraz więcej objawów życia. Po drodze napotykalśmy małe, nędzne lepianki, kryte słomianymi strzechami i otoczone niewielkimi polami i ogródkami. Koło chatek przesuwali się ogorzali ludzie o długich spletanych włosach, które spadając w nieładzie na twarz, czyniły ich podobnymi do zwierząt. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety nosili ordynarne płócienne koszule, sięgające kolan, na nogach mieli coś w rodzaju grubych sandałów, wielu zaś z nich nosiło na szyi żelazne naszyjniki. Dzieci biegały zupełnie nago, lecz zdawało się, że nikt tego nie spostrzega. Wszyscy ci ludzie patrzyli na mnie, mówili o mnie i wbiegali do chat, by sprowadzić swych domowników i pokazać im mą osobę. Jednocześnie nikt nie czynił uwag na temat zachowania się i stroju mojego towarzysza, wprost przeciwnie, kłaniano mu się uniżenie i nikt nie żądał odeń wytłumaczenia jego postępowania.

Pośród małych nędznych chatek tam i sam wznosiły się wielkie domy kamienne, pozbawione okien.



## II. DWÓR KRÓLA ARTURA.

Na szczęście udało mi się znaleźć odpowiednią chwilę i wyslizgnąć się z pod opieki swego towarzysza. Zbliżywszy się do jakiegoś starszego człowieka, — jak można było wnosić — niskiego pochodzenia, uderzyłem go po ramieniu i zapytałem najbardziej ugrzecznonym, na jaki mnie stać było, głosem:

— Powiedźcie mi z łaski swej, przyjacielu, czy was również umieszczono w tym domu, czy też przyszlście kogoś tu odwiedzić, lub może w innym jakim interesie?...

Staruszek spojrzał na mnie z najwyższem zdumieniem:

— Doprawdy, szlachetny panie, nie wiem, co chcesz powiedzieć, wydaje mi się...

— Rozumiem, — odezwałem się ze współczuciem — jesteście jednym z chorych.

Odszedłem, nie przestając rozmyślać o tem wszystkim i rozpatrując wszystkich przechodniów w nadziei, czy aby nie trafi się ktoś, ktoby mi dopomógł zorientować się w tej dziwacznej sytuacji. Wreszcie wydało mi się, że trafiłem na odpowiedniego człowieka. Odprowadziwszy go na bok, szepnąłem mu na ucho:

— Czy nie mógłbym się zobaczyć z zarządzającym szpitala na jedną chwilkę tylko...

— Słuchaj-no, puść mnie, u licha.

— Puścić was?

— A więc, nie przeszkadzaj mi, jeśli to słowo bardziej do ciebie przemawia...

Poczem wyjaśnił mi, że jest kuchmistrem i że wobec tego nie ma czasu na gadaninę, choć wogóle nic nie ma przeciwko temu, aby czasem sobie trochę pogaworzyć o tem i o owem; szczególnie, chciałby się dowiedzieć, skąd wytrzasnąłem sobie taki dziwaczny ubiór. Nie czekając jednak odpowiedzi, rozejrzał się dookoła i wskazał na człowieka, który, jak widać, nic nie miał do roboty i który sam nie był od tego, żeby się ze mną zapoznać. Był to szczupły, eteryczny chłopak w wąskich czerwonych spodenkach, które czyniły go podobnym do rozdwojonej marchwi. Górna część jego ubioru była z niebieskiego jedwabiu, ozdobiona wytwornym koronkowym kołnierzem i takimi samymi mankietami. Na długich złocistych lokach młodzieniec nosił kokieteryjną różową czapeczkę z wąskim piórem. Znać było po oczach, że jest dobrym chłopcem, a z wesołości jego można było wywnioskować, że jest zadowolony z siebie i z życia.

Doprawdy w ubiorze tym było mu tak ładnie, że robił wrażenie malowanki. Zbliżywszy się do mnie, uśmiechnął się i zaczął rozpatrywać mnie z nieco bezczelną ciekawością. Poczem przedstawił mi się, mówiąc, że jest paziem i z miejsca zasypał mnie gradem pytań. Po kilku chwilach gawędził ze mną w sposób dziecinny i tak niewymuszony, jakgdyby już od lat był moim przyjacielem. Rozpytywał mnie szczegółowo o wszystko, co się tyczyło mnie oraz mego ubioru, i nie czekając odpowiedzi, przeskakiwał z tematu na temat. Między innymi wspominał, że się urodził na

początku 513 roku. Obląłem się zimnym potem. Przerwałem mu i nieśmiało zapytałem:

— Przepraszam cię, przyjacielu, w jakim roku powiedziałeś, żeś się urodził?

— W 513.

— W 513 roku! Nic nie rozumiem! Posłuchaj, mój drogi chłopcze, jestem cudzoziemcem i nikogo tu nie znam, bądź ze mną szczerzy i otwarty. Powiedz mi, czy jesteś przy zdrowych zmysłach?

Odpowiedź brzmiała, że najzupełniej.

— A ci wszyscy ludzie dookoła są również zdrowi?

Znowu nastąpiła twierdząca odpowiedź.

— A więc w takim razie to ja zwarzjowałem lub też zdarzyło się ze mną coś niesamowitego. Ale przypuśćmy, że nie jest to dom warjatów, może mi powiesz, dokąd w takim razie trafiłem?

— Do zamku Króla Artura — brzmiała odpowiedź.

Przeczekawszy chwilę, by się oswoić z tą myślą, rzekłem:

— Dobrze, jakież więc rok mamy teraz według ciebie?

— Pięćset dwudziesty ósmy, dziewiętnasty czerwca.

Serce mi się ścisnęło gdy pełen rozpaczy uprzytomniłem sobie, że nigdy, nigdy już nie ujrzę swych przyjaciół, — wszyscy oni przyjdą na świat dopiero za trzydzieści stuleci!

Zdaje się, że uwierzyłem chłopakowi, sam nie wiem dlaczego. Coś mi szeptało, że to prawda, pomimo że mój rozsądek nie mógł się z tem wszystkim pogodzić i głośno przeciw temu protestował. Nie wiedziałem, jak się ustosunkować do okoliczności oraz do

ludzi, którzy mnie otaczali. Rozum mój uważał ich za obłąkanych, wbrew wszelkiej oczywistości. Zupełnie nieoczekiwanie i przypadkowo przypomniałem sobie pewną rzecz: wiedziałem, że jedyne większe zaćmienie słońca w pierwszej połowie VI-go stulecia miało miejsce 21 czerwca 528 roku i rozpoczęło się trzy minuty po południu. A więc, o ileby starczyło mi sił na przeżycie 48 godzin w tych warunkach, mógłbym się przekonać ile prawdy mieści się w słowach chłopca. Tak czy inaczej, będąc praktycznym obywatelem Connecticut'u, odłożyłem rozstrzygnięcie tej najbardziej palącej dla mnie kwestji do oznaczonego dnia i godziny. Tymczasem zaś, biorąc pod uwagę istniejący stan rzeczy, postanowiłem sobie wyciągnąć zeń jak najwięcej korzyści. Rozumowałem jak następuje: o ile teraz istotnie jest w. XIX i znajduję się w domu warjatów, skąd przez pewien czas nie uda mi się uwolnić, to mogę z łatwością stanąć na czele tego zakładu, jako najbardziej zdrowo myślący osobnik z pośród wszystkich jego mieszkańców.

W przeciwnym zaś razie, jeżeli przeniosłem się dziwnym cudem rzeczywiście w VI-e stulecie, to muszę się zadowolić projektami, wymagającymi nieco więcej czasu: za jakie trzy miesiące będę mógł rządzić całym krajem, jako najbardziej wykształcony człowiek tego czasu, urodzony o 1300 lat później od wszystkich, istniejących tu w obecnej chwili. W każdym bądź razie, nie należę do ludzi, marnujących czas, z chwilą gdy wszystko obmyśliłem, zacząłem z miejsca działać.

— A więc mój drogi Klarensie, jeśli tak brzmi w rzeczywistości imię twe — zwróciłem się do chłopca — czy nie zechciałbyś mi wyjaśnić tego i owego? Jak np. nazywa się ten człowiek, który mnie tu przyprowadził?

— Chcesz się zapewne spytać, jak się nazywa nasz wspólny pan? Jest to wielki lord Key, szlachetny rycerz i mleczny brat władcy naszego, Króla Artura.

— Bardzo dobrze, a teraz opowiedz mi o wszystkich i o wszystkim, co się tu dzieje!

Paź opowiedział mi bardzo wiele, lecz najważniejszą dla mnie wiadomością było co następuje.

Według słów jego byłem jeńcem sir Keya i zgodnie z panującym zwyczajem zostanę wrzucony do lochu, w którym pozostanę dopóty, dopóki moi przyjaciele nie wykupią mnie lub też dopóki nie zgniję. Wiedziałem, że to ostatnie jest bardziej prawdopodobne, lecz nie miałem czasu na długie rozmyślenia, gdyż nie wolno było tracić ani chwili. Następnie paź mi oświadczył, że obecnie kończy się obiad w wielkiej sali zamku. Kiedy się już wszyscy upiją i rozwesela, sir Key każe mnie sprowadzić, ażeby przedstawić Królowi Arturowi oraz wspaniałym rycerzom Okrągłego Stołu. Później sir Key zacznie opowiadać, jak mnie wziął do niewoli, przyczem będzie wyolbrzymiał i przekręcał do niemożliwości całe zdarzenie. Lecz oczywiście, że z mojej strony będzie nietylko nieprzyzwoite, ale i niebezpieczne dla mego życia poprawiać go. Po tej ceremonji zostanę wreszcie wtrącony do podziemia. Lecz Klarens przyrzekł mi, iż się postara odwiedzić mnie, pocieszyć i spróbuje powiadomić moich przyjaciół o mojem nieszczęściu.

— Da znać moim przyjaciołom!!!

Podziękowałem mu, bo cóż innego pozostawało mi do zrobienia. W tej samej chwili zjawił się sługa i wezwał mnie na salę. Klarens zaprowadził mnie tam i wskazawszy mi miejsce nauboczu, usiadł sam tuż przy mnie.

Widowisko, które się przedemną roztaczało, god-



ne było uwagi. Znajdowałem się w olbrzymim pomieszczeniu o zupełnie nagich ścianach, pełnem krzyczących kontrastów. Rozmiary jego były tak gigantyczne że chorągwie zawieszane na belkach pod stropem ledwo majaczyły w półmroku. U góry ze wszystkich stron ciągnęły się kamienne galerje; na jednych z nich siedzieli muzykanci, na drugich kobiety w krzyczących pstrych sukniach. Podłoga była wyłożona białymi i czarnymi płytami, startemi od czasu i użycia i wymagającemi naprawy. Co się tyczy ozdób, to, ściśle mówiąc, nie było ich wcale, chociaż gdzieś niegdzie na ścianach wisiały olbrzymie dywany, uważane tu zapewne za dzieła sztuki. Na dywanach wyobrażone były bitwy, przyczem konie przypominały podobne wyroby z pierników lub wycinanki, robione przez dzieci. Zbroję wojaków wyobrażały białe plamy, tak, że wkońcu walczący ludzie łudzaco przypominali ciastka z serem.

Piec w sali był tak wielki, iż można w nim było śmiało staczać walki. Jego kamienny okap oraz kamienne kolumny przypominały wejście do katedry.

Wzdłuż ścian stali żołnierze w pancierzach i hełmach z halabardami na ramieniu, nieruchomi jak posągi i bardzo do posągów podobni. Pośród tej sali w postaci olbrzymiego krzyża mieścił się dębowy stół, który to właśnie nosił miano Okrągłego Stołu. Był on wielki jak arena w cyrku. Dokoła niego siedzieli ludzie, ubrani w tak pstre i błyszczące ubiory, że aż świerzbiło w oczach. Wszyscy mieli na sobie kapelusze z piórami, które zdejmowali wtedy tylko, gdy zaczęli mówić z królem.

Większość z nich piła z bawolich rogów, ale niektórzy zjadali przytem chleb lub ogryzali kości pieczeni. Psów było tu tyle, że na człowieka wypadało conajmniej po dwa. Leżały one u nóg biesiadników,

czekając na kości, na które się hurmem rzucały. Naturalnie wszczyniała się zażarta walka, przy akompaniamencie takiego ujadania, ryku i hałasu, iż niepodobna było ciągnąć dalej rozmowę. Ale nikt nie wykazywał z tego powodu zniecierpliwienia, — odwrotnie — wszyscy chętnie przerywali biesiadę, by z napiętą uwagą śledzić walkę psów. Podnoszono się z miejsc, ażeby lepiej widzieć, damy i muzykanci zwieszali się w tym samym celu poprzez balustradę.

Od czasu do czasu komuś z obecnych wyrwał się okrzyk entuzjazmu i uznania. W końcu zwycięzca wygodnie rozciągał się na ziemi i, zlekka jeszcze warcząc, gryzł zdobytą kość, a z nią razem i podłogę, co czyniły również i inne psy, zwycięzcy w poprzednich walkach. Przy stole wznawiały się z powrotem przerwane rozmowy.

Naogół mowa i zachowanie się tych ludzi było względnie delikatne i uprzejme. Jak spostrzegłem, wysłuchiwali oni z powagą i uważnie mówiącego, naturalnie w przerwach pomiędzy żarciem się psów. Lecz, niestety, mieli oni wspólne cechy z dziećmi, mianowicie — kłamali. Kłamali ze zdumiewającą wprawą i z niemniej zdumiewającą niezręcznością, życzliwie wysłuchując przytem cudzych fantastycznych opowiadań i biorąc najbardziej wierutne łgarstwa za czystą monetę. Nie można było nazwać ich okrutnikami lub ludźmi krwiożerczymi, ale tem nie mniej opowiadali oni z taką szczerą przyjemnością o krwawych przygodach i zadanych przez się mękach, że nawet ja zapomniałem przytem się wzdrygnąć.

Nie byłem tu jedynym jeńcem.

Prócz mnie było tu jeszcze przeszło dwudziestu. Nieszczęśliwi! Większość z nich była straszliwie pokaleczona, pomasakrowana i poraniona! Na włosach ich, na twarzy i na ubraniu widniały ślady spiekłej

krwi. Bezwątpienia, ludzie ci przechodzili przez potrójną mękę: zmęczenia, głodu i pragnienia. Ale nikt im nie współczuł, nikt nie dbał o nich, nikt nie pomyślał, że należy obmyć rany i przynieść im przynajmniej jakąkolwiek ulgę. I nikt również nie usłyszał od nich najmniejszej skargi, najlżejszego jęku i nie widział nawet śladu cierpień.

Mimowoli i ja dałem się opanować okrutnej myśli:

„Kanalje, przecież podobnie postępowaliście i wy ze swymi jeńcami, teraz na was przyszła kolej. Wasz filozoficzny spokój i hart nie jest skutkiem duchowej i intelektualnej siły, lecz gruboskórnością i bydlęcym brakiem wrażliwości. Jesteście białymi indjanami”.

### III. RYCERZE OKRĄGŁEGO STOŁU.

Przy Okrągłym Stole po większej części nie rozmawiano, lecz wypowiadano monologi — rozwlekłe sprawozdania z tego, jak rozmaici jeńcy zostali wzięci do niewoli, a ich przyjaciele zabici lub pozbawieni rumaków i uzbrojenia. W gruncie rzeczy ze wszystkiego, co opowiadano, można było wywnioskować, że te wszystkie mordy i krwawe potyczki nie były dokonywane w celu zemsty lub obrony, ani nawet nie były porachunkiem za dawne obrazy. Naogół były to zwykłe pojedynki pomiędzy zupełnie obcymi sobie ludźmi, którzy przedtem się nigdy nie widzieli i nie żywili do siebie najmniejszej urazy.

Kiedys, dawnemi czasy, zdarzało mi się widzieć nieznających się zupełnie chłopców, którzy spotkawszy się, mówili jednocześnie: „A wiesz, mógłbym cię pobić, gdybym zechciał!” i z miejsca wszczynali bójkę. Lecz dotychczas byłem przekonany, że tego rodzaju rzeczy mogą się dziać jedynie między dziećmi. Tutaj zaś ni z tego ni z owego naskakiwały na siebie olbrzymie dorosłe draby. I nie bacząc na to, było coś pociągającego, coś miłego w tych wielkich prostodusznych stworzeniach. Piękny męski wyraz miały twarze nieomal wszystkich tych ludzi, — na niektórych zaś prócz tego odzwierciedlały się dobroć i majestat, wo-

bec których znikąła chęć krytyki i potępienia. Szczególnie odbijały od innych wyrazem szlachetności oblicze i postać tego, którego nazywano tu Galahadem oraz męska postać samego króla i sir Lancelota.

To, co się zdarzyło po obiedzie, zwróciło uwagę wszystkich na tego ostatniego rycerza. Na znak osoby, pełniącej tu funkcję mistrza ceremonji, sześciu czy ośmiu jeńców powstało i wystąpiło naprzód. Przyklękawszy i podniósłszy ręce w kierunku galerji, gdzie siedziały damy, błagali o łaskę przemówienia do królowej. Jedna z dam, zajmująca według wszelkich pozorów najbardziej wysokie stanowisko, z wdziękiem skinęła głową na znak zgody. Wówczas człowiek, przemawiający w imieniu jeńców, zdał siebie oraz swych towarzyszy na jej łaskę i niełaskę, prosząc aby obdarzyła ich wolnością lub pozwoliła im złożyć wykup, jeśli zechce, lub też aby kazała rzucić ich do lochu, albo skazać na śmierć, jeśli taka jest jej wola. Stoją zaś tu oni wszyscy z rozkazu sir Keya, który dzięki swej cudownej sile, odwadze i waleczności zwyciężył ich w rycerskiej walce i uczynił ich swoimi jeńcami.

Zdumienie odmalowało się na wszystkich twarzach. Łaskawy uśmiech królowej ustąpił miejsca wyrazowi rozczarowania, gdy tylko usłyszała imię sir Keya, a paż zjadliwie szepnął mi na ucho:

— Sir Key, rzeczywiście! Nazwiesz mnie osłem, jeżeli spotkasz kiedykolwiek i gdziekolwiek takiego łgarza jak on!

Wszystkie spojrzenia zwróciły się z wyrazem surowego zapytania ku sir Key'owi. Lecz ten nie drgnął nawet i jako zręczny gracz nieoczekiwanem posunięciem zaszachował swych przeciwników. Powiedział, że będzie odtwarzał tylko nagie fakty, nie komentując ich zupełnie, poczem dodał:

— Jeżeli będziecie uważali, iż należy kogokolwiek słać i złożyć mu hołd, złożycie go temu, którego ramię zawsze uważane było za najbardziej potężne i którego tarcza i miecz nie zostały jeszcze nigdy zwyciężone — temu, który siedzi tutaj, wśród was! — Przytem rycerz wskazał na sir Lancelota.

Teraz sir Key zaczął opowiadać o tem, jak sir Lancelot podczas swych samotnych wędrówek w krótkim czasie zabił siedmiu wielkoludów i oswobodził z niewoli sto czterdzieści dwie uwięzione damy, poczem wyruszył dalej w poszukiwaniu przygód, bez przerwy walcząc, aż spotkał jego (sir Keya) rozpaczliwie i beznadziejnie walczącego przeciwko dziewięciu cudzoziemskim rycerzom. Sir Lancelot sam jeden napadł na nich i ich zwyciężył. Tej samej nocy sir Lancelot włożył na siebie zbroję sir Keya, zabrał jego konia i wyruszył w dalszą podróż. Wkrótce zwyciężył on szesnastu rycerzy w jednej walce i trzydziestu czterech w drugiej. Wszystkim im wraz z poprzednimi dziewięcioma rozkazał niezwyciężony rycerz udać się na Zielone Świątki na dwór króla Artura, zdać się na łaskę i niełaskę królowej Ginewry po uprzedniem oświadczeniu, że są jeńcami sir Keya.

Oto jest tu sześciu z pośród tych jeńców, a reszta stanie przed królewskim obliczem, kiedy zagoją się ich rany.

Jakim silnym rumieńcem płonęło oblicze królowej, jak radośnie się uśmiechała i jakie wymowne spojrzenia rzucała sir Lancelotowi, spojrzenia, któreby rycerz przypłacił zapewne życiem w Arkanzasie. Wszyscy zachwycali się odwagą i szlachetnością sir Lancelota, co do mnie zaś to nie mogłem się dość wydziwić sile tego człowieka, który sam jeden, bez wszelkiej pomocy, wziął do niewoli i zwyciężył cały oddział takich doświadczonych szermierzy. Wyraziłem swe

zdumienie Klarensowi, który wybuchł takim śmiechem, że aż się zatrzęsło czerwone pióro na jego czapczce.

— O, gdyby sir Keyo'wi pozostawiono dość czasu i gdyby opróżnił jeszcze jeden dzban kwaśnego wina, wówczas wszystkie te liczby wzrosłyby z pewnością w dwójnasób!

Spojrzałem niedowierzająco na chłopca i nagle spostrzegłem, że wzrok jego wyrażał głęboką rozpacz. Odwróciwszy się, ujrzałem sędziwego starca o długiej siwej brodzie, odzianego w czarne obszerne szaty, który w tej właśnie chwili wstał z za stołu i chwiejąc się i trzęsąc starą słabą głową, wpatrywał się we wszystkich obecnych mętnemi oczyma. Ten sam cierpiący wyraz, który zauważyłem na twarzy pazia, zjawił się również na twarzach wszystkich obecnych. Był to wyraz pokornego stworzenia, które musi cierpieć bez jęku.

— Mój Boże! — rzekł chłopak — znowu rozpocznie tę samą historję, którą już opowiadał tysiąc razy w jednych i tych samych słowach i którą będzie opowiadał zawsze, aż do samej śmierci. Będzie to opowiadał za każdym razem dopóty, dopóki jego dzban będzie pełny i dopóki będzie mógł obracać językiem.

— Kto to taki? — zapytałem.

— Merlin — wszechmocny łgarz i czarownik, niech go djabli porwą z jego przeklętym opowiadaniem! Lecz tutaj wszyscy lękają się go, gdyż w jego rękach są grzmoty i błyskawice i wszystkie duchy piekielne są powolne jego rozkazom. Dawno już powinny były przegryźć mu wnętrzności i zetrzeć go w proch wraz z jego bujdami! Opowiada on zawsze o sobie w trzeciej osobie, ażeby upewnić wszystkich co do swej skromności i braku zarozumiałości. Niech będzie

przeklęty i niech spadną nań wszystkie nieszczęścia!!  
Drogi przyjacielu, obudź mnie, gdy zadzwonią na od-  
wieczarz.

Chłopiec oparł się o me ramię i przygotował się do spoczynku; starzec rozpoczął opowiadanie. Chłopiec w istocie momentalnie zasnął, zasnęły również psy, cały dwór, słudzy i żołnierze. Rozbrzmiewał tylko równy, monotony głos, a dookoła odpowiadało mu łagodne, harmonijne chrapanie biesiadników, przypominające miarowy akompanjament dętych instrumentów. Niektórzy oparli głowy na złożonych rękach, drudzy mieli głowy zarzucone wtył z szeroko rozwartymi ustami.

Muchy brzęczały i dokuczały wszystkim bez przeszkody, szczury powyłaziły ze setek dziur i szczelin i biegały wszędzie, czując się jak u siebie w domu. Jedna z myszy usiadła niby wiewiórka na głowie króla i, trzymając w podniesionych łapkach kawałek sera, z bezwstydnym zuchwalstwem rzucała mu w twarz ogryzki. W tem wszystkim było coś uspokajającego, coś, co skłoniło ku spoczynkowi zmęczone oczy i umysł. Oto co opowiadał czarnoksiężnik:

„Tak wyruszyli w drogę król i Merlin i jechali, dopóki nie napotkali pustelnika, który był poczciwym człowiekiem i świetnym lekarzem. Zbadał on rany króla i podarował mu cudotwórczą maść. Król pozostał tam przez 3 dni, dopóki nie zagoiły się jego rany, a gdy mógł już dosiąść konia, wyruszył w drogę. Kiedy tak jechali, król Artur rzekł: — Nie mam miecza. — To nic — odpowiedział Merlin — zaraz znajdziemy miecz, który będzie twoim.

Tak jechali dalej, dopóki nie dojechali do bardzo wielkiego jeziora, którego woda była nadzwyczaj przezroczysta. Z fali jeziora wyłoniła się ręka, odziana w białą brokatową rękawicę, ręka ta dzierżyła



przepiękny miecz. — Oto jest ten miecz — rzekł Merlin — o którym mówiłem. — W tej samej chwili ukazała się dziewczica, wychodząca z głębi jeziora. — Kim jest ta dziewczica? — zapytał Artur. — Dziewica ta jest królową jeziora — odpowiedział Merlin. Na dnie tego jeziora znajduje się skała i jest tam tak dobrze, jak nigdzie na świecie. Dziewica ta zaraz podejdzie do ciebie i wtedy poprosisz ją uprzejmie, żeby ci ofiarowała miecz. I rzeczywiście dziewczica podeszła do Artura i serdecznie go powitała, na co król odpowiedział tem samem i zapytał: „Piękna dziewczico, co za miecz trzyma ta ręka nad wodą, chciałbym go wziąć sobie, gdyż własnego nie posiadam”. „O sir, królu Arturze, ten miecz należy do mnie i dam ci go, jeżeli spełnisz moją prośbę” — odrzekła dziewczica. „Przysięgam, że dam ci zań wszystko, czego zapragniesz!” „Dobrze, tam stoi łódka, wsiaź więc do niej i wiosłuj w kierunku miecza i weź go sobie wraz z pochwą, a w swoim czasie zażądam zań wynagrodzenia”. Wówczas sir Artur i Merlin zsiadli z koni, uwiązali je do drzew, wsiedli do łódki i dojechali do miecza, który trzymała ręka. Sir Artur wziął miecz za rękojeść i wyjął go z ręki, która natychmiast znikła pod wodą. Potem wyszli na brzeg, dosiedli koni i pojechali dalej. Wówczas sir Artur zobaczył bogaty zamek. „Do kogo należy ten wspaniały zamek?” — zapytał towarzysza. — „Jest to pałac ostatniego rycerza, z którym walczyłeś, imieniem sir Pellynor. Ale jego samego niema w domu. Jest on poróżniony na śmierć z jednym z rycerzy, ze szlachetnym Egglamenem. Stoczyli już oni ze sobą walkę i w końcu Egglamen uciekł, gdyż w przeciwnym razie postradałby życie. Pellynor ściga go aż do Karlionu i zapewne spotkamy go w drodze”. „To dobrze” — rzekł Artur — „mam teraz miecz, mogę walczyć i w ten sposób się zemścić”. „O sir, nie powi-

nienes tego czynić!" — powiedział Merlin — „bowiem rycerz jest znużony walką i pościgiem i nie będzie dla ciebie zaszczytem zwyciężyć go. Posłuchaj mojej rady, przepuśćmy go w spokoju, a wkrótce ci się przyda, zaś po jego śmierci przydadzą się również jego synowie. Niebawem przyjdzie czas, kiedy oddasz za niego swoją siostrę". „Kiedy go zobaczę, postąpię według twojej rady" — powiedział Artur. Następnie sir Artur zaczął oglądać swój miecz i ogromnie się nim zachwycał: „Co ci się bardziej podoba" — zapytał Merlin — „miecz czy pochwa?" „Miecz" — rzekł Artur. „Źle wybrałeś" — powiedział Merlin — „pochwa jest warta dziesięciu mieczy, ponieważ dopóki masz przy sobie pochwę, nigdy nie osiągnie cię wróg, nigdy nie zostaniesz ranny, zawsze wobec tego miej ją przy sobie". Tak jechali w kierunku Karlionu i po drodze spotkali sir Pellynora. Lecz Merlin uczynił tak, żeby Pellynor nie dojrzał Artura i bez słowa przejechał koło nich. „To dziwne" — powiedział Artur — „że rycerz nic nie mówił". „Sir" — odrzekł Merlin — „on nie widział nas, bo gdyby widział toby nie przejechał w milczeniu". W ten sposób przejechali do Karlionu, gdzie rycerzy ogromnie ucieszyło ich przybycie. A gdy usłyszeli o ich przygodach, ogromnie się dziwili, że król naraża swą osobę na takie niebezpieczeństwo. Lecz później wszyscy mówili, że wielkim szczęściem jest posiadać króla, który naraża swe życie narówni ze zwykłymi rycerzami".

#### IV. SIR DINADAN ŻARTOWNIS.

Mnie osobiście ogromnie się spodobała ta oryginalna i ładnie opowiedziana bajka, lecz słyszałem ją przecież po raz pierwszy; zapewne równie dobre wrażenie czyniła na innych, dopóki się nie znudziła.

Tymczasem sir Dinadan, zwany Żartownisem, obudził się pierwszy i obudził innych żartem może niezbyt skomplikowanym, ale który tutaj, jak się okazało, zdobył sobie powszechne uznanie. Przywiązawszy do ogona jednego z psów metalowy kocioł, wypuścił go z rąk. Pies w śmiertelnym przestachu popędził przed siebie, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, przerażony latał z kąta do kąta, mając za sobą całą psiarnię i wywołując nieopisany hałas uderzeniami kotła o podłogę, przyczem przewracał wszystko, co napotkał po drodze. Powstał prawdziwy chaos. Ten hałas, harmider i bieżanina obudziły wszystkich i wszyscy dookoła, damy i rycerze, pokładali się ze śmiechu, śmieli się do łez, w paroksyzmie śmiechu spadając z krzeseł i tarzając się po podłodze. W owych chwilach w zupełności przypominali dzieci. Co do sir Dinadana to ów, zachwycony swym pomysłem, aż do zupełnego ochrypnięcia i z coraz nowemi szczegółami opowiadał o tem, jak ten nieśmiertelny pomysł przyszedł mu do głowy. Jak wszyscy żartownisie te-

go rodzaju, sir Dinadan śmiał się sam ze swego kawału najwięcej i najdłużej ze wszystkich. Powodzenie tak go wbiło w dumę, że zdecydował się wygłosić mowę. Wydaje mi się, że przez całe życie nie słyszałem tylu starych, oklepanych dowcipów, co w tej mowie. To było coś gorszego od zawodzenia wędrownego żebraka i od kawałów kłowna w prowincjonalnym cyrku. Było jakoś niewymownie smutno siedzieć tyśiąc trzysta lat przed własnym narodzeniem i słuchać nędznych, płaskich, politowania godnych dowcipów, które nie wydawały mi się śmieszne już za czasów mego dzieciństwa.

Ale tu widocznie były one ostatniem słowem humoru, wszyscy słuchając tych starożytności zrywali sobie boki ze śmiechu, z czem zresztą zdarzało mi się nieraz spotykać i w późniejszych, współczesnych mi czasach. Nie śmieszyły one tylko mego sąsiada pazia, a raczej śmieszyły w tym sensie, że nie było tu słowa, któregooby nie wysmiał i człowieka, z któregooby nie kpił. Twierdził on, że przeważna część żartów sir Dinadana zbutwiała od starości, pozostała zaś skamieniała. Określenie „skamieniała” bardzo mi się spodobało, — zauważyłem nawet, że tego rodzaju dowcipy należałoby odnieść do jednego z geologicznych okresów. Lecz zdaje się, że ten mój dowcip nie znalazł najmniejszego oddźwięku, gdyż geologja w owych czasach nie została jeszcze stworzona. Biorąc to wszystko pod uwagę, postanowiłem ucywilizować ten kraj i zmienić wszystko do gruntu, rozumie się, jeśli mi się uda szczęśliwie wy dostać z tej opresji.

Teraz wstał sir Key: tym razem ja zostałem wzięty w obroty. Opowiedział, jak mnie spotkał w dalekim kraju barbarzyńców, gdzie wszyscy moi ziomkowie byli ubrani w taki sam śmieszny ubiór. Ubiór ten jest zaczarowany i broni tych, którzy go

noszą, od wrogiej broni. Jednakowoż przy pomocy Boskiej udało mu się zniweczyć czary i zabić w trzygodzinnej walce trzynastu rycerzy, towarzyszących mi, a mnie wziąć do niewoli, przyczem darował mi życie, by mieć możliwość pokazania mnie królowi i rycerzom Okrągłego Stołu, jako niespotykanego dziwu. Mówiąc o mnie sir Key używał przez cały czas mnóstwa pochlebnych dla mnie określeń w rodzaju: „ten potworny olbrzym“, „to okropne straszidło wielkości baszty“, „ten ludożerca o olbrzymich kłach“ i t. p. Wszystkie te epitety wymawiał z niezwykle naiwną wiarą, bez najlżejszego uśmiechu i zdawało się, że rycerze istotnie nie spostrzegają jawnej dysproporcji pomiędzy temi określeniami a mną.

Dalej opowiadał, że ratując się od niego, jednym susem wskoczyłem na drzewo wysokości dwustu łokci, lecz strącił mnie stamtąd kamieniem wielkości krowy, który pogruchotał mi wszystkie kości, wreszcie sprowadził mnie tutaj, aby zaprezentować na dworze króla Artura. Skończył na tem, iż wydał na mnie wyrok śmierci, który miał być wykonany dwudziestego pierwszego czerwca w południe. Powiedział to przytem tak obojętnie, że nawet zatrzymał się, by ziewnąć, zanim wymienił datę. Czułem się przez cały czas bardzo nieszczególnie, nie bardzo nawet byłem w stanie przysłuchiwać się sporom co do tego, jakiego rodzaju śmierć ma mi przypaść w udziale. Spór wynikł z powodu czarów, zawartych w mem ubraniu. Ubranie moje było najzwyczajniejsze w świecie, kupione w konfekcyjnym magazynie za piętnaście dolarów. Jednakowoż miałem na tyle przytomności, by zwrócić uwagę na jeden niezmiernie ciekawy szczegół; oto znaczna część słówek i wyrażań, używanych między innemi przez to szlachet-

ne zebranie najlepiej urodzonych dam i gentlemanów kraju, była tego rodzaju, że słuchając ich, spłonąłby rumieńcem najgorszy włóczęga. Wyraz: nieprzyzwoitość byłby o wiele za słaby dla określenia tonu tej rozmowy. Tymczasem wszyscy byli tak zafrasowani czarodziejskimi właściwościami mojego ubrania, że nie mogli się poprostu uspokoić, dopóki Merlin nie wpadł na istotnie prosty i naturalny pomysł i nie poradził poprostu ściągnąć ze mnie ubranie.

W mgnieniu oka byłem nagi jak język! Rozpatrywano mnie i debatowano na temat mojej osoby tak obojętnie, jakgdybym był nie człowiekiem, lecz głową kapusty. Królowa Ginewra nawet z naiwnem zaciekawieniem studjowała moją figurę i wreszcie oświadczyła, że u nikogo jeszcze nie widziała tak ładnych nóg jak moje. Koniec końców zostałem odesłany do jednego pomieszczenia, a moje nieszczęsne ubranie do drugiego. Wrzucono mnie do podziemia, dano nędzne resztki obiadu, zgniłą wilgotną słomę zamiast pościeli i wreszcie mnóstwo szczurów jako towarzystwo.

## V. NATCHNIENIE.

Byłem tak znużony, że nawet strach, który przeżyłem, nie przeszkodził mi z miejsca zasnąć.

Obudziłem się z wrażeniem, że spałem bardzo długo. „Jaki dziwaczny sen mi się przyśnił” przemknęło mi przez głowę. Wydaje się, że obudziłem się w porę zanim zdecydowano czy mnie należy powiesić, utopić, spalić, czy coś w tym rodzaju... Utnę sobie jeszcze małą drzemkę aż do gwizdka, potem pójdę do fabryki i biada Herkulesowi!”

Lecz w tej samej chwili usłyszałem przykrą muzykę zardzewiałych kajdanów i ciężkich zasuw, nagle oślepiło mnie światło kagańca i Klarens stanął przede mną. Patrzałem nań ze zdumieniem, oddech sparło mi w piersiach.

— Jaktó! — zawołałem — jeszcze jesteś tu! zniknij wreszcie z resztkami snu! rozplyń się!

Lecz paż tylko śmiał się swym lekkomyślnym śmiechem i wyraźnie się szykował do kpin z mej rozpaczliwej sytuacji.

— Więc dobrze — wyrzekłem głośno — niech sen trwa dalej, nie będę się śpieszył.

— Ależ na Boga, jaki sen?

— Jaki sen! Dobrze sobie, czyż nie jest snem, że jestem na dworze Króla Artura — osoby, która

nigdy nie istniała i że rozmawiam z tobą, który również nie jesteś niczem innym, jak tylko płodem mej wyobraźni.

— Oho! tak sądzisz!? A to że cię spala, — to według ciebie też jest snem? Odpowiedzno na to!

Wstrząs, którego doznałem, był zbyt wielki. Teraz dopiero zacząłem rozumieć, jak poważne jest moje położenie bez względu na to, czy ma ono miejsce we śnie czy na jawie. Wiedziałem z doświadczenia i ze swego tak łudząco podobnego do rzeczywistości snu, że być spalonym nawet we śnie nie jest bynajmniej żartem i z tego względu należy się starać tego uniknąć wszelkimi możliwymi sposobami.

— O, Klarensie — zwróciłem się błagalnie do swego gościa — drogi chłopcze jedyny mój przyjacielu, przecież nie myślę się myśląc, że jesteś moim przyjacielem? Nie porzucaj mnie, dopomóż mi uciec stąd, uratować się!

— No nareszcie oprzytomniałeś! uciec? Ale jakże to zrobić, kiedy wszystkie wyjścia są strzeżone przez straż?

— To prawda, to prawda, Klarensie, ale czy tych strażników jest tak wielu, — może damy sobie z nimi radę?

— Jest ich dwudziestu, o ucieczce niema mowy! I po chwili milczenia dodał z wahaniem: Widzisz są jeszcze inne przeszkody i to bardzo poważne.

— Jeszcze inne, ale jakie?

— Widzisz, mówią że... Ale nie, ja nie śmiem, doprawdy nie śmiem tego powiedzieć!

— Ale o co chodzi wreszcie, mój biedny chłopcze? dlaczego się wahasz, dlaczego tak drżysz?

— O, doprawdy postanowiłem ci odkryć tę tajemnicę, powinienem ci to powiedzieć, ale...



— „Ale”, mówże, mów, bądź wreszcie mężczyzną! Powiedz!

Paź wahał się i zwlekał, walcząc pomiędzy strachem a chęcią wypowiedzenia się przede mną z tajemnicy. Następnie podszedł na palcach do drzwi, wysunął głowę i nadsłuchiwał. Wkońcu wrócił, przycisnął się do mnie i zaczął opowiadać swoje okropne nowiny, czyniąc to z taką obawą i przestraszonym, jakby samo mówienie o tych rzeczach groziło śmiercią.

— Otóż wiedz, że Merlin, będąc ci niechętnym, oczarował to podziemie i teraz w całym państwie nie znajdzie się człowiek, któryby się ośmielił przestąpić jego progi wraz z tobą.

Teraz, zlituj się, Panie Boże, nade mną, powiedziałem ci wszystko! Ale bądź dobry dla mnie, zlituj się nad biednym chłopcem, który ci dobrze życzy. Jeżeli mnie zdradzisz, zginąłem!

Kamień spadł mi z serca. Dawno się już nie śmiałem tak serdecznie, jak w tej chwili. Wreszcie, ulżywszy sobie, zawołałem:

— Merlin oczarował podziemie! Merlin to zrobił!

Ten nikczemny stary szarlatan, ten stary mamroczący osioł!? Paradne! Doprawdy z niczem bardziej idjotycznym od tej historii nie spotkałem się jeszcze w życiu...! O, przekłety Merlin...

Ale Klarens nie dał mi skończyć, padł na kolana i zdawało się, że ze strachu gotów jest dostać pomieszania zmysłów.

— O zlituj się wymawiasz straszne słowa! mury mogą przywalić nas za nie, cofnij je, dopóki nie za późno, cofnij te bluźnierstwa, bo zginiemy!

Ten dziwaczny incydent naprowadził mnie na dobrą myśl i skłonił do zastanowienia się. Je-

żeli wszyscy tutaj tak szczerze i do głębi duszy, jak Klarens, boją się Merlina, uważając go za wszechmocnego czarodzieja, to czy nie możnaby z tego wyciągnąć pewnych korzyści? Idąc dalej w tym kierunku, wyrobiłem sobie pewien plan.

— Wstań, rzekłem do Klarensa, przyjdź do siebie i spójrz mi w oczy. Czy wiesz, z czego się śmiałem?

— Nie, lecz na najświętszą Marję Pannę zaklinam cię, byś tego więcej nie czynił?

— Dobrze, powiem ci jednak dlaczego się śmiałem. Dlatego, że sam jestem czarnoksiężnikiem.

— Ty?! — chłopiec cofnął się, oszołomiony mem oświadczeniem, drżąc na całym ciele. Lecz zarazem spoglądał na mnie z coraz większym szacunkiem. Zanotowałem to sobie. Widocznie szarlatan odrazu mógł się stać sławny w tem państwie kretynów. Ten naród był gotów wierzyć wszystkiemu na słowo. Ciągnąłem dalej:

— Znałem Merlina siedemset lat temu i wtedy on...

— Siedemset?...

— Nie przerywaj mi! Umierał i zmartwychwstał od tego czasu trzysta razy i podróżował coraz to pod nowem imieniem: Emith, Jehn, Robinson, Jakobson, Peters, Gaskin, Merlin — za każdym razem nowe zmyślane imię.

Znałem go trzysta lat temu w Egipcie, pięćset lat temu w Indjach, spotykałem go wszędzie na swej drodze, był on wszędzie, gdzie tylko się zjawiłem i przyznam się, że mi się już mocno naprzykrzył. Operuje on tylko kilkoma starymi od dawien dawna wszystkim znanymi sztuczkami i już od setek lat nie jest w stanie zdobyć się na coś nowego; słowem, jako czarownik nie wart jest moich podeszew. Nadawał-

by się może dla występów na prowincji, lecz nie jest w stanie wytrzymać konkurencji z prawdziwym czarownikiem. A teraz, Klarensie, bądź oddanym mi przyjacielem, a nie pożałujesz tego. Musisz mi teraz oddać przysługę; chciałbym, żebyś powiedział Królowi, iż jestem wielkim magiem, że imię me brzmi Chaj - Ju - Mukamuk. Że jestem wodzem plemienia czarodziejów i sprowadzę na kraj wasz straszne klęski, jeżeli stanie się zadość woli sir Keya, t. j. jeżeli choć jeden włos spadnie mi z głowy. Czy zgadzasz się donieść o tem Królowi?

Biedny chłopak był w takim stanie, że z trudem tylko mógł się zdobyć na odpowiedź. Żal było prostu patrzeć na to biedne stworzenie — wystraszone, rozstrojone i zupełnie zdezorientowane. Klarens solennie przyrzekł wypełnić moje polecenie, ja zaś ze swej strony musiałem mu kilkakrotnie przyobiecać, że pozostanę jego przyjacielem, że nigdy przeciw niemu nic złego nie powezmę i nie skieruję nigdy przeciw niemu swych czarów. Potem podreptał ku wyjściu, ślaniając się jak chory.

Teraz dopiero zrozumiałem, jaki byłem nieostrożny! Kiedy chłopiec oprzytomnieje, przede wszystkim musi mu przyjść do głowy, jakim sposobem tak wielki czarodziej mógł prosić taką istotę bez znaczenia, jak paż, o dopomożenie mu w wydostaniu się z lochu. Zestawiwszy me słowa z rzeczywistością zobaczy, jak na dłoni, że jestem zwykłym szarlatanem.

Około godziny rozpaczalem z powodu swej nieostrożności i obsypywałem siebie samego krociami najordynarniejszych wymysłów. Lecz później wpadło mi przypadkowo na myśl, że przecież te bydłeta, nie posiadające najmniejszej inteligencji, nie potrafią rozumować. Nigdy nic nie zestawiają ze sobą i nie-

logiczności nie istnieją dla nich, widać to ze wszystkiego, com dotąd zaobserwował i słyszał.

Wobec tego uspokoiłem się i czekałem. Lecz ten spokój natychmiast zmałała nowa troska. Toż popełniłem jeszcze jeden błąd nie do naprawienia. Przekonałem chłopca o swojej wszechmocy i poleciłem mu obwieścić o mym zamiarze zesłania klęski na kraj. Przypuśćmy, że zaczną ze mną pertraktować i zapytają jaką klęską im grożę? Tak, bezwzględnie popełniłem niewybaczalny błąd. Co należało zrobić przedewszystkiem, to wymyśleć tę klęskę!

Co teraz począć? czy będę w stanie wymyśleć coś w ciągu tak krótkiego czasu? Byłem okropnie wzburzony... Lecz oto słyhać kroki! Idą. Boże mój, jeśli mi w tej chwili udało się coś wymyśleć...

Eureka! Mam! wymyśliłem! teraz wszystko jest w porządku... Zaćmienie. Myśl o niem przyszła mi do głowy w ostatecznym momencie. W ten sam sposób, w jaki uratowało ono Kolumba, Korteza i innych ludzi w podobnem do mojego położeniu, podobnie ocali i mnie. I pomysł mój wyzyskania zaćmienia nie będzie nawet plagjatem, ponieważ skorzystam zeń o tysiąc lat przed nimi. Klarens wrócił smutny i przygnębiony.

— Pośpieszyłem ze zleceniem twem do króla i zostałem przyjęty przez niego natychmiast.

Król przeląkł się ogromnie i chciał cię uwolnić i ubrać w najlepsze szaty, jakie przystoi nosić tak wielkiemu człowiekowi, lecz przyszedł Merlin i wszystko popsuł. Zapewniał on króla, że jesteś obłąkany i że słowa twoje są bredniami szaleńca. Król i Merlin długo się sprzeczali, dopóki ten ostatni nie powiedział drwiąco: „Czy przynajmniej wymienił on tę klęskę, którą nas straszy? Najwidoczniej nie jest w stanie tego uczynić!” To powiedzenie odrazu

zamknęło królowi usta, gdyż nie mógł się nie zgodzić ze słusnością jego słów. A więc król nie chce ciebie rozgniewać, lecz prosi, byś nie odmówił mu i odkrył jakiego rodzaju będzie to nieszczęście i kiedy się zdarzy. O. błagam cię nie zwlekaj! Zwlekać w obecnej chwili, to znaczy utysiaćkrotnieć niebezpieczeństwo, które ci i tak grozi! Bądź że miłosierny i nazwij tę klęskę!

Milczałem przez pewien czas, by wrażenie się jeszcze wzmogło:

— Kiedy zostałem wrzucony do tego lochu?

— Wczoraj o zmierzchu, teraz jest dziesiąta rano.

— Nie może być! To znaczy, że niezgorzej spałem. Dziesiąta rano. Do północy może zajść jeszcze wiele komplikacyj. Czy dziś jest dwudziesty?

— Tak, dwudziesty.

— A jutro mam być spalony żywcem?

Chłopiec milcząco skinął głową.

— O której?

— W samo południe.

— Więc teraz słuchaj uważnie, co masz powiedzieć.

Przez długą chwilę zachowywałem złowróżbne milczenie. Potem zacząłem mówić głębokim, miarowym głosem sędziego, odczytującego wyrok, stopniowo podnosząc głos do najbardziej patetycznego i uroczystego napięcia. Słowo daję, grałem swą rolę tak, jakgdybym przez całe życie się niczem innym nie zajmował.

— Pójdź i donieś królowi, że w chwili, gdy wydam ostatnie tchnienie, zniknie słońce i świat się pograży w głębokim czarnym mroku.

Zaćmię słońce i ono już nigdy nie będzie wam świecić. Wszystkie płody ziemi zgniją z braku ciepła i światła, a ludzie wymrą co do jednego z głodu i chłodu!

Zmuszony byłem na rękach wynieść zemdlonego chłopca.

Oddałem go straży i wróciłem do siebie.

## VI. ZAĆMIENIE.

Wśród ciszy i półmroku, panującego w podziemiach, pomysł mój wydawał mi się coraz bardziej realny. Fakt nie przemawia do nas, dopóki się o nim tylko wie, lecz z chwilą, gdy się zaczyna ucieleśniać, nabiera jaskrawych i żywych kolorów rzeczywistości. Inaczej się przyjmuje wiadomość o czymś zabójstwie, a inaczej się reaguje na widok krwi. W ciszy i ciemności fakt, że się znajduję w śmiertelnym niebezpieczeństwie coraz głębiej przenikał do mojej świadomości, cał za całem przedostawał się do najdalszych zakątków mego jestestwa. Lecz przezorna przyroda zawsze tak wszystko urządza, że w ostatniej chwili, gdy już człowiek pogrąża się ostatecznie w otchłań rozpacz, zjawia się jakiś promień nadziei, który go budzi do życia. Znowu zjawia się radość życia i energja, która pobudza do przedsięwzięcia wszystkiego, co jest w ludzkiej możliwości, dla ratowania własnego życia. Odżyłem w jednej chwili. Zaćmienie uratuje mnie i uczyni główną osobą w państwie. Ożywienie me wzrastało a wraz z niem wracała beztroska i pewność siebie. Czułem się teraz najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Z niecierpliwością czekałem na dzień jutrzejszy,

chcąc zostać świadkiem własnego tryumfu i stać się przedmiotem szacunku i podziwu całego kraju.

Nie ulega wątpliwości, że człowiek z głową na karku nigdy nie przepadnie.

Tymczasem w głębi mej świadomości powstała nowa myśl. Przecież, kiedy ci zabobonni ludzie dowiedzą się, jakiego rodzaju czynem im zagrozam, zechcą z całą pewnością wejść ze mną w układy.

W tej samej chwili usłyszałem dźwięk zbliżających się kroków i myśl o transakcji całkowicie zawładnęła mym umysłem. „Doskonale, powiedziałem sobie, już idą proponować mi swoje warunki”. Jeżeli będą mi odpowiadały, to je przyjmę, jeśli zaś nie, to wszystko postawię na jedną kartę.

Drzwi szeroko się rozwarły, weszło kilku żołnierzy. Dowódca ich powiedział:

— Stos gotów. Chodź za nami!

— Stos!!!

Cała odwaga opuściła mnie w jednej chwili, tchu mi zabrakło, omal nie zemdlałem. Kiedy odzyskałem mowę, zapytałem:

— Ale przecież to pomyłka, egzekucja jest wyznaczona na jutro.

— Rozporządzenie zostało zmienione. Karę śmierci przeniesiono na dziś, spiesz się!

Zginałem! Nie było ratunku. Straciłem głowę i rzucałem się z kąta w kąt w swej ciemnej klatce. Wreszcie żołnierze schwycili mnie i zaczęli pchać ku wyjściu. Przy pomocy szturchańców przeprowadzili mnie nieskończonym labiryntem korytarzy aż do wyjścia. W pierwszej chwili zostałem oślepiiony jaskrawym dziennym światłem. W chwili, gdyśmy weszli na obszerny, ze wszystkich stron ogrodzony, dziedziniec zamku, opanowałem się, widząc stos przygotowany pośrodku dziedzińca. Obok leżał rozrzucony suchy



chróst, a w kilku krokach od stosu stał mnich. Z czterech stron dziedzińca wznosiły się amfiteatralnie położone rzędy ław.

Król i królowa, siedzący na tronach, zwracali na siebie powszechną uwagę. Wszystko to spostrzegłem w oka mgnieniu. Bo już po chwili z jakiejś wnęki wyslizgął się Klarens, podbiegł do mnie i zaczął mi szeptać na ucho mnóstwo nowin. W oczach jego świeciła radość i tryumf.

— To dzięki mnie rozkaz został zmieniony, bardzo trudno było dojść z nimi do ładu, lecz przedstawiłem im cały ogrom klęski i udało mi się ich nastraszyć. Wtedy zacząłem ich przekonywać, że twoja władza nad słońcem osiągnie pełnię dopiero jutro, wobec czego, jeżeli chcą ustrzec się przed nieszczęściem, to powinni się ciebie pozbyć dziś dopóki twa czarodziejska moc nie jest w stanie dokonać groźnego czynu. Rzecz jasna, że to wszystko było błagą, moją własną fantazją, lecz żebyś widział, jakie to wywarło na nich wrażenie. Nieżywi ze strachu, gotowi byli uważać mą radę za głos z nieba. W pierwszej chwili pękałem ze śmiechu, że tak łatwo mi przyszło ich nabrać, lecz później zacząłem dziękować Bogu za to, że zechciał powołać mnie, małe mizerne stworzenie do uratowania twego życia. Ach, jak teraz będzie dobrze! już niema potrzeby niszczyć blasku słonecznego. Zrób tylko krótkotrwałą ciemność, tylko na chwilę zaciemnij słońce, a później przywróć je ziemi. To będzie zupełnie dostateczna kara dla nich. Naturalnie spostrzegą, że mówiłem nieprawdę, ale pomyślą, że nic nie wiem, i to mi nie zaszkodzi. Kiedy tylko najmniejszy cień padnie na słońce zaczną warjować ze strachu, uwolnią ciebie i zostaniesz wielkim człowiekiem. Więc spiesz się, przyjacielu, lecz pamiętaj, błagam cię, pamiętaj o mojej prośbie i nie niszcz słońca!

Przybity ogromem własnego nieszczęścia, zaledwie mogłem wymówić kilka słów i pocieszyć go, iż słońce będzie nadal świecić, jak świeci. Jego błagalny wzrok, pełen miłości i trwogi, wzruszył mnie nawet w tej chwili, nie miałem wprost odwagi powiedzieć mu, że jego nierozsądny postępek jest przyczyną mojej śmierci. Dopóki straż prowadziła mnie przez dziedziniec, dookoła panowała tak idealna cisza, że gdybym był ślepy, mógłbym myśleć, że idę przez pustynię, nie zaś przez plac wypełniony kilkoma tysiącami osób. W tym olbrzymim tłumie nie można było spostrzec najmniejszego ruchu, wszyscy byli bladzi i zastygli nieruchomo jak posągi. Przerazenie widniało na każdej twarzy. To samo milczenie trwało, gdy mnie przywiązywano do słupa, gdy skrupulatnie męcząco długo układano chróst wokół moich nóg, kolan i całego mego ciała. Nastąpiła martwa cisza, jeszcze większa, niż wprzód, o ile to jest możliwe, — kiedy człowiek schylił się ku moim nogom z płonąca pochodnią. Wszyscy wyciągnęli szyje naprzód i wstali z miejsc zupełnie tego nie spostrzegając. Mnich podniósł ręce nad moją głowę, zwrócił oczy ku lazuruwemu niebu i zaczął wymawiać jakieś łacińskie słowa. Trwając nadal w tej pozycji nagle zaczął się jąkać coraz bardziej i bardziej aż wkońcu zamilkł. Czekałem przez pewien czas napół omdlały i wreszcie spojrzałem na niego. Stał jak wryty. Tłum cały zerwał się z miejsca i zwrócił wzrok ku niebu. Poszedłem za ogólnym przykładem. Moje zaćmienie się rozpoczęło! To było nie mniej pewne, niż to, że istnieję. Serce znowu mocniej zaabiło mi, czułem się jak nowonarodzony. Czarna plama powoli nasuwała się na słoneczny dysk, serce me biło coraz silniej i silniej, a całe zebranie wraz z mnichem wciąż nieruchomo patrzyło w górę. Wie-

działem, że niebawem te osłupiałe spojrzenia skierują się na mnie. Byłem na to przygotowany. Przybrałem majestatyczną pozę i wyciągnąłem rękę ku słońcu. Efekt był zdumiewający. Dreszcz naksztąpił fali przebiegł po tłumie. Rozdarły się dwa okrzyki, jeden po drugim:

— Podpalić stos!

— Zabraniam!

Pierwszy wydarł się z ust Merlina, drugi z ust króla.

Merlin zerwał się z miejsca, ażeby chwycić pochodnię. Wówczas odezwałem się:

— Niech wszyscy pozostaną na swoich miejscach. Jeżeli choćby jeden człowiek ośmieli się zrobić krok, to zabiję go piorunem i spalę błyskawicą!

Tłum pokornie powrócił na swoje miejsca. Zaczekałem jeszcze chwilę. Czułem się, jak na rozżarzonych węglach. Ale Merlin również się wahał. Odetchnąłem. Obecnie byłem panem sytuacji. Król zwrócił się do mnie:

— Zlituj się, bądź miłościw nam, szlachetny sir, dość już tych okrutnych prób, połóż kres klęsce. Powiedziano mi, że twoja potęga osiągnie pełnię dopiero jutro, ale...

— Ale Wasza Wysokość nie pomyślała, że to doniesienie może być kłamliwe? Tak, — ono było kłamliwe!

Oświadczenie moje wywołało ogromne wrażenie. Zewsząd wyciągano ręce do króla, błagając, by nie liczył się z ceną i zażegnał nieszczęście. Król bez sprzeciwu godził się na wszystko.

— Wymień swe warunki, o sir, gotów ci jestem dać choćby połowę swego królestwa, połóż tylko kres swemu gniewowi i zostaw nam słońce!

Los mój został rozstrzygnięty. W jednej chwili udało mi się opanować ten wielotysięczny tłum. Lecz powstrzymać zaćmienia nie mogłem i dlatego poprosiłem o parę chwil namysłu.

— Czy prędko, czy prędko dobry panie? — błagalnie pytał król. — Bądź szlachetny, mrok zgęszcza się z chwili na chwilę. Proszę cię, nie zwlekaj.

— Prędko. Może godzina, może pół godziny. Ze wszech stron dały się słyszeć protesty, lecz nie mogłem skrócić terminu, gdyż nie pamiętałem, jak długo trwa pełne zaćmienie. Znowu znalazłem się w trudnej sytuacji, wymagającej namysłu.

Było coś dziwnego w tem nieoczekiwanem zaćmieniu, które przyszło mi z pomocą. Jeżeli nie było ono tem, które miało miejsce w VI wieku, to miałyby to wszystko znowu okazać się tylko snem? Mój Boże, gdyby istotnie tak było! Wstąpiła we mnie nowa nadzieja. Jeżeli chłopiec powiedział prawdę, że dziś jest dwudziesty, to teraz nie jest VI stulecie.

Szturchnąłem mnicha i zapytałem, którego dzisiaj mamy? Przekleństwo!!! Odpowiedział, że jest dwudziesty pierwszy! Poczułem, jak cierpnie mi skóra. Zapytałem, czy się nie myli, lecz mnich był pewien swego. Ten lekkomyślny smarkacz wszystko pokręcił! właśnie tego dnia miało być zaćmienie, właśnie teraz się rozpoczynało i było w tej chwili bliskie pełni. A więc, byłem na dworze króla Artura i nic mi nie zostawało innego, jak pogodzić się z tym faktem, wyciągając zeń wszystkie możliwe konsekwencje.

Tymczasem ciemność wzrastała coraz bardziej i bardziej. Wśród zebranych tłumów dawał się odczuwać coraz większy niepokój.

— Wasza Królewska Mość! — odezwałem się wreszcie po namyśle. — Ażeby dać należyta na-

uczkę, przeciągnę mrok i zesłę go na całą ziemię, lecz czy wrócę słońce, czy też zgładzę je na wieki, to będzie zależało tylko od Waszej Królewskiej Mości. Oto moje warunki. Królu Arturze, będziesz nadal władał całym państwem i nadal naród będzie obowiązany składać ci hołdy należne twojej godności. Lecz żądam, żebyś mianował mnie swym dożywotnim zarządcą i wykonawcą królewskich rozporządzeń i abys polecił wypłacać mi 1% z przyrostu wszelkich dochodów państwa, które mam nadzieję ci dostarczyć. W razie, gdyby suma okazała się niedostateczną, obowiązuję się nie żądać podwyżki. Czy przyjmiesz te warunki?

Ryk tłumu i szalony wybuch oklasków były odpowiedzią na moje propozycje. Nad krzykami górował głos króla, mówiącego:

— Zdejmijcie zeń sznury! zwolnijcie go! składajcie mu hołdy możni i ubodzy, gdyż staje się od dziś prawą ręką króla, a miejscem jego będzie najwyższy stopień tronu! Rozpędź teraz ten okropny mrok, zwróć nam światło i radość, a cały świat będzie cię błogosławił!

Lecz na to odpowiedziałem:

— Nic to, jeśli zwykły śmiertelnik zostanie po hańbion przed wszystkimi, lecz hańba temu królowi, którego minister nago stoi przed ludem! Rozkaż więc przedewszystkiem, żeby przyniesiono moje ubranie!

— Ono nie jest godne ciebie — przerwał mi król. — Przynieście mu inną odzież, włóżcie nań książęce szaty.

Przez cały ten czas myśl moja uporczywie pracowała. Musiałem wymyślić szereg przeszkód, gdyż w przeciwnym razie zaczną ponownie mnie prosić, bym powrócił słońce i oczywista nie będę w stanie

tego uczynić... Ceremonja ubierania zajęła pewien czas, ale tego było mało. Wymyśliłem nową zwłokę. Powiedziałem, że nie przystoi królowi zmienić dane już raz przezeń rozporządzenie lub żałować obietnicy i dlatego daję mu jeszcze czas do namysłu i z tego powodu przedłużam ciemność. Po upływie pewnego czasu król potwierdzi swoje postanowienie i wówczas mrok zniknie. Wszyscy protestowali przeciwko mojej decyzji, lecz twardo przy niej stałem.

Mrok stawał się coraz gęstszy i czarniejszy, gdy wkładałem na siebie szaty VI stulecia. Nastąpiła zupełna noc, zimny wiatr przeleciał nad tłumem, zabłyśły gwiazdy na niebie i dookoła zabrzmiały okrzyki przerażenia i rozpacz. Zaćmienie już było w pełni i popłoch bez przerwy się wzmagał. Wówczas rzekłem:

— Król milczeniem potwierdza swoje obietnice. Podniosłem ręce trzymając je przez pewien czas ponad głową, poczem rzekłem przerażająco uroczystym głosem:

— Zdejmuję czary i niech przeminie klęska!  
Chwilę jeszcze panował mrok i grobowa cisza. Ale oto po chwili ukazał się złoty brzeżek słońca i tłum zaczął wznosić okrzyki wdzięczności, zachwytu i błogosławieństwa. Należy dodać, że wśród ludzi wznoszących okrzyki na moją cześć, Klarens nie odegrał ostatniej roli.

## VII. WIEŻA MERLINA.

Ponieważ byłem drugą osobą w państwie i reprezentowałem zarówno władzę polityczną, jak i wszelką inną, przeto składano mi hołdy, odpowiadające memu wysokiemu stanowisku. Ubrano mnie w odzież z jedwabiu i aksamitu, haftowaną złotem, co czyniło ją ogromnie niewygodną. Na skutek konieczności jednak, przędko się do tej niewygody przyzwyczaiłem. Co do pomieszczenia — to wyznaczono dla mnie w pałacu najpiękniejsze komnaty, ustępujące przepychem jedynie królewskim apartamentom. Było w nich duszno od jedwabnych zasłon na oknach, pstrych i krzyczących. Na podłodze jednak zamiast dywanów leżała najrozmaitszych rodzajów trzcina.

Co się zaś tyczy najbardziej elementarnych wygód, to były one tu całkiem nieznanne. Masywne dębowe krzesła były coprawda ładne, ale siedzenie na nich traktować należało jedynie jako łagodny rodzaj tortur. Ani mydła, ani zapalek, ani lustra tu nie znano. Miast tego ostatniego używano metalowych blatów, lecz przeźrzeć się w nich można było mniej więcej z tem samym powodzeniem, co w misce z wodą.

I przytem — ani jednej chromo-litografji! Gdy byłem na fabryce sam zajmowałem się tą sztuką i przyzwyczaiłem się ją niejako uważać za część samego sie-

bie. Smutek mnie ogarniał, gdy patrzałem na otaczającą mnie przepych i wspaniałość i martwe nagie ściany. Z żalem niekiedy przypomiąłem sobie swoje skromne mieszkanko w Hartfordzie, gdzie nie było pokoju, któryby nie był ozdobiony chromolitografją, lub przynajmniej znanym trójkolorowym obrazkiem „Niechaj Bóg błogosławi ten dom“, wiszącym nade drzwiami. W salonie u nas wisało dziewięć chromolitografij, zaś tutaj w mej olbrzymiej sali przyjęć nie było niczego podobnego do obrazka z wyjątkiem czegoś w rodzaju wielkiej tkaney czy haftowanej kołdry, miejscami zacerowanej. Na tem dziele sztuki zresztą nie było ani jednej figury, ani jednej żywej barwy. Co się zaś tyczy jej proporcji, to sam Rafael przeraziłby się nią, nawet po swoim koszmarnym obrazie, znanym pod nazwą słynnego Kartonu Southamptońskiego Dworu. Ma on poza tem jeszcze kilka dziwacznych obrazów. Wogóle jest dla mnie czemś całkowiec niezrozumiałem to zachwywanie się sztuką Rafaela; malował on, jak ptak śpiewa; wszystkie jego obrazy są mdłe i cudaczne.

W zamku nie było oczywista dzwonek. Miałem coprawda wiele sług, ale kiedy któryś z nich był mi potrzebny, musiałem sam chodzić i szukać ich po korytarzach, gdzie wiecznie sterczeli.

Nie było ani gazu, ani świec; naczynia z brązu wypełniane do połowy wstrętną oliwą z pływającą wewnątrz palącą się szmatką stanowiły jedyne oświetlenie. Bardzo wiele tych naczyń wisało na ścianach, lecz światło ich nie wystarczało, by rozproszyć ciemności. Gdy się wychodziło w nocy, słudzy musieli oświetlać drogę pochodniami.

Nie było ani książek, ani atramentu, ani szkła w otworach, zwanych oknami. Lecz najbardziej dawał się odczuć brak takich niezbędnych produktów, jak herbata, cukier, kawa i tytoń. Wydawało mi się, że jestem drugim Robinsonem Krusoe, który trafił na bezludną



wyspę, zamieszkałą przez mniej lub więcej oswojone zwierzęta, z trudem tylko mogące zastąpić ludzkie towarzystwo. Ażeby uczynić swą egzystencję znośną, musiałem tworzyć wszystko od nowa, czynić wynalazki i odkrycia. Zmuszony byłem wyęźać swój umysł i pracować rękoma, musiałem przekształcać wszystko dookoła. Lecz to właśnie bardzo przypadło mi do gustu i odpowiadało mej naturze.

Jedno tylko niepokoiło mnie początkowo, to mianowicie, iż za wiele zaciekawienia wzbudzam w narodzie. Sądząc ze wszystkiego, cały kraj postanowił mnie obejrzeć. Wkrótce bowiem stało się wiadome, iż zaćmienie wzbudziło nieopisany popłoch wśród całego ludu i że cały kraj, jak daleko sięga, znajdował się w panicznym przestraszu. Wszystkie klasztory, kościoły i cele pustelnicze przepełnione były wznoszącą modły ludnością, płaczącymi istotami, które święcie wierzyły, że nadchodzi koniec świata. Następnie zaczęły krążyć wiadomości, że przyczyną całego wydarzenia był cudzoziemiec, potężny czarownik na dworze króla Artura. Zgasił on słońce, jak świecę, gdy grożono mu śmiercią, lecz zdjął czary, za co sławią go teraz i za co powszechnie jest wielbiony i czczony, jako człowiek, którego potęga uratowała ziemię od zniszczenia a ludzkość od głodowej śmierci. Jeżeli zaś teraz czytelnik sobie wyobrazi, że nie było człowieka, któryby nie tylko ślepo nie wierzył temu wszystkiemu, ale któryby choć na chwilę śmiał wątpić w prawdziwość tego cudu, to zrozumie, że każdy starał się za wszelką cenę ujrzeć potężnego czarownika. Mówiono wyłącznie o mnie, wszystko pozostałe było zapomniane, nawet Król został usunięty na drugi plan. W ciągu dnia i nocy zewsząd przybywali posłowie i wysłannicy. Prosty lud tłumami szedł w kierunku zamku. Przeszło dwanaście razy dziennie zmuszony byłem ukazywać się tłumom ze czcią i nabożeństwem wpatrzonym we mnie. Było to nieco

nużące i uciążliwe, chociaż nie można powiedzieć, by przykre było cieszyć się tak rozległą sławą i być przedmiotem ogólnych hołdów. Merlin zieleniał z zazdrości i złości, co również sprawiało mi niemałą przyjemność. Nie rozumiałem jednego tylko: dlaczego nikt nie prosił mnie o autograf. Poruszyłem tę kwestję, mówiąc kiedyś z Klarensem. Lecz, mój Boże, ile ogromnego wysiłku kosztowało mnie wyjaśnić mu, o co mi chodzi! Zrozumiawszy wreszcie, o czym mówię, oświadczył mi, że w całym państwie, prócz dziesiątka mnichów, nikt absolutnie nie umie ani pisać, ani czytać. W całym kraju! Proszę to sobie tylko wyobrazić!

Była jeszcze jedna okoliczność, która wprowadzała mnie w pewne zakłopotanie. Cały ściągający tu zewsząd lud bezwzględnie oczekiwał ode mnie jakiegoś nowego cudu. Było to zresztą zupełnie naturalne. Przyjemnie jest mieć możność pochwalenia się w kole swoich znajomych i bliskich że się widziało własnymi oczyma człowieka, któremu posłuszna jest ziemia i niebo, przyjemnie jest opowiadać o tych wszystkich cudach sąsiadom i wzbudzać w ten sposób ich zazdrość. Lecz o ile wzrośnie ta przyjemność, jeżeli się obejrzy nadmiar wszystkiego cud dokonany przez tak wielkiego człowieka! Nastrój był w najwyższym stopniu naprężony. Miałem coprawda na podorędziu zaćmienie księżyca, i wiedziałem dokładnie, kiedy nastąpi, lecz zostawało doń jeszcze dwa lata. Gotówbym był ofiarować wszelkie możliwe prerogatywy, gdyby się pośpieszyło, gdyż w tej chwili był na nie olbrzymi popyt. Złościło mnie, że nastąpi wtedy, gdy nikt zeń nie będzie mógł wyciągnąć takich korzyści, jakiebym obecnie mógł wyciągnąć ja.

Gdyby miało nastąpić za miesiąc, potrafiłbym ja-koś grać na zwłokę, przygotowując wszystkich do wielkiego nowego cudu, lecz obecnie nie widziałem nic, co by mogło służyć podporą mojej reputacji czarnoksięż-

nika. A tymczasem Klarens niejednokrotnie mówił mi, że Merlin podjudza lud przeciwko mnie, nazywając mnie szarlatanem, który oszukuje ludzi i nie jest w stanie dokonać żadnego cudu. Należało działać i wobec tego zacząłem obmyślać nowy plan.

Korzystając z nadanej mi władzy, uwięziłem Merlina w baszcie, w tym samym lochu, do którego sam niegdyś zostałem wrzucony. Następnie obwieściłem przez heroldów, że w ciągu dwóch tygodni będę zajęty różnymi państwowymi sprawami, a w końcu tego terminu zesłę ogień z nieba i obrócę basztę Merlina w popiół. I niechaj się strzegą wszyscy rozpowszechniający o mnie oszczercze wieści oraz ci, którzy tych bzdur słuchają. Tych zaś, którzyby się nie zadowolili mającym nastąpić cudem, przyrzekłem zmienić w koni roboczych i zaprząć do najcięższej pracy. Po tej mojej odezwie zapanował spokój.

Częściowo wtajemniczyłem w swoje sprawy Klarensa, który musiał mi dopomóc w pracy. Powiedziałem mu, że cud, którego mam zamiar dokonać, wymaga pewnych przygotowań. Lecz dodałem, że nagle śmierć grozi temu, kto będzie o tych przygotowaniach opowiadał. Ostrzeżenie uśmierzyło jego wrodzony pociąg do gadulstwa. W najgłębszej tajemnicy, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, sporządziliśmy pewną ilość prochu, poczem przy pomocy zaufanych ludzi postawiłem na baszcie piorunochron i przeciągnąłem druty. Stara kamienna baszta była w gruncie rzeczy ruiną, ale o bardzo masywnej strukturze, — pamięć o niej sięgała jeszcze rzymskich czasów i obliczano, że ma około czterystu lat. Bluszcz spowijał ją od stóp do wierzchołka i nie bacząc na nieco prymitywne zarysy wyglądała bardzo efektownie. Stała na samotnem odosobnionem wzgórzu, mniej więcej pół mili od zamku lecz doskonale była zeń widziana.

Pracując po całych nocach, nadzialiśmy całą ba-

szte prochem kładliśmy go nawet w ściany, które u podstawy dosięgały piętnastu cali grubości. Do każdego otworu wsypaliśmy conajmniej kwartę prochu. Z taką ilością można było wysadzić nawet wieżę Londyńską. Trzynastej nocy skierowaliśmy piorunochron na całą górę prochu i przeprowadziliśmy druty do wszystkich szczelin zapełnionych prochem. Po mojem oświadczeniu wszyscy omijali basztę zdaleka, lecz czternastego dnia uważałem za wskazane ponownie uprzedzić wszystkich przez heroldów, by nie podchodzili do baszty bliżej, niż na jedną czwartą wiorsty. Jednocześnie został obwieszczony termin dokonania cudu. Chorągwie oraz pałające pochodnie ostrzegały wszystkich przybyłych tu zewsząd gapiów. Burze zdarzały się ostatnio codziennie, więc nie lękałem się niepowodzenia. Na wszelki wypadek wymówiłem sobie jednak jeszcze dwa dni zapasowe, powołując się na ważne sprawy państwowe i oświadczając, że lud może jeszcze trochę poczekać. Jak na złość dzień wypadł jasny i słoneczny, zdaje się że po raz pierwszy od dwóch tygodni. Odosobniwszy się, obserwowałem niebo. Od czasu do czasu urywał się do mnie Klarens, ogromnie zdenerwowany, by mi oświadczyć, iż ogólne podniecenie wzrasta coraz bardziej i bardziej.

Wszystkie okolice zamku, jak daleko oko sięgało, były zapełnione zbitą masą ludzi. Lecz oto powiał wiatr, ukazała się chmura, w tej samej chwili zaszło słońce. Chmura nabrzmiewała, mrok zgęszczał się i doszedłem do wniosku, że nadszedł czas, by się ukazać ludowi. Rozkazałem rozpaść pochodnie na baszcie, uwolnić Merlina i sprowadzić go do mnie. Po upływie kwadransa zeszedłem na dziedziniec, gdzie znalazłem króla, oraz cały dwór, wszystkich wpatrzonych w basztę Merlina. Mrok spotężniał do tego stopnia, że nie widzieli się już nic niemal, prócz pochodni, jaskrawo pałających na wzgórkach, na murach baszty i rzucających zło-

wrogie odblaski na część zebranego tłumu i na zazębienia murów zamkowych.

Widok był ogromnie efektowny. Merlin przyszedł ponury i wściekły. Gdy wszedł, zwróciłem się do niego.

— Chciałeś mnie spalić żywcem gdy ci nie wyrządziłem żadnej szkody, następnie zaś, gdy ci się to nie udało, uporczywie starałeś się podważyć mą reputację. Wobec tego postanowiłem zesłać ogień z nieba i zetrzeć w proch twoją basztę, lecz możesz skorzystać z okazji, jeśli chcesz i pokazać swą przewagę nademną; weź magiczną laskę i działaj! Przyszła kolej na ciebie, pokaż, co możesz, zniwecz me czary i uratuj swe ruiny.

— Ja wiele mogę, sir, i pokażę, co potrafię! Nie wąpię, że unieszkodliwię twoje czary!

Narysowawszy wyimaginowane koło na kamieniach spalił garstkę wonnego proszku, od którego rozszedł się dookoła aromatyczny dym. Wszyscy się mimowoli cofnęli, wielu się przeżegnało; większość czuła się bardzo nieswojo. Potem zaczął coś mamrotać, wykonując w powietrzu rękoma jakieś dziwne passy. Poruszał się powoli i monotonnie, tak, że długie i szerokie rękawy jego szat zataczały koła nakształt skrzydeł. Tymczasem burza się wzmagala, podmuchy wiatru gasiły płomień pochodni i mrok stawał się coraz gęstszy. Spadło kilka wielkich kropel deszczu, błyskawice bez przerwy przeszywały czarne niebo. Mój piorunochron lada chwila mógł zacząć działać. Nadszedł decydujący moment.

— Dałem ci dosyć czasu, powiedziałem Merlinowi. Pozwoliłem ci działać i nie wtrącałem się. Lecz widocznie czary twoje są zbyt słabe. Teraz przyszła kolej na mnie.

Zrobiłem trzy passy w powietrzu i nagle rozległ się ogłuszający huk, stara wieża wyleciała w powietrze i całe fontanny ognia przekształciły noc w dzień i oświetliły na przestrzeni co najmniej stu metrów tłu-

my ludzi w przerażeniu i popłochu padających na ziemię.

Był to prawdziwy cud.

Następnego dnia we wszystkich kierunkach od zamku ciągnęły się niezliczone ślady kół i nóg zostawione w grząskim błocie. Sądzę, że gdybym potrzebował zebrać publiczność do powtórnego cudu, musiałbym się zapewne uciec do pomocy szeryfa.

Akcje Merlina spadły do zera. Król zamierzał początkowo pozbawić go pensji, chciał go nawet skazać na wygnanie, lecz wtrąciłem się do tego. Powiedziałem mu, że Merlin może się przydać do obserwowania i notowania zmian atmosferycznych i do rozmaitych innych drobiazgów. Tam zaś, gdzie jego zdolności czarodziejskie nie wystarczą, już ja go zastąpię. Coprawda z jego baszty nie zostało kamienia na kamieniu, lecz radziłem ją odbudować na koszt państwa, jemu zaś proponowałem, aby założył sobie w niej coś w rodzaju pensjonatu.

Jego wysokie stanowisko nie pozwoliło mu jednak się na to zgodzić. Radziłem mu z dobrego serca gdyż na wdzięczność jego trudno było liczyć. To prawda, że dola jego nie była do pozazdroszczenia. Trudno oczekiwać wdzięczności od człowieka, który stracił za jednym zamachem wszelkie wygody i przywileje, wbrew woli ustąpiwszy je komu innemu.

## VIII. TURNIEJ.

W Camelocie często odbywały się wielkie turnieje. Były to bardzo interesujące, zabawne i barwne rzezie ludzi, podobnie jak bywa rzeź byków, — choć nieco nużące dla rozsądnego umysłu. Jakkolwiek bądź, byłem zawsze na nich obecny, gdyż człowiek nie powinien unikać rozrywek, lubianych przez jego przyjaciół, szczególnie, jeśli zajmuje państwowe stanowisko. Poza tem, jako mąż stanu pragnąłem zbadać turnieje, ażeby wprowadzić do nich w razie potrzeby te lub inne ulepszenia. A propos, muszę powiedzieć, że jedną z pierwszych rzeczy, jaką wprowadziłem, był urząd dla wydawania patentów. Miałem trwałe przeświadczenie, że kraj bez urzędu patentowego i bez przyzwoitych ustaw patentowych będzie zawsze cofał się, zamiast kroczyć naprzód. Turnieje odbywały się niemal co tydzień i niejednokrotnie już rycerze, jak sir Lancelot i inni, proponowali mi wzięcie udziału w nich, lecz wymawiałem się zawsze, tłumacząc się brakiem czasu i przyzwyczajenia. Dopóki nawa państwowa jeszcze nie w zupełności sprawnie działa, należy pilnie baczyć na nią i nie wypuszczać steru z ręki.

Jeden z turniejów trwał cały tydzień bez przerwy i przeszło pięciuset rycerzy brało w nim udział. Zjeżdżali się oni w ciągu kilku tygodni. Przybywali konno

zewszaąd z najbardziej oddalonych zakątków kraju, nawet z za morza. Wielu przyjechało z damami, w otoczeniu całego dworu i sług. W tłumie tym olśniewającym wspaniałością szat i zbroi odzwierciedlały się najbardziej charakterystyczne cechy owej epoki zarówno pod względem zwierzęcości instynktów i brutalnej rozwiąłości mowy, jak i pod względem dobrodusznej obojętności w reagowaniu na wszelkie sprawy etyki, która cechowała tych ludzi. Po całych dniach staczano walki, a po nocach tańczono, śpiewano, grano w kości, a ze szczególnem zamiłowaniem oddawano się pijatyce. Było to milutkie, co się nazywa spędzanie czasu. Trudno sobie wyobrazić ludzi tego rodzaju. Ławki, zajęte szlachetnymi damami, olśniewały barbarzyńskim przepychem. Kiedy któryś z rycerzy spadał z konia na arenę, oblewając się krwią, przeszzyty drzewcem włóczni grubości swej łydki, wówczas piękne damy zaczynały entuzjastycznie oklaskiwać widowisko i wychylać się na zawody, by mu się lepiej przyjrzeć. Jeżeli zaś jakaś lady ze smutkiem chowała twarz w chustkę od nosa, to można było z pewnością powiedzieć, iż się martwi, że nie może zwrócić uwagi otoczenia na jakąś skandaliczną historję, równocześnie się rozgrywającą wśród widzów.

Wszelki hałas w nocy uważałem zawsze za coś arcyniemilego, w obecnych warunkach stosunek mój do tego radykalnie się zmienił: nocny hałas przynajmniej w pewnej mierze zagłuszał chrzest kości barbarzyńsko amputowanych rąk i nóg, połamanych w szrankach poprzedniego dnia. Przedemną przelewano krew i łamano dobrą hartowaną stal, ja zaś marzyłem o tym czasie, kiedy noże i topór zastąpi kilof i motyka mojego stulecia. Tymczasem nietylko pilnie obserwowałem rozgrywający się codzień turniej, ale prócz tego opisywałem go szczegółowo pewnemu wykształconemu mnichowi



z utworzonego przezemnie departamentu publicznej moralności i rolnictwa.

Ten ostatni notował moje obserwacje dla przyszłego pisma, które zamierzałem wydawać z chwilą, gdy naród posunie się odrobinę w swym rozwoju. Pierwsze, co jest niezbędne młodemu państwu — to urząd patentowy, szkoła i wreszcie prasa. Prasa ma swoje wady, a nawet ma ich wielką ilość. Lecz jest przytem jedynym głosem z grobu umarłej nacji, któremu ta zawdzięcza poniekąd swą prawdziwą nieśmiertelność. Bez gazety nie podobna sobie wyobrazić kulturalnego narodu. Tymczasem postawiłem sobie za zadanie przygotować reporterkę VI stulecia.

Pater był człowiekiem obrotnym i wziął się do rzeczy umiejętnie i rozsądnie. Miał on szczególnie djabełską pamięć do szczegółów, a przytem doskonale potrafił zachować miejscowy koloryt i charakter epoki. Pozatem klecha potrafił mistrzowsko prawić komplementy rycerzom, naturalnie nie wszystkim lecz bardziej wpływowym. Potrafił także, jeżeli zachodziła ku temu potrzeba, delikatnie przesadzić, którą to umiejętność nabył, będąc odźwiernym u pewnego pustelnika, mieszczącego w chlewie i czyniącego cuda.

Wprawdzie w sprawozdaniu mnicha brak było pompy i efektownych ponurych opisów, tak że właściwie mówiąc, nie były one ściśle zgodne z rzeczywistością, lecz jego specyficzne zalety z nawiązką wynagradzały te braki. Jego archaiczny wytworny opis tchnął czarowną wytwornością i przepojony był aromatem ówczesnego krasomówstwa.

Tego dnia zaszedł pewien drobny epizod, brzemien-ny w nader poważne dla mnie konsekwencje. Zaczęło się to od tego, że Harry szalał w szrankach. Imieniem tem nazywam sir Harretha. Ta pieszczotliwa nazwa wskazuje, iż jestem dlań jak najuczciwiej usposobiony. Naturalnie, że imieniem tem nazywam go tylko

w myśli, gdyż żaden rycerz nie mógłby się zgodzić na taką poufałość względem siebie z mej strony. Ale słuchajcie dalszego ciągu. Siedziałem właśnie w łoży, specjalnie udzielonej mi do mojej dyspozycji, jako najwyższemu dostojnikowi państwa. Sir Dinadan w oczekiwaniu swej kolei wstąpił do mnie na pogawędkę. Żartownis ten pasjami lubił mówić ze mną, sądząc, że jako cudzoziemiec nie zdążyłem jeszcze zapoznać się z całym repertuarem jego anegdot, których przeważna część nikogo już, prócz niego, nie śmieszyła. Co do mnie, to zawsze zachęcałem go do opowiadania dowcipów i czułem nawet głęboką wdzięczność za to, że zwołał mnie od wysłuchania pewnego kawału, który słyszałem już setki razy i który na nieszczęście był również i jemu znany. Kawał ten jest powtarzany niezmiennie przez wszystkich dowcipnisiów Ameryki od Kolumba aż do naszych czasów. Opowiada on o pewnym prelegencie-humoryście, który bitą godzinę wysiłał się przed prostackimi słuchaczami, nie mogąc wywołać ani jednego wybuchu śmiechu. Kiedy wreszcie skończył, zbliżył się doń jakiś siwy prostak, uściskał mu dłoń i oświadczył, że w życiu swoim on i wszyscy obecni nie słyszeli nic zabawniejszego, ale że się bali śmiać, aby nie obrazić prelegenta. W gruncie rzeczy anegdota ta nie zasługuje na specjalną uwagę, a jednak powtarzano ją już dziesiątki, setki, tysiące, miliony i biljony razy we wszystkich zakątkach kuli ziemskiej. Łatwo więc sobie wyobrazić, jakie uczucie budził we mnie ten uzbrojony od stóp do głów osioł, kiedy odgrzebał nagle z mroku przedhistorycznych czasów, z tego okresu, kiedy jeszcze nawet nie słyszano o pochodach krzyżowych, ten nieszczęśliwy kawał. Zaledwie zdążył mi go opowiedzieć, wywołano go do szranków, i sir Dinadan, brzęcząc jak koń, obładowany pustemi butelkami, wyszedł z mej łoży. Oczywiście, że opowiada nie tego dowcipu przez sir Dinadana zlekka mnie za-

mroczyło. Otworzyłem oczy w chwili, kiedy właśnie sir Harreth, który, jak się rzekło, szalał tego dnia na arenie, powalił go straszliwym ciosem na ziemię. „Mam nadzieję, że jest zabity.“ wyszeptalem bezwiednie głośno, z nadzieją w głosie. Na nieszczęście, sir Harreth przed chwilą wysadził z siodła sir Sagramora le Desirousa, który znalazłszy się w pobliżu mnie, usłyszał te słowa i wziął je do siebie. A jeśli któryś z tych głąbów wbił sobie coś do głowy, to niepodobna mu już było tego wyperswadować. Wiedziałem o tem dobrze i nie zadałem sobie nawet trudu tłumaczyć się przed nim. Rozwścieczony rycerz oświadczył, że porachuje się ze mną za jakieś 3—4 lata. Jako miejsce spotkania wyznaczył arenę, na której został znieważony. Odrzekłem, że jestem do jego usług natychmiast po jego powrocie z pochodu. Sir Sagramor wybierał się bowiem w pochód krzyżowy. Całe tłumy rycerstwa ruszały podówczas w te pochody. Podróż trwała zazwyczaj kilka lat. Wszyscy ci jegomoście szukali gorliwie Świętego Grobu, chociaż nikt z nich nie miał dokładnych wiadomości, w jakim kierunku należy go szukać. Przypuszczam nawet, że w gruncie rzeczy nikt z nich nie miał nadziei go odnaleźć. Co rok szykowała się ekspedycja w celu znalezienia Grobu, a następnego roku wyruszała druga na poszukiwanie pierwszej. Było to coś w rodzaju ekspedycji podbiegunowych. Pozostawała mi więc jeszcze jedna nadzieja: że postrzeleńca, który mnie wplątał w całą tę niemiłą historję, wezmą po drodze wszyscy djabli.

## IX. POCZĄTKI CYWILIZACJI.

Okragły Stół wkrótce dowiedział się o wyzwaniu, i powstało wiele hałasu dokoła tej błahej sprawy, która właściwie mogłaby interesować jedynie podrostków. Król był zdania, że powinienem natychmiast wyruszyć w drogę na poszukiwanie przygód, ażeby uczynić swe imię sławnem i stać się godnym spotkania z sir Sagramorem po upływie kilku lat. Wymówiłem się, mówiąc, że muszę jeszcze popracować trzy lub cztery lata aby ostatecznie uporządkować sprawy państwowe. Potem zaś mogę rozpocząć przygotowania. Przypuszczalnie ku końcowi tego terminu sir Sagramor jeszcze nie powróci z krzyżowego pochodu, niema więc powodów do marnowania bez potrzeby takiej ilości czasu. Tym sposobem upłynie już sześć lat mojej państwowej działalności i myślę, że maszyna państwowa będzie działała tak sprawnie, iż nie dozna szkody z powodu krótkiego odpoczynku, na który sobie pozwolę.

Jak dotychczas, byłem wielce zadowolony z owoców swej pracy.

W najrozmaitszych cichych zakątkach kraju było już wszystko przygotowane do zrealizowania moich projektów przemysłowych, wszędzie gęsto rozsiane były zarodki wielkich fabryk, tych rozsadników

przyszłej kultury. Dokoła nich skupiłem wszystkich mniej więcej zdolnych młodych ludzi, których gdziekolwiek spotykałem. Byli oni mymi uczniami i agentami. Rozpowszechniałem wśród nieokrzesanego tłumu znajomość rozmaitych rzemiosł. Zaprowadziłem to wszystko w różnych głuchych miejscowościach, dokąd posyłałem swych agentów i dokąd nikt nie mógł przeniknąć bez specjalnego zezwolenia. Założyłem szkołę dla nauczycieli coś w rodzaju prowizorycznych szkół niedzielnych. W rezultacie miałem całą sieć niższych zakładów szkolnych w rozmaitych miejscowościach i kilka protestanckich kongregacyj — to wszystko w najlepszych warunkach i w kwitjącym stanie.

Prócz tego, w kraju znajdowały się ogromne ilości pokładów rudy; wszystkie one były królewską własnością. Wydobywano rudę mniej więcej w ten sposób jak to czynią dzicy. W ziemi kopano jamy i wsypywano minerały do skórzanych worków po tonnie mniej więcej dziennie. W nader krótkim czasie postawiłem tę gałąź przemysłu na właściwych podstawach. Tak, — mogę śmiało powiedzieć, że osiągnąłem bardzo doniosłe rezultaty w chwili, gdy sir Sagramor rzucił mi swoje wyzwanie. Cztery lata przeszły niepostrzeżenie, mimo że trudno jest sobie wyobrazić w jak uciążliwych warunkach! Przyszedłem do przekonania, że absolutna władza jest ideałem, o ile się znajduje we właściwych rękach. Despotyzm niebios reprezentuje najbardziej doskonałą bezwątpienia formę rządów. Co do ziemskiego despotyzmu, byłby on bezwzględnie również doskonałością, gdyby warunki były identyczne, t. j. gdyby despota był najdoskonalszym przedstawicielem rasy ludzkiej i mógłby żyć wiecznie. Lecz jeżeli człowiek doskonały musi umrzeć i zostawić władzę w ręku niegodnego dziedzica, wówczas ta forma rządów nie tylko że jest złą formą, ale bodajże

najgorszą. Takie jest przynajmniej zdanie każdego szczerzego republikanina.

Moja działalność pokazała, co może uczynić despotyzm, mający do rozporządzenia odpowiednie środki.

Mieszkańcy tego nieokrzesanego kraju nie podejrzewali, że pod nosem u nich całą siłą pary pędzi cywilizacja XIX stulecia! Była ona poza polem ogólnego widzenia, lecz istniała, jako fakt wielki i niezaprzeczalny. Było to podobne do drzemającego wulkanu, niewinnie wznoszącego swój niedymiący wierzchołek ku czystemu niebu i niczem nie zdradzającego tego piekła, które się kotłuje w jego głębi. Me szkoły, znajdujące się w stanie embrjonalnym cztery lata temu, obecnie osiągnęły pełnię rozkwitu; moje sklepiki przestoczyły się w wielkie przedsiębiorstwa handlowe. Tam, gdzie początkowo pracowały dziesiątki ludzi, obecnie pracowały tysiące, zamiast jednego wykwalifikowanego robotnika miałem obecnie pięćdziesięciu. Trzymałem palec na cynglu, jeśli można się tak wyrazić, i lada chwila gotów byłem pociągnąć zań i zalać mrok nocny oslepiającem światłem. Nie miałem jednak zamiaru dokonać gwałtownego przewrotu. Byłoby to mało polityczne. Naród mógłby poprostu nie wytrzymać próby, a panujący kościół zgniótłby mnie swoim ciężarem.

Lecz byłem dość oględny przez cały czas. Wszędzie rozsiani byli moi pomocnicy, których obowiązkiem było podrywać w sposób niepostrzeżony autorytet rycerstwa oraz wykorzeniać rozmaite przesady. Tym sposobem niewzruszenie i uporczywie rozjaśniałem otaczającą ciemność latarnią wiedzy

Założone przezemnie szkoły prosperowały jak najlepiej. Lecz jedną z najgłębszych mych tajemnic była wojskowa akademja, którą zazdrośnie chronilem

przed oczyma niepoświęconych, podobnie jak i akademię morską, urządzoną w jednym z oddalonych portów. Jedna i druga była moją dumą. Klarens, mający podówczas dwadzieścia dwa lata, był moim głównym pomocnikiem, moją prawą ręką. Był to ogromnie zdolny chłopiec i robota paliła mu się w dłoni. Miałem zamiar użyć go w przyszłości do pracy dziennikarskiej, gdyż wyraźnie dojrzała konieczność pisma i miałem nadzieję wkrótce już rozpocząć wydawnictwo. Klarens byłby głównym współpracownikiem nowopowstałej gazety. Wyrobił już sobie nawet nieco styl dziennikarski, przyczem zabawne było, że mówił językiem VI-go stulecia, pisał zaś językiem XIX. Obecnie jednak byliśmy pochłonięci pierwszymi próbami założenia telegrafu i telefonu.

Jak większość rzeczy, i tę — a nawet tę szczególnie — starałem się wprowadzić niepostrzeżenie. Całe zastępy ludzi pracowały po nocach na drogach. Przeprowadzali oni druty po ziemi, gdyż stawianie słupów wzdłuż dróg mogło wzbudzić zbyt wiele uwagi. Druty te działały zupełnie sprawnie, gdyż były odizolowane za pomocą specjalnej masy mego wynalazku. Robotnikom wydane było polecenie unikania wielkich dróg.

Co się tyczy ogólnych warunków, w jakich znajdował się kraj, to w niczem się nie zmieniły od czasu mego przybycia tu. Poza swą działalnością cywilizacyjną, dokonałem zaledwie paru mało istotnych zmian w administracji państwa. Nie wtrącałem się nawet do zbierania podatków, za wyjątkiem tych, które stanowiły dochód państwa. To ostatnie usystematyzowałem i postawiłem na bardziej realnych i sprawiedliwych podstawach. W rezultacie dochody państwa się potroiły, a ciężar opodatkowania został podzielony pomiędzy wszystkich bardziej równomiernie, tak że kraj z ulgą odetchnął i zewsząd słyszałem słowa podziękli. Wszyst-

ko było na dobrej drodze i znajdowało się w pewnych rękach. Doszedłem do przekonania, że mogę sobie pozwolić na przerwę w pracy. Przytem król niejednokrotnie przypominał mi, że ustalony termin się kończy — cztery lata już minęły. Była to aluzja odnosząca się do tego, że powinienem wyruszyć w drogę, w pogoni za przygodami i zdobyciem sławy, aby móc dostąpić honoru zmierzenia się z sir Sagramorem. Ostatni nie powrócił dotychczas jeszcze z krzyżowego pochodu, ale kilka ekspedycyj poszukiwało go i miano nadzieję, że go odnajdą jeszcze w tym roku. Co do mnie, byłem gotów do wyruszenia w drogę; rada króla nie była dla mnie niespodzianką.



## X. JANKES W POGONI ZA PRZYGODAMI.

Zapewne w żadnym kraju na całej kuli ziemskiej nie było tylu wędrownych gaduł obojga płci, co tutaj. Nie było miesiąca, ażeby nie zjawił się jakiś włóczęga, naładowany różnemi bujdami o jakichś królewnach i tym podobnych istotach, wzywających pomocy i obrony. Trzeba było uwalniać ich z jakichś nieznanych zamków, gdzie usychali w niewoli u jakichś łotrów, przeważnie olbrzymów.

Byłoby zupełnie naturalnem, oczywista, ażeby król, wysłuchawszy opowieści przybysza, zażądał jakichś listów uwierzytelniających lub czego podobnego, a przynajmniej wskazówek, gdzie się zamek znajduje, jaką najbliższą drogą do niego można trafić i t. d. Ale gdzie tam! Nikomu nawet do głowy nie przychodziła taka prosta, zdawałoby się myśl. Naodwrot, pochłaniało całą tę blagę, nie zasięgając żadnych informacji.

I otóż pewnego razu, gdy byłem w zamku, przybyła tam pewna dziewczyna i opowiedziała bajkę zwykłej treści. Jej pani, trzeba wam wiedzieć, znajdowała się w niewoli w wielkiem zamczysku w towarzystwie ni mniej ni więcej, tylko czterdziestu czterech przepięknych dziewczic, z których jednak ona była najpiękniejsza. Wszystkie one już od dwudziestu lat więdyły w tej okrutnej niewoli.

Panami zamku byli trzej bracia wielkoludy, z których każdy miał po cztery ręce i po jednym oku pośrodku czoła, wielkości owocu. Jakiego owocu — niewiadomo. Taka była zazwyczaj ścisłość podobnych opowiadań.

Trudno temu uwierzyć! Ale król i cały okrągły Stół byli w dzikim zachwycie od tej nadzwyczajnej okazji popisania się swą odwagą. Każdy z tej kompanji namiętnie pragnął uczestniczyć w owej awanturniczej przygodzie i prosił o udzielenie mu tej misji. Lecz ku ich niezadowoleniu i zmartwieniu król powierzył ją osobie, która ani myślała o to prosić. Tą osobą byłem ja. Łatwo zrozumieć, że udało mi się jedynie z dużym wysiłkiem powstrzymać od wybuchów radości, gdy Klarens przyniósł mi tę wiadomość. Lecz dawny paź zupełnie nie panował nad sobą. Nie przestawał zachwycać się i wychwalać króla, który uszczęśliwił mnie dowodem tak ogromnej łaski i zaufania.

Nie mógł on literainie powstrzymać rąk ani nóg, które bez przerwy wykonywały najbardziej zawrotne piruety.

Co do mnie, to wysiłek, jaki czyniłem, aby nie objawić swojej radości, nie kosztował mnie znów zbyt wiele trudu. Prawdę mówiąc pieniełem się w duchu ze wściekłości myśląc o tej idyotycznej przygodzie i z trudem ukrywałem to pod maską spokojnego zadowolenia. Zdaje się, że nawet powiedziałem, iż się ogromnie cieszę. Być może, że było to do pewnego stopnia prawdą. Byłem zadowolony o tyle, o ile może być zadowolony człowiek, któremu wypaproszono wewnętrżności. Lecz tracenie czasu na bezpłodne biadanie nie było moim zwyczajem, trzeba było nie zwlekając, wziąć się do rzeczy. Posłałem po winowajczynię tej całej historii. Przyszła dziewczyna dość miła, jak można było sądzić, skromna i pocziwa, lecz która,

jeżeli chodzi o jej zeznania, była zapewne bardziej ścisła, niż pierwszy lepszy damski zegarek.

— Posłuchaj, moja droga — zapytałem ją urzędowym tonem — czy ktoś cię prywatnie badał w tej sprawie?

Odpowiedziała przecząco.

— To dobrze, tak właśnie sądziłem, wolałem to jednak sprawdzić, — taki już mam zwyczaj. Teraz proszę się nie gniewać i pozwolić mi się zapytać o parę rzeczy. Nie znam cię zupełnie, ale mam nadzieję, że nie będziesz się starała wprowadzić mnie w błąd. Rozumiesz, że jest to niezbędne. Nie bój się niczego i odpowiadaj na moje pytania tylko prawdą. Skąd pochodzisz?

— Z ziemi Moder, piękny sir!

— Hm... ziemia Moder. Nie przypominam coś sobie tej nazwy. Czy twoi rodzice żyją?

— Nie wiem, czy żyją, panie, bo już wiele czasu upłynęło od chwili, kiedy uwięziono mnie w zamku.

— Twe imię?

— Nazywam się dziewczyna Alizanda la Carteloire, sir!

— Czy jest ktoś, ktoby mógł to potwierdzić?

— Prawdopodobnie nie, gdyż jestem tu poraz pierwszy, sir.

— Może masz jakieś listy lub dokumenty świadczące, że mówisz prawdę?

— Doprawdy nie mam. Skądbym je zresztą wzięła? I poco mi one? Czyż nie mam języka w ustach, żeby samej wszystko powiedzieć?

— Ale ty możesz mówić jedno, a ktoś inny powie coś innego!

— Coś innego? Jakże to możliwe? nie rozumiem tego...

— Nie rozumiesz? O, co za kraj! Jakto, więc doprawdy!... Widzisz, widzisz... O, mój Boże, jak można nie rozumieć tak prostych rzeczy? Czyż doprawdy nie rozumiesz, że może być różnica pomiędzy twoim... Ale dlaczego masz taki niewinny i bezmyślny wygląd?

— Wygląd? Doprawdy nie wiem, sir, zapewne taka jest wola Boska.

— Tak, tak, zapewne właśnie tak jest? Nie myśl, że jestem zdenerwowany, nie — ani trochę. Zmieńmy temat rozmowy. Teraz opowiedz wszystko, co wiesz o zamku, w którym siedzi czterdzieści pięć królewien pod strażą trzech potworów... Czy możesz mi powiedzieć, gdzie się znajduje harem?

— Harem?

— Zamek, zamek!! Rozumiesz! Gdzie jest ten zamek?

— O jest to wielki, potężny i piękny zamek, a znajduje się w dalekim kraju. Wiele, wiele mil stąd.

— Ale wiele wkońcu?

— O, sir, to bardzo trudno określić. Droga wciąż skręca w różne strony i dróg tych jest tyle i wszystkie są jednakowe, tak że niepodobna ich zupełnie odróżnić! Może Bóg byłby w stanie to uczynić, ale nie człowiek. Pomyśl tylko, piękny sir...

— Mów dalej, dalej! Dobrze, nie znasz odległości, ale w takim razie może mi powiesz w jakiej miejscowości się znajduje zamek, w jakim kierunku należy go szukać!

— O łaskawy sir, stąd niema kierunku. Zapewniam cię, że droga nie idzie prosto, lecz wciąż skręca; określić jej kierunku niepodobna, gdyż prowadzi to pod jednym niebem, to znów — pod drugim. Wydaje się, że idziesz na wschód, a tymczasem trafiasz na zachód. I w ten sposób prowadzi droga wciąż zakrętami

i wciąż kołuje i idzie się i znowu się wraca na to samo miejsce i znowu się jedzie, jedzie i krąży i wraca się zpowrotem i dziwy te powtarzają się bez końca. Trzeba zupełnie przestać polegać na swym rozumie i powierzyć się opiece nieba. Jeżeli Bóg zechce, to zaprowadzi człowieka tam, gdzie trzeba, a wbrew Jego woli nic się nie stanie...

— Świetnie, doskonale!! niechże już Pani trochę odpocznie! nikt nie zna kierunku, kierunku niema! A niech to wszyscy djabli! Proszę mi wybaczyć, jestem trochę zdenerwowany. Niekiedy mówię sam do siebie: stare brzydkie przyzwyczajenie. Wszystko to od niestrawności. Jest to zupełnie zrozumiałe, jeżeli człowiek odżywia się tak, jak to czyniono tysiąc trzysta lat przed jego narodzeniem! Cudowny kraj! Człowiek nie może przecież skakać, jak cielę majowe, kiedy liczy sobie tysiąc trzysta wiosen! Ale proszę dalej... Proszę nie zwracać na mnie uwagi... Zobaczymy. A może masz coś w rodzaju mapy tej miejscowości? Dobra mapa...

— Aha, już wiem, jest to zapewne ta rzecz, którą przywieźli niewierni z dalekiego morza i którą smaży się na oleju, dodając cebuli i soli.

— Jakto do mapy? o czym mówisz? czy nie wiesz, co to jest mapa? Nie, nie, już lepiej nie objaśniaj! nie-nawidzę objaśnień. Możesz już iść moja droga! Dobranoc. Klarence, odprowadź ją.

Teraz dopiero rozumiem, dlaczego te osły nigdy nie rozpytywały się tych szarlatanów o szczegóły. Bardzo możliwe, że ta dziewczyna wiedziała, czego chce, lecz niepodobna z niej byłoby wycisnąć ani jednego rozsądnego słowa nawet przy pomocy prasy hydraulicznej. Dziewczyna była zapewne skończoną oszustką, a król i rycerze słuchali jej, jakgdyby była stronnicą z Pisma Świętego. Wyobraźcie sobie tylko tę

prostotę obyczajów! Włóczęgi zachodziły tu sobie do zamków równie swobodnie i bez trudności, jak dziś wchodzi do przytułków noclegowych. Wszystkich cieszyło ich przyjście i z przyjemnością słuchano ich fantastycznych opowieści.

Rycerze korzystali z byle powodu, aby wyruszyć w świat na poszukiwanie przygód i te wędrujące gady były tu wobec tego równie upragnionymi gośćmi, jak chorzy u lekarza.

Gdy tak rozmyślałem, wrócił właśnie Klarens. Opowiedziałem mu o swojej rozmowie z dziewczyną i o tem, że się nie mogłem w żaden sposób dowiedzieć, gdzie się znajduje zamek. Młodzieniec wyraził coś w rodzaju czy to zdumienia, czy zdziwienia i zapytał jak mi wpadło do głowy rozpytywać o to dziewczynę.

— Mój Boże! — wykrzyknąłem — muszę wiedzieć przecież, gdzie się znajduje zamek, jeśli mam doń trafić?

— Poco, przecież dziewica pojedzie wraz z tobą. Zawsze się tak robi. Pojedzie razem z tobą na koniu, sir.

— Jakto ze mną na koniu! Nonsens!

— Zapewniam cię, że tak właśnie będzie, zresztą sam zobaczysz!

— Co! będzie wędrować ze mną przez lasy i góry... A co powie moja narzeczona?... we dwoje... ja z nią, niby narzeczony? Ależ to skandal! Zastanów się co to będzie!

Miła kobieca twarz nagle wyłoniła się przedemną. Chłopiec zaczął dopytywać się o jej imię. Zaklinając go, by nikomu nie zdradzał tajemnicy, szepnąłem mu na ucho: „Puss Flanugun“. Chłopiec chciał powtórzyć to nazwisko, zakrzuszył się, spojrzął na mnie z rozpaczą i powiedział, że nie zna takiej hrabiny.

Było to zupełnie naturalne ze strony małego pazia, że z miejsca obdarzył ją tytułem. Następnie zapytał, gdzie mieszka.

— W East Har... Oprzytomniałem i przystanąłem, mocno zmieszany, poczem starałem się zatuszować tę rozmowę.

— Nie mówmy o tem więcej, kiedyindziej opowiem ci wszystko.

A czy może ją ujrzeć, czy ją kiedyś mu pokażę?

Łatwo przyrzec, lecz jak dotrzymać obietnicy... tysiąc trzysta lat! A chłopiec jest taki ciekawy.

Westchnąłem. Chociaż czy ma sens wzdychać do kobiety, która się narodzi za tysiąc trzysta lat? Ale tak już jesteśmy stworzeni, że kiedy kochamy, nie rozumiemy — lecz tylko kochamy.

Tymczasem o ekspedycji mojej mówiono dniami i nocami i młodzież na wszelki sposób wyrażała mi swą życzliwość, zapomniawszy zupełnie o swej zazdrości i niezadowoleniu. Byli oni tak ogromnie zaniepokojeni tem czy znajdę potworów i czy przywrócę wolność nieszczęśliwym starym pannom, jakgdyby mieli to zrobić sami. Tak, były to dobre dzieci, właśnie dzieci. Bez końca dawali mi wskazówki, jak odszukać wielkoludów i w jaki sposób ich zwyciężyć. Udzielali mi rozmaitych rad, jak przeciwdziałać czarom, obładowywali mnie rozmaitemi proszkami i maściami w sposób cudowny gojącemi rany. I nikomu z nich nawet nie przyszło na myśl, że takiemu potężnemu czarnoksiężnikowi jak mnie nie potrzebne są żadne maści ani zaklęcia przeciwko czarom. Nikt nie pomyślał o tem, że nie mogą być dla mnie groźne żadne potwory i że mógłbym z gołemi rękami wstąpić w bój z najstraszliwszym smokiem.

Musiałem przedewszystkiem wstać o świcie i posilić się obfitem śniadaniem — tego bowiem wymagał

zwyczaj. Piekielnie wiele czasu zmarudziłem na uzbrojenie się i dlatego też się nieco spóźniłem. Trzeba przyznać, że ubiór i uzbrojenie się rycerza, wyruszającego w podróż, jest dość skomplikowane. Przedewszystkiem obwija się wokół ciała podwójnie kołdrą, otrzymując tym sposobem rodzaj poduszek przeznaczonych do osłonięcia ciała przed zimnym żelazem. Następnie wkłada się koszulę z drobnych metalowych łusek. Tkanina ta jest tak giętka, że rzucona na ziemię leży zmięta nakształt w kłębek zebranej rybackiej sieci. Nie bacząc na to, jest bardzo ciężka i zapewne jest najbardziej niedogodnym w świecie materiałem na nocną koszulę. Następnie wkłada się obuwie, — płaskie buciory, pokryte z wierzchu stalowymi listwami, w które się wśrubowuje niewygodne ostrogi. Później się wkłada zbroję stalową, która, pokrywając hermetycznie ciało, ścisła człowieka ze wszystkich stron. Lecz to nie wszystko. Poniżej napierśników przyczepia się coś w rodzaju krótkiej spódnicy ze stalowych, zachodzących jedno na drugie, pasm i rozdzielonej z tyłu, by udogodnić siadanie. Ta ostatnia część garderoby mniej więcej tak samo nadaje się do noszenia, jak przewrócony do góry nogami kosz do węgla i tak samo jest mniej więcej piękna. Wreszcie poprzez ramię przewiesza się miecz, nadziewa się żelazne kominy zakończone żelaznymi rękawicami na ręce, na głowę zaś pakuje się żelazną pułapkę na szczury ze zwieszającym się z tyłu stalowym gałganem i wreszcie człowiek jest gotów, jak się patrzy.

Słowem położenie to, muszę zaznaczyć, nie usposobiało do tańca. Człowiek, zapakowany w ten sposób, przypomina orzech, którego nie warto rozłuc, gdyż jądro jest zbyt znikome w porównaniu ze skorupą.



Jeśliby młodzież rycerska mi nie dopomogła, nigdybym nie był w stanie zakończyć swej tualety.

Gdy już byłem gotów, wszedł rycerz Bediwer i wtedy zobaczyłem, że wybrałem sobie kostjum mało nadający się do dalekiej podróży. Jakim wysokim, smukłym i imponującym wydawał mi się ten człowiek w porównaniu ze mną! Na głowie nosił stalowy kask w kształcie stożka, dochodzący tylko do uszu, a zamiast przyłbicy — wysokie pasmo stali, dochodzące do górnej wargi i osłaniające mu nos. Od pięt aż do szyi mieniła się na nim błękitnie łuskowa koszulka ze stali, obciągająca jego czoło szczerlnie, jak sweater i krótkie spodnie. Wyruszał on do Grobu Pańskiego i ubiór jego oraz broń najzupełniej licowały z przedsięwziętą przezeń uciążliwą podróżą. Drogobym dał za taką samą odzież, lecz zapóźno już było naprawiać skutki własnej głupoty.

Słońce już wzeszło, król oraz cały dwór wyszli, by mnie zobaczyć opuszczającego zamek, prawidła etykiety nie pozwalały dłużej zwlekać. Wsiąść na konia samemu bez cudzej pomocy — było rozumie się nie do pomyslenia, każda próba tego rodzaju pociągnęłaby za sobą kompletne fiasko. Podniesiono mnie, jak człowieka, który dostał porażenia słonecznego, posadzono na konia, wyprostowano i włożono nogi do strzemion.

Podczas całej tej operacji czułem się jak człowiek, którego zniecka ożeniono, lub którego trafił piorun, lub któremu przdarzyło się coś w tym rodzaju. Nie byłem w stanie się odwrócić i wogóle ruszyć ręką ani nogą — czułem się jeśli to sobie można wyobrazić, zupełnie, jak swój własny posąg. Do ręki wciśnięto mi maszt, zwany tu włócznią, ustawiono go uprzednio do żelaznej obręczy przy lewej nodze. Przez szyję przewieszono mi tarczę i w ten sposób

byłem gotów do wyruszenia w drogę. Wszyscy wykazywali mi serdeczności, a pewna dziewczyna wysokiego rodu podarowała mi nawet na pożegnanie własny kubek. Pozostawało mi tylko objąć ręką moją towarzyszkę podróży, którą posadzono z tyłu za mną na siodle.

A więc wyruszyliśmy. Rycerze żegnali mnie okrzykami i życzeniami szczęśliwej podróży, wymachując przytem chustkami, rękami i hełmami. Kiedyśmy zjechali na dół i przejeżdżali przez wieś, wszyscy napotkani przechodnie z czcią się nam kłaniali. Jedyne urwisy wiejskie za rogatkami odprowadziły nas głośnym śmiechem, kocią muzyką i grudkami błota.

— Patrzcie no, co za skrzydła? Strach na wróble! — krzyczeli chórem.

Z doświadczenia wiem, że ulicznicy zawsze i wszędzie są jednakowi. Nie czują oni szacunku do nikogo, — i nikogo i niczego się nie boją. „Zmiataj z drogi!” krzyczeli oni prorokowi głębokiej starożytności, który spokojnie szedł swoją drogą, drażnili mnie, wypełniającego świętą misję wieków średnich i identycznie postępowali za moich czasów w Connecticut. To ostatnie szczególnie dobrze pamiętam, gdyż brałem osobisty udział w ich burzliwym, pełnym przygód życiu.

Natomiast prorok miał niedźwiedzie, które wypuścił na chłopaków, ja zaś musiałbym sam zejść z konia, ażeby stoczyć z nimi walkę. Rozumie się, że nie zdecydowałem się na to, gdyż bez obcej pomocy nie mogłem nawet marzyć o tem, by dosiąść konia.

Źle jest mieszkać w kraju, w którym nie istnieją maszyny do windowania ciężarów.

## XI. POWOLNE TORTURY.

Lekko i swobodnie oddycha się za miastem. Pięknie było w leśnej gęstwinie tego jesiennego poranku. Ze szczytu pagórka widzieliśmy przepiękne doliny, na dnie których wiły się przezroczyste strumyki. Tu i owdzie widniały kępy drzew lub samotne olbrzymy - dęby, o konarach szeroko rozpostartych i rzucających dokoła ciemne plamy cienia. Gdyśmy zjeżdżali na dół, mieliśmy przed sobą łańcuch gór z wierchołkami, tonącemi w niebieskawej mgle.

Od czasu do czasu zdala ukazywały się białe lub szare faliste zarysy zębatych murów zamkowych. Jechaliśmy pogrążeni w słodkiej drzemce, otoczeni baśniowym zielonym blaskiem promieni słonecznych, przenikających poprzez gęstwinę liści, a u stóp naszych igrały ze sobą i pluskały czyste i chłodne wody strumyków, szmerzących wśród kamieni i kołyszących nas swym subtelnym harmonijnym szmerem. Niekiedy światło zostawało poza nami i wówczas pogrążaliśmy się w tajemniczy uroczyستی półmrok odwiecznych borów. Kędyś śpiewały niewidoczne ptaki; miarowo stukał dzięcioł w pień drzewa, brzęczały owady, a nad samymi naszymi głowami zwieszały się splecione długie gałęzie, nie przepuszczające ani jednego promienia słońca. Tajemnica otaczała nas do-

póty, dopóki zdala nie ukazywały się znowu odbłaski światła.

Kilkakrotnie przechodziliśmy w ten sposób z mroku do światła. Minęły już dwie godziny od wschodu słońca i na miejsce porannego chłodu zaczęła doskwierać przeraźliwy upał.

Ciekawa rzecz, jak często drobne podrażnienie stopniowo wzrasta i staje się coraz bardziej dokuczliwe z chwilą, gdy się je spostrzeża. Okoliczność, na którą początkowo nie zwróciłem uwagi, nagle dała mi się mocno we znaki. Przez pierwsze dziesięć lub piętnaście minut czułem, że potrzebna mi jest chustka do nosa, lecz nie zwróciłem na to uwagi i nie zadałem sobie trudu, by ją wydostać. Jadąc dalej, mówiłem sobie, że nie warto o tem myśleć i że chustka nie jest przedmiotem godnym mej uwagi, lecz teraz, gdy dotkliwie odczuwałem całą niezbędnosć tego niewielkiego kawałka materji, straciłem cierpliwość i ordynarnie zakląłem: „Niech djabli porwą człowieka, który wymyślił ubranie bez kieszeni!” Trzeba Państwu wiedzieć, że chustkę wraz z innymi drobiazgami musiałem umieścić w hełmie. Lecz hełm mój był urządzony tak dowcipnie, że bez obcej pomocy nie można było myśleć o zdjęciu go. Znaną jest rzeczą, że to, czego nie można osiągnąć, wydaje się nam zawsze absolutnie niezbędnem. Myśli moje uporczywie krążyły dookoła chustki, znajdującej się w mym hełmie, wyobraźnia wysuwała przedemną tę chustkę w sposób najbardziej kuszący, a słony pot tymczasem powoli ściekał mi z czoła do oczu i do ust.

Na papierze wszystko to wydaje się fraszką, w rzeczywistości zaś była to najbardziej wyrafinowana tortura. Nie wspominałbym przecież o tem, gdyby tak nie było. Przysiągłem sobie nosić przy sobie woreczek, chociażby się miano z tego nie wiem jak wy-

śmiewać. Nie ulega wątpliwości, że żelazne bałwany narobią gwałtu i będą to uważać za hańbę, lecz jest mi to całkowicie obojętne: wprzód dajcie mi wygody, a potem — styl.

Jechaliśmy kłusem, podnosząc miejscami kłęby kurzu, który trafiał do nozdrzy i zmuszał mnie do ciągłego kichania aż do łez. Miałem wrażenie, że na tem odludziu niepodobna spotkać nawet potwora. A w tej sytuacji w jakiej się znajdowałem spotkanie z jakimś smokiem, szczególnie posiadającym chustkę do nosa, nie byłoby jeszcze najgorszem. Nie ulega wątpliwości, że większość rycerzy przede wszystkim postarałaby się odebrać mu broń, lecz co do mnie, to odebrałbym mu znajdującą się przy nim manufakturę, a wyroby miedziane i żelazne niechby mu już tam zostały.

Tymczasem upał się wzrósł, słońce bezlitośnie rozżarzało stal. Kiedy jest skwar, to człowieka denerwuje każdy drobiazg. Przy jeździe kłusa dzwoniłem i brzęczałem cały, jak kosz z kuchennymi statkami, gdy zaś tylko stawałem, tarcza z całej siły uderzała mnie po piersi lub po plecach. Kiedy próbowałem jechać stępą, cała moja zbroja skrzypiała i piszczała, jak nieposmarowany wóz, przytem ani wiaterek, ani najmniejszego powiewu — miałem wrażenie, że się gotuję we wrzątku. Im spokojniej zaś i równiej stapał koń, tem ciężiej osiadało na mnie żelazo i waga jego zdawała się wzrastać z każdą sekundą. Prócz tego musiałem bez przerwy przekładać dzidę, gdyż w przeciwnym razie omdlewała mi ręka i noga. Kiedy się człowiek w ten sposób bez przerwy oblewa potem, to w końcu zaczyna go wszystko — swędzić.

Początkowo daje się odczuć swędzenie w jednym miejscu, później w drugim, następnie w kilku rów-

nocześnie, aż wreszcie zaczyna cię swędzić całe ciało, a człowiek szczelnie okryty żelastwem absolutnie nie wie, co ma ze sobą robić! W końcu straciłem cierpliwość i zwróciłem się o pomoc do swej towarzyszki. Dziewczyna zdjęła ze mnie hełm, wyjęła całą jego zawartość i napełniła go świeżą, zimną wodą, której z rozkoszą się napiłem, resztę zaś wylała mi za kołnierz. Trudno sobie wyobrazić ulgę, jaką odczułem. Polewała mnie tak długo, dopóki nie przemokłem do nitki; czułem się teraz jak nowonarodzony. Z rozkoszą oddawałem się słodkiemu wypoczynkowi. Lecz na ziemi niema idealnego szczęścia. Wkrótce poczułem ostrą tęsknotę za fajką, niestety, brakło mi zapalek. Z biegiem czasu dołączyła się jeszcze jedna niemiła okoliczność — musieliśmy przystanąć z powodu niepogody. Lecz uzbrojony rycerz nowicjusz nie potrafi zejść z konia o własnych siłach, Sandy zaś była zbyt słaba, aby mi dopomóc. Zmuszony więc byłem czekać na jakiegoś przechodnia. Milczące oczekiwanie nie było dla mnie uciążliwe, tematów do rozmyślań miałem dość. Chciałem się zastanowić i rozwiązać zagadnienie, w jaki sposób ludzie, mający choć krztę rozsądku mogli dojść do pomysłu noszenia tak straszliwie niewygodnego ubrania. I jakże u licha, mogły całe pokolenia znosić te tortury, kiedy nie ulegało wątpliwości, że jeśli ja znosząc męki z powodu zbroi przez jeden dzień tylko, byłem już bliski omdlenia, to rycerze, noszący ją bez przerwy codziennie, byli skazani na piekło za życia. Oto czemu wziąłem się poważnie do obmyślenia reformy tego absurdalnego zwyczaju i rozmyślenia nad sposobem przekonania ludzi o niewygodzie, a nawet szkodliwości tego rodzaju ubioru. Kwestja wymagała długiego i poważnego namysłu. Ale zechciście, proszę, zająć się czemkolwiek, kiedy za wami siedzi Sandy.

Jest to bezsprzecznie bardzo miłe i pocziwe stworzenie, ale może trajkotać bez przerwy z niemniejszą łatwością, niż pierwsza lepsza nakręcona maszyna, tak że człowiekowi zaczyna wprost głowa pękać, jak od turkotu kół wozów ciężarowych i dudnienia tramwai w mieście. Katarynka nie przerywała ani na chwilę swej pracy i wszelkie nadzieje, że coś się w niej zepsuje, spełżyły na niczem. Maszyna Sandy tygodniami, zdawałoby się, mogła pracować, nie wymagając żadnej naprawy, opieki i naoliwienia. Inną jest rzeczą, że rezultatem tej pracy nie było nic, prócz przeciągu. Próżno byłoby się doszukiwać u tej wielomównej osóбки jakiegokolwiek przeblýsku myśli choćby najbardziej mgłistej. Z tem wszystkiem, gadanina nie ustawała ani na chwilę. Nie ulega wątpliwości, że moje poranne kłopoty oddały mi wielką przysługę: pozwoliły mi nie zauważyć że podróżuję w towarzystwie żywej katarynki. Ale po południu byłem zmuszony poskromić jej krasomówczy temperament.

— Posłuchaj, moje dziecię — zwróciłem się do niej — zrób, na miłość Boską, małą pauzę. Przez cały czas nic innego nie robisz, jak tylko marnotrawnie zużytkowujesz tutejsze powietrze, tak że w końcu państwo będzie musiało pomyśleć o dostarczeniu tutaj nowego zapasu, — a przecież skarb i bez tego ma dość wydatków.

## XII. LUDZIE WOLNI.

Zadziwiająca rzecz, jak mało przyjemnych chwil przypada w udziale człowiekowi. Jeszcze tak niedawno, wyczerpany upałem i dźwiganiem ciężkiej zbroi, rozkoszowałem się spoczynkiem w czarownym, cienistym zakątku, słuchając szmeru czystego, chłodnego strumienia i delectując się przezroczystą, lodowo-zimną wodą, która gasiła dręczące mnie pragnienie i chłodziła me znużone od spieki ciało. I oto znowuż czułem się już pod psem, częściowo z powodu tego, że chciało mi się, jako namiętnemu palaczowi, zapalić i że nie mogłem tego uczynić z braku zapalek, — częściowo zaś dlatego, że zaczął mi dokuczać głód. W tem znowuż objawiała się dziecinna beztroška tego wieku i ówczesnych ludzi. Uzbrojony rycerz powinien był zawsze liczyć na to, że zdobędzie sobie żywność w drodze, i nie wolno mu było nawet dopuścić do siebie kompromitującej myśli o tem, żeby wziąć w drogę koszyk z buterbrodami i przytrzymać go do siodła. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nie znalazłby się ani jeden rycerz pomiędzy współbiesiadnikami Okrągłego Stołu, któryby nie był gotów raczej ponieść śmierć głodową, niżeli okryć się taką hańbą. A przecież czy mogło być coś bardziej normalnego? Co do mnie, to miałem szczery zamiar



schować sobie na drogę parę buterbrodów do hełmu, ale, niestety, zostałem złapany na gorącym uczynku i musiałem nietylko oddać tartinki, ale jeszcze w dodatku przeproszać za niestosowanie się do rycerskich reguł. Kompromitujące buterbrody były rzucone na pożarcie psom, które nie omieszkały z tego skorzystać.

Tymczasem miało się ku nocy, a równocześnie zapowiadało się na burzę. Ciemność coraz bardziej się zgęszczała. Zmuszeni byliśmy się zatrzymać. Usadowiwszy dziewicę pod jedną ze skał, sam umieściłem się pod inną. Nie mogłem jednakże zdjąć zbroi, a równocześnie było mi niesporo zwracać się z prośbą o pomoc do Alizandy, gdyż wydawało mi się nieprzyzwoitem rozbierać się przy niej. Właściwie było w tem wiele przesady, gdyż nosiłem ubranie pod zbroją, lecz trudno jest zerwać z przesadami, zaszczeponemi nam przez wychowanie. Mam pewność, że byłbym mocno zmieszany już przy samem zdejmowaniu mej krótkiej spódniczki.

Po burzy pogoda się zmieniła: dał wiatr, deszcz lał bez przerwy i bardzo się oziębiło. Wkrótce pluskwy, mrówki i wszelkiego rodzaju paskudztwo zaczęło ratować się od wilgoci i wpełzać pod moją zbroję w poszukiwaniu ciepła. Niektóre z tych zwierzątek zachowywały się dość taktownie i spokojnie siedziały sobie w fałdach mego ubrania, — większość natomiast sprawiała mi niewymownie wiele udreki i kłopotu. Najbardziej nieznośne były mrówki. Pełzały całemi procesjami po mem ciele tam i zpowrotem i były podczas snu najmniej miłymi sąsiadami jakich sobie można wyobrazić. Gdybym miał radzić człowiekowi, znajdującemu się w podobnej sytuacji, przedewszystkiem zaleciłbym mu nie tarzać się po ziemi i nie rzucać się na wszystkie strony. Takie nie-

zwykłe zachowanie się budzi zaciekawienie wszystkich tych drobnych zwierzątek, które wylażą hurmem, by zobaczyć, co się dzieje. Sytuacja staje się nie do zniesienia i człowiek musi gorzko pokutować za swą nieostrożność. Jeżeli jednak wcale się nie ruszać, to bardzo łatwo można się do tego przyzwyczaić na dłuższą metę i już wogóle nie wstać więcej. Słowem, obie metody są warte jedna drugiej i żadna z nich poprostu dlatego nie jest gorsza od drugiej, że obie są gorsze. Zresztą, kiedy przemarzłem już zupełnie do szpiku kości, musiałem przyznać pewne zasługi tym owadom: działały one na ciało nakształt prądu elektrycznego. W każdym bądź razie dałem sobie słowo, że jest to ostatnia moja podróż, którą odbywam w tego rodzaju zbroi.

Ranek znalazł mnie w najokropniejszym stanie. Byłem zmordowany bezsennością i wymęczony bezowocnymi usiłowaniami pogrążenia się w sen, czułem nieznośne bóle w stawach, byłem całkiem połamany, dokuczał mi głód, marzyłem o kąpieli, któraby pozwoliła mi się pozbyć nieznośnego robactwa i nadmiar wszystkiego nabawiłem się silnego reumatyzmu. A jakże się czuła wysoko urodzona, szlachetna, utytułowana arystokratka, dziewczica Alizanda la Carteloise? Była świeża i wesoła, spała całą noc jak zabita, co się zaś tyczy kąpieli, to zapewne ani ona, ani żaden ze szlachetnych obywateli tego kraju nie miał o niej pojęcia i, co za tem idzie, nie odczuwał najmniejszej potrzeby jej. Z punktu widzenia moich współczesnych ludzie ci mieli nie o wiele więcej kultury od najwykleszych dzikusów. Szlachetna lady nie wykazywała najmniejszej chęci zjedzenia śniadania — był to znów wyraźny objaw pierwotności. Brytańczycy owego czasu byli przyzwyczajeni głodować w czasie podróży i najadali się na kilka dni na-

przód, jak to czynią indjanie i niektóre zwierzęta. To samo zapewne zrobiła również i Sandy.

Wyruszyliśmy w drogę jeszcze przed wschodem słońca, przyczem Sandy jechała, ja zaś kuśtykałem za nią w tyle. Po upływie mniej więcej pół godziny napotkaliśmy tłum nieszczęśliwych, obdartych ludzi, którzy przyszedli tu naprawiać to, co można było od biedy nazwać drogą. Powitali nas uniżenie, jak niewolnicy, Pochlebiła im niezmiernie wyrażona przezemnie chęć przyłączenia się do nich i zjedzenia z nimi śniadania; byli oni oszołomieni moją propozycją i z trudem tylko dali się przekonać, że nie żartuję. Moja lady pogardliwie się skrzywiła i patrzyła w stronę. Kiedy zaś nasze pertraktacje w sprawie śniadania dobiegły końca, — powiedziała, że wolałaby spożyć je z innym bydłem. Uwaga ta zmieszała nieszczęśliwych obdartusów, którzy ją słyszeli, ale nie obraziła ich. A jednak nie byli to bynajmniej niewolnicy, ironja prawa i nazwy czyniła ich wolnymi ludźmi. Siedem dziesiątych wolnych obywateli kraju należało do ich klasy i stanu. Byli to drobni „niezależni” farmerzy, rzemieślnicy i t. p., tworzący, ściśle mówiąc, najistotniejszą część nacji, czynną, pracującą, przynoszącą pożytek krajowi i zasługującą ze wszech miar na szacunek. Wykreślić ich — znaczyłoby to wykreślić nację, a zostawić nikomu niepotrzebną zbieraninę w postaci rozpróżnionych awanturników i nicponiów, zajmujących się przeważnie pustoszeniem i rujnowaniem kraju i nie reprezentujących żadnych zgoła istotnych życiowych wartości.

I otóż, naskutek złośliwej ironji losu, cała ta pozłacana mniejszość miast znaleźć się na szarym końcu pochodu, do którego należała, kroczyła na czele jego z zadartą głową i dumnie powiewającymi sztandarami.

Nie mówiłem o krwawym buncie i rewolcie z tem oszukanem i wyzyskiwanem ludzkim stadem. Wziąwszy na stronę jednego z tych ludzi, który wydał mi się bardziej rozgarniętym od innych, pomówiłem z nim o sprawach zupełnie innego rodzaju. Skończywszy rozmowę, wręczyłem mu kartkę z napisem:

„Umieścić go w męskiej kolonji”.

— Idź z tem — rzekłem mu — do camelockiego zamku i oddaj to osobiście Amiasowi Le Poulet, zwanemu Klarenssem. Ten już będzie wiedział, o co chodzi.

— Czy to pater? — z pewnem zaniepokojeniem zapytał człowiek.

— Nie, — odrzekłem.

Twarz jego wyraziła zadowolenie.

— Ale jakże potrafi on czytać, jeśli nie jest duchownym? — rzekł, dając wyraz swym wątpliwościom.

— Nauczyłem go tego. I ciebie również nauczę tego samego po przybyciu na miejsce.

Ostatnie wątpliwości zostały rozsiane.

— Mnie? — podchwycił z entuzjazmem. — Oddałbym całą moją krew serdeczną, by się wyuczyć tej sztuki. Będę twoim niewolnikiem, Panie, twoim ..

— Nie, nie będziesz już niczym niewolnikiem. Weź ze sobą rodzinę i ruszaj do Camelotu. Twój pan odbierze ci zapewne wszystkie te okruchy, które są twą własnością, ale to nic — Klarens się tobą zaopekuj.

### XIII. BRONŃ SIE, LORDZIE!

Za śniadanie swe zapłaciłem aż trzy pensy, co było dość wysoką zapłatą, gdyż mogło za nią śmiało zjeść śniadanie jakichś dwunastu ludzi. Ale czułem się tak dobrze, że mogłem sobie pozwolić na tę „rozzutność“.

Ci prości ludzie chętnieby podzielili się ze mną swemi skromnymi zapasami bez żadnej zapłaty. Widząc ich szczerą i gorącą wdzięczność, pomyślałem, że pieniądze te byłyby znacznie bardziej na miejscu w ich rękach, aniżeli w moim hełmie. Tem bardziej, że pensy były z żelaza i niemało ważyły, a w tej chwili mnie obciążonemu żelastwem każdy szyling wydawał się młyńskim kamieniem. Coprawda, moje rzucanie pieniędzmi tłumaczyło się również i tem, że przez długi czas nie mogłem zdać sobie sprawy, iż pens w kraju króla Artura równał się kilku doiarom w moim rodzinnym Connecticut

Farmerzy chcieli koniecznie obdarzyć mnie czemś jeszcze, aby wyrazić mi swą wdzięczność za niesłychaną hojność. Z przyjemnością przyjąłem od nich krzemień i hubkę. Kiedy tylko też moi amfitrjoni władowali mnie oraz Sandy na siodło, natychmiast zacząłem kurzyć fajkę. Ale nie zdążyły jeszcze ukazać się pierwsze kłęby dymu z pod mej przyłbicy, kiedy

wszyscy obecni popędzili w panicznym przestraczu na łeb na szyję do lasu, a Sandy z przeraźliwym wrzaskiem zeskoczyła na ziemię. Nie ulega wątpliwości, że wszyscy oni byli przekonani, iż jestem rzygającym ogniem smokiem, o czym tak wiele nasłyszeli się od rycerzy i innych profesjonalnych łgarzy. Wiele trudu kosztowało mnie namówienie ich, ażeby wrócili i zatrzymali się w przyzwoitej odległości ode mnie. Postarałem się im objaśnić, że jest to tylko drobne czarodziejstwo, straszne jedynie dla wrogów. Z ręką na sercu przyrzekłem im, że każdy, kto nie żywi złych zamiarów względem mnie, może bezpiecznie się do mnie zbliżyć i że śmierć grozi tym tylko, którzy mi nie dowierzają i zostają w tyle. Wówczas cała profesja uroczyście predefilowała przedemną. Nie było potrzeby spisywania protokołu z nazwiskami obecnych, gdyż nikt nie pozostał w tyle dla przekonania się, ile prawdy mieści się w moich słowach.

Po tem wszystkim musiałem stracić niemało czasu, ażeby zaspokoić ciekawość tych poczciwców, kiedy już strach ich minął. Dopiero po wypaleniu dwóch fajek mogłem się udać w dalszą drogę. Ale czasu tego nie można było uważać za stracony, jeśli wziąć pod uwagę, że Sandy była cała pod wrażeniem wszystkiego wyżej opisanego i jej młynek przerwał na chwilę swą pracę, co pozwoliło mi nieco odpocząć.

Następną noc spędziliśmy w lepiance pustelnika, a przed południem tego samego dnia spotkała mnie narzeczcie pierwsza moja przygoda.

Przejeżdżaliśmy właśnie przez wielką łąkę i byłem tak zatopiony w swych myślach, że nie widziałem, ani słyszałem nic dookoła. Nagle wyrwał mnie z tych rozmyślań krzyk Sandy, która przerwała raptem swą jeszcze zrana rozpoczętą opowieść:

— Broń się, lordzie! Życie twe jest w niebezpieczeństwie!

Poczem towarzyszka moja zwinnie zeskoczyła z konia, odbiegła na stronę i zatrzymała się w kilkunastu krokach odemnie. Wpobliżu, pod drzewem, zobaczyłem jakiegoś pół tuzina uzbrojonych rycerzy wraz z giermkami. Wszyscy ci jegomoście hałasowali i kłócili się, gwałtownie ściągając poprzęgi na swych koniach.

Muszę powiedzieć, że fajkę swą miałem przez cały czas w ustach. W tej chwili mocno zaciągnąłem się parę razy z rzędu i zatrzymałem w sobie dym, pozwalając mym napastnikom się zbliżyć. Przeciwnicy moi rzucili się na mnie zwartą ławą. Najmniej wspólnego miało to z rycerskością, o której tyle się czytało, kiedy to jeden z przeciwników z ugrzecznieniem wyzywa drugiego na walkę, a pozostali stoją sobie na uboczu przypatrując się potyczce. O, te indywidua nie miały w każdym razie najmniejszego zamiaru potwierdzić legendy, jaka się o nich zachowała; rzucili się na mnie całą kupą, z wyciem i hałasem na wzór gradu armatnich kul. Głowy ich były nieco nachylone, z tyłu rozwiewały się pióropusze, włócznie wysunęli naprzód, na wysokości głowy. Musiało to być wspaniałe widowisko, oczywiście dla widza, stojącego zdala pod drzewem; Wysunąłem również swą włócznię i czekałem.

Serce waliło mi młotem, tak mocno, że mój żelazny pancerz gotów był pęknąć. Lecz oto ukazał się kłęb dymu z pod mej przyłbicy. Warto było zobaczyć jak fala przeciwników nagle się rozprysła i znikła. Daję słowo, to widowisko wydało mi się najpiękniejszym z wszystkich, jakie miałem kiedykolwiek sposobność oglądać.

Rycerze jednakże zatrzymali się o kilka staj odemnie i to mnie nieco peszyło. Tryumf mój stawał się problematyczny: poczułem znowuż — poprostu mó-

wiąc — strach. Uważałem się już za zgubionego i nie rozumiałem zupełnie zachowania się Sandy, która nie posiadała się z radości i, sądząc ze wszystkiego, postanowiła już zrobić użytek ze swego krasomówstwa. Powstrzymałem ją jednak i rzekłem, że czary moje widocznie zawiodły, i że radzę jej wobec tego wdrapać się na konia i ratować się wraz ze mną ucieczką. Ale Sandy nie miała do tego najmniejszej chęci. Zdaniem jej, moje żarty zupełnie opanowały rycerzy. Nie odjeżdżali oni poprostu dlatego, że nie byli w stanie tego uczynić. Kiedy tylko zwał się z koni, trzeba będzie zawładnąć ich rumakami i uprzężą. Nie uwierzyłem, rzecz jasna, tym bredniom i starałem się ją przekonać, że się myli. Gdyby moje czary miały na nich tak piorunujące działanie, zabiłyby ich z miejsca, lecz ponieważ ci ludzie żyją, przeto należy sądzić, że coś się w moim aparacie popsulo. Słowem, musimy zmykać i to jak najprędzej, gdyż lada chwila możemy być znów zaatakowani. Lecz Sandy roześmiała się tylko:

— O nie, sir, niestety, nie są to ludzie tego pokroju. Sir Lancelot bez namysłu wszcząłby walkę ze smokami i walczyłby z nimi bez strachu dopóki ich nie zwyciężył. To samo uczyniłby i sir Pelbinor i sir Aglowar i sir Karados i, być może, znalazłoby się jeszcze kilku takich śmiałków, — ale ci tam nie należą do takich, co by chcieli narażać życie. Czy nie widzisz, że strachu zupełnie potracili głowy. Co chcesz uczynić z tymi tchórzami?

— Ale w takim razie — rzekłem — na co ci ludzie czekają? Czemu nie zostawiają nas w spokoju i nie odjadą? Nikt im przecie tego nie broni zrobić. Wystarczy mi, że ich zwyciężyłem.

— Czemu nie odjeżdżają? Gdyż nie mają odwagi. Czekają na to, aby się zdać na twoją łaskę i niełaskę.



— Dlaczegoż więc tego nie robią, u licha?

— Nie sądź ich zbyt surowo, sir, — ale strach przed smokami nie pozwala im się zbliżyć do ciebie.

— A więc ja podjadę do nich i..

— O nie, szlachetny panie, czmychną przy pierwszym twoim kroku. Pozwól raczej mnie pomówić z nimi.

Sandy skierowała się ku czekającym woddali rycerzom.

Co do mnie, wciąż jeszcze wątpiłem w swe zwycięstwo i uważałem jej przypuszczenia za błędne. Jednakowoż, po upływie kilku chwil już ujrzałem rycerzy, ruszających galopem w stronę Camelotu, a Sandy wracającą zpowrotem. Odetchnąłem z ulgą. Sprawa była załatwiona idealnie.

Sandy powiedziała mi, że dość jej było oznajmić, że jest wysłanniczką Patrona, uzbrojona kompanja, nieprzytomna ze strachu, przyjęła z największą pokorą wszystkie moje warunki. Wówczas Sandy rozkazała im zjawić się najpóźniej w ciągu dwóch dni na dworze króla Artura i oddać się w jego ręce wraz z giermkami, rumakami i uprzężą.

Trzeba przyznać mojej towarzyszce, że świetnie się nadawała do tego rodzaju pertraktacyj. O wiele lepiej udało jej się załatwić to wszystko, niżbym potrafił zrobić to ja sam. Doprawdy, ta dziewczyna, mimo odmiennych pozorów, miała jednak głowę na karku.

Dalsza podróż odbywała się bez przygód. Już zupełnie o zmierzchu ujrzeliśmy w oddali wznoszący się na wzgórzu zamek. Był to olbrzymi, krzepki, budzący szacunek gmach o szarych wieżach i fortyfikacjach, od stóp do wierzchołka owitych bluszczem. Majestatyczny i wspaniały wyrósł przed nami, kąpiąc się w ostatnich

promieniach krwawo zachodzącego słońca. Był to największy zamek z pośród tych, jakie dotychczas spotkałiśmy na swej drodze. Sądziłem, że ten właśnie stanowi cel podróży, lecz Sandy nie mogła nawet poinformować mnie, do kogo należy. Nie przyszło jej jakoś do głowy zapytać o jego nazwę, kiedy jechała tędy do zamku króla Artura.

#### XIV. MORGAN LE FAY.

Jeśli wierzyć mej braci, błędnym rycerzom, to nie we wszystkich zamkach można było liczyć na gościnne przyjęcie. Skądinąd, jeśli wnioskować z tego, co miałem sposobność zaobserwować, niebardzo zasługiwali oni na zaufanie, zaufanie w tym sensie, jaki się nadaje dziś temu słowu. Zgodnie z ówczesnymi poglądami byli oni może ludźmi zupełnie godnymi wiary. Co do mnie, to dla zdania sobie sprawy z istotnego stanu rzeczy robiłem zawsze mały arytmetyczny rachunek, mianowicie, odejmowałem od całości 97%, kładąc je na karb fantazji rycerza, pozostałe zaś uważając za fakt, nie ulegający wątpliwości. Przerobiwszy i tym razem to samo działanie, postanowiłem zadzwonić u wejścia do zamku, t. zn. zawołać strażę. Lecz w tej samej chwili na zakręcie wiodącej do zamku drogi ukazał się jakiś jeździec. Kiedyśmy się znaleźli w nieznaczej odległości od siebie, spostrzegłem, że nosi hełm z pióropuszem i stalową zbroję, lecz że ta ostatnia mieściła się w czemś w rodzaju twardego, zabawnie wyglądającego futerału. Mimowoli uśmiechnąłem się ze swego braku pamięci, kiedy zbliżywszy się, przeczytałem napis na futerale:

„Persimmońskie mydło — używają wszystkie primadonny“. Był to mój własny wynalazek, wprowadzo-

ny przedewszystkiem w celach higienicznych. W głębi duszy piastowałem jeszcze jeden zamiar: pragnąłem w ten sposób podciąć raz na zawsze korzenie idjotycznej instytucji błędnego rycerstwa. Wybrałem kilku zuchów z pośród największych zawalidrogów i wyposażyłem ich w płaszcze-futurały z rozmaitemi ogłoszeniami. Byłem przekonany, że w miarę zwiększania się ich liczby, zaczną oni czynić piekielnie zabawne wrażenie. Wówczas każdy bez wyjątku osioł, zakuty w stal, będzie wywoływał śmiech i kpiny i tym sposobem ten śmieszny i barbarzyński zwyczaj zostanie powoli wyługowany.

Misjonarze moi mieli zapowiedziane, że muszą wszystkim bez wyjątku, kogo spotkają, odczytywać złote napisy na swych futerałach. Pozłota odpowiadała barbarzyńskiej wspaniałości tych czasów i łatwiej, niż co innego, mogła ściągnąć uwagę ludzi i rycerstwa na napis. Obowiązkiem więc spotkanego błędnego rycerza było odczytywanie i objaśnianie lordom i ladies znaczenia mydła. W razie gdyby szlachetni lordowie i wysoko urodzone ladies wzdragali się przed użyciem go, proponowano wypróbować działanie mydła na psach ich szlachetnego właściciela. Pozatem misjonarze musieli używać mydła sami wraz ze swemi rodzinami i popierając swe słowa własnem doświadczeniem, przekonywać o jego dobrodziejstwie szlachtę. W wypadkach zaś wyjątkowej odporności klienta zalecane było złapanie i wyszorowanie mydłem jakiegoś pustelnika, co nie przedstawiało specjalnej trudności, gdyż wszystkie lasy roily się od nich. Jeżeli zaś to nawet nie przekona szlachetnego klienta, to trzeba dać mu spokój i postać go do wszystkich djabłów.

Misjonarz czystości, spotykający błędnego rycerza, rzucał mu wyzwanie i jeśli udało mu się go zwyciężyć, szorował go od stóp do głowy. Jeśli zwyciężony nie rozchorował się po tej operacji, wiazano go rycer-

skiem słowem honoru, że poświęci się reklamowaniu mydła i że do grobowej deski poświęci się krzewieniu mydła i cywilizacji. Co się tyczy mej mydlarni, to ta szła świetnie. Z początku miałem dwu robotników, lecz już przed wyjazdem zostawiłem piętnastu, pracujących dniami i nocami. Skutki pomyślnego rozwoju mej fabryczki dały się prędko „odczuć”: król doznawał lekkich omdleń i kłął się, że w tego rodzaju powietrzu dłużej nie wytrzyma. Sir Lancelot wlaźł zaś aż na dach mydlarni i choć go zapewniałem, że tam jest najgorzej, nie schodził i powtarzał z uporem, że potrzebuje jaknajwięcej powietrza. Przytem kłął się, że każdego, komu przyjdzie do głowy założyć u siebie w domu mydlarnię, wyprawi najkrótszą drogą do piekła.

Rycerza, któregośmy spotkali, zwano La Cote Male Taile. Poinformował mnie, że w zamku zamieszkuje siostra króla Artura, będąca żoną króla Urieusa, na którego terytorjum znajdowaliśmy się. Królestwo Urieusa było zresztą tak wielkie, jak mniej więcej okręg Kolumbji; można było stanąć pośrodku niego i rzucić kamień z zupełnem przeświadczeniem, że upadnie w sąsiedniem królestwie. Wogóle królów i państw w Brytanji było tak wiele, jak swego czasu w Grecji lub w Palestynie. Mieszkańcy sypiali tam, zwinawszy się w kłębek, gdyż nie mogli wyciągnąć nóg bez paszportu. La Cote był niezmiernie przygnębiony, gdyż spotkało go tu kompletne fiasco. Nie zarobił nawet na chleb. Nic nie pomogło, zawiodło nawet demonstracyjne szorowanie mydłem pustelnika, który oddał ducha ze strachu.

Pożegnawszy rycerza, którego napróżno starałem się pocieszyć, podążyliśmy bez przeszkód do zamku, rozmawiając z Sandy po drodze o strapieniach La Cote'a. Dziewczyna twierdziła, że mego misjonarza od pierwszego dnia podróży zaczęły trapić niepowodzenia. Powodem ich była, podług niej, kłęska, której La Cote

doznał przed samym wyjazdem. Zgodnie z panującym zwyczajem, towarzyska rycerza, jeśli ten ją posiada, przechodzi do rąk zwycięscy, — lecz Maledisant-Sandy mego Misjonarza — nie zgodziła się na to i nawet po porażce rycerza została przy jego boku. Na moje przypuszczenie, że zwycięzca wolał politycznie nie upominać się o zdobycz, Sandy odparła, że jest to niemożliwe, gdyż zwycięzca jest obowiązany przyjąć towarzyszkę zwyciężonego rycerza. Przyjąłem to do wiadomości. Kiedy muzyka Sandy zaczęła mi już zbyt dźwięczać na nerwy, pozwolę się poprostu położyć przez jakiegoś draba na obie łopatki, t. j. dam mu wysadzić się z siodła, i będę wolny jak ptaszek.

Tymczasem zostaliśmy spostrzeżeni przez straż z murów zamku i po krótkich pertraktacjach wpuszczeni do środka. Nie wróżyłem sobie po tej wizycie niczego dobrego. Reputacja pani de Fay była mi znana. Dama ta trzymała w postrachu całe królestwo, wmówiwszy wszystkim, że jest wszechwładną czarodziejką. Była ona przesiąknięta złością aż do szpiku kości. Życie jej było pasmem zbrodni, wśród których mord nie odgrywał ostatniej roli. Gdyby nie wzięty na siebie obowiązek poszukiwania przysług, nie pomyślałbym nigdy o odwiedzeniu tego zamku i jego właścicielki.

Praгнаłem spotkania z nią w tym samym mniej więcej stopniu, co spotkania z Belzebubem. Lecz, ku memu zdumieniu, okazało się, że czarownica jest wyjątkowo piękną kobietą. Jej czarne myśli ani trochę nie odzwierciedlały się na jej obliczu, podobnie jak wiek nie wyrzył ani jednej zmarszczki, nie skaził ani jedną plamką jej olśniewająco świeżej, atlasowej cery. Mogłaby ona śmiało uchodzić za wnuczkę starego Urieusa i za siostrę własnego syna.

Niezwłocznie po przestąpieniu progów zamku polecono nam stawić się przed królową. Tutaj, w sali przy-

jęć, ujrzelśmy obok królowej jej małżonka, staruszka o dziecinnych oczach i przygnębionym wyrazie twarzy, a także syna jej, Uwaine'a le Blanchemainga. Na tego ostatniego spojrzałem z zaciekawieniem; o wędrowce jego z sir Marhausem i zwycięstwie nad 30 rycerzami opowiadała mi Sandy. Lecz najwyraźniej główną rolę odgrywała tu Morgan i wszyscy wobec niej usuwali się na dalszy plan. Z niewystłowioną gracją i czarującą uprzejmością poprosiła nas, abyśmy zajęli miejsca i zaczęła zarzucać mnie pytaniami. Mój Boże! Ta kobieta śpiewała jak ptak, albo jak flet, jeśli wolno użyć takiego porównania. Byłem święcie przekonany, iż biedną królowę ohydnie spotwarzono. Właśnie szczebiotała i śmiała się, gdy doszedł młodzieńca, śliczny pazik, w ubraniu, mieniącym się wszystkimi kolorami tęczy. Lekkim krokiem, ledwo dotykając ziemi, zbliżył się do królowej, przyklęknął na jedno kolano i podał jej coś na złotej tacy. Kiedy powstał i cofał się, gnąc się w pokłonach, stracił nagle równowagę i bezgłośnie upadł u jej stóp. Wówczas zręcznie i spokojnie cisnęła weń swym ostrym sztyletem, tak jakby celowała w mysz!

Biedne dziecko upadło nawznak i po kilku konwulsyjnych drgawkach wyzionęło ducha. Staremu królowi wyrwał się okrzyk współczucia, który natychmiast zamarł na jego ustach. Sir Uwaine na znak matki zawołał na służę, królowa zaś szczebiotała dalej, jakgdyby nigdy nic.

Mogłem spostrzec jak doskonałą jest gospodynią, gdy nie przerywając rozmowy, bacznie śledziła służę, wycierającą podłogę. Przyniesione przez nich mokre płótna kazała sprzątnąć i przynieść inne. A gdy skończyli wycierać podłogę i zamierzali opuścić salę, Morgan le Fay zatrzymała ich spojrzeniem, wskazawszy na czerwoną plamkę wielkości łyż, której nie dostrzegli. I to wszystko podczas niemiłkającej rozmowy ze mną!

Zadziwiająca kobieta! A jej spojrzenie! Gdy wzrokiem strofowała sługi, nieszczęśliwcy robili wrażenie rażonych piorunem. Sam zresztą zacząłem doznawać podobnego uczucia. Co do biednego starego Urieusa, to wystarczyło, by odwróciła głowę w jego stronę, a stary król formalnie kurczył się ze strachu.

Wśród rozmowy wyraziłem się mimochodem pochlebnie o królu Arturze, zapomniawszy o jej śmiertelnej nienawiści do niego. To wystarczyło. Jakgdyby czarna chmura padła nagle na jej twarz. Wezwawszy strażę, Morgan le Fay zawołała:

— Odprowadzić tych ludzi do baszty!

Z przerażenia zaniemówiłem: reputacja jej baszty była mi nieco znana. Zupełnie się straciłem i żadna zbawcza myśl nie przychodziła mi do głowy, mogąca mnie wyratować z tej opresji. Ale całkiem inaczej się zachowała Sandy. Nie zdążył jeszcze strażnik położyć ręki na mem ramieniu, kiedy moja towarzyszka zapisała:

— Niech Bóg was broni, szaleńcy! Czy się wam życie sprzykrzyło? Toż podnosicie rękę na Patrona!

Co za szczęśliwy pomysł! I jaki prosty! Czy coś podobnego strzeliłoby mi kiedykolwiek do głowy?! Coprawda, byłem skromny od urodzenia, ale tu moja skromność była conajmniej nie na miejscu.

Działanie tych słów na madame było piorunujące. Myśli jej nagle przyjęły zupełnie inny kierunek, twarz rozjaśnił czarujący uśmiech, ta sama pełna gracji miękkość czaiła się w ruchach i tak samo przymilnie, jak poprzednio, brzmiał jej głos. To wszystko nie przeszkadzało mi dostrzec, że ta niezwykła kobieta przeżywa w tej chwili równie wielki strach, jak ja przed chwilą.

— Twoja towarzyszka jest doprawdy zabawna! Czyż sądzi, że kobieta o tak wielkiej potędze czaro-



dziejskiej, jak ja, mogłaby nie wiedzieć o odwiedzinach słynnego zwycięscy Merlina. Chciałam ci poprostu spletać figla, aby ujrzeć jak zabijesz jednym spojrzeniem strażników, gdy się ciebie dotkną. Takie cuda wymykają się z pod mej władzy i byłam ich niezmiernie ciekawa.

Lecz strażnicy królowej byli widocznie mniej ciekawi, gdyż z pośpiechem zniknęli na pierwsze jej skinienie.

## XV. UCZTA DWORSKA.

Madame, widząc że jestem pokojowo i dobrodusznie nastrojony, nie wątpiła, że uwierzyłem jej tłumaczeniom. Strach jej minął i bezpośrednio po zajściu zaczęła mnie zarzucać prośbami, bym zabił kogokolwiek z otoczenia. Zacząłem już nie na żarty się niepokoić, gdy na moje szczęście zaczęto zwoływać na modlitwę. Do charakterystyki ówczesnej arystokracji, należy dodać, że przy całym swoim okrucieństwie i krwiożerczości i wogóle przy całym swym moralnym rozkładzie, była ona głęboko i płomiennie religijna. Nic nie mogło tych ludzi oderwać od ciągłego drobiazgowego wykonywania obrzędów przepisanych przez Kościół. Niejednokrotnie zdarzało mi się widzieć rycerza, który zwyciężwszy wroga, zmagiał modlitwę, wprzód nim poderżnął gardło pokonanemu. Niejednokrotnie również zdarzało mi się widzieć rycerza, który już wystawszy wroga na tamten świat, stawał na stronie, by zmówić dziękczynną modlitwę przed ograbieniem ciała zabitego. Była to ta sama brutalność, którą się odznaczało życie takiego Benwenuta Cellini—żyjącego dziesięć stuleci po opisanym czasie. Wszyscy arystokraci Brytanji byli obecni wraz z rodzinami na wszystkich nabożeństwach porannych, dziennych i wieczornych w swoich kaplicach. Pozatem wszyscy, nawet najbardziej grzeszni

z nich, pięć, sześć razy dziennie zjawiali swe zwykłe domowe modlitwy. Po nabożeństwie obiadowano w wielkiej sali, oświetlonej setkami lamp z płonącym tłuszczem i ozdobionej z prostacką wspaniałością owych czasów. W pierwszej połowie sali był ustawiony na podwyższeniu stół dla króla, królowej i ich syna Onena. W górę od tej estrady ciągnęły się stoły. Przy pierwszych siedzieli przyjezdni goście, arystokraci i członkowie rodziny królewskiej w liczbie sześćdziesięciu jednego człowieka. Dalej zajmowali miejsca dworzanie. Ucztowało sto osiemdziesiąt osób, przyczem za krzesłem każdego biesiadnika stał sługa a dookoła kręcił się tłum innych. Było to imponujące widowisko. Na galerji znajdowała się orkiestra, składająca się z cymbałów, rogów, harf oraz innych instrumentów.

Przy wejściu orszaku królewskiego na salę orkiestra zagrała jakąś przeraźliwą melodję, przypominającą agonję, lub płacz umierającego. W późniejszych stuleciach rzecz ta stała się popularna pod nazwą „Słodycz Spotkania”. Podówczas była ona zupełnie nowa i mało znana, sądząc z wykonania, nawet muzykantom. Z tego, czy też innego powodu królowa kazała powiesić kompozytora natychmiast po obiedzie. Po muzyce pater, stojący przy królewskim stole, odmówił długą modlitwę po łacinie. Potem cały bataljon sług zerwał się z miejsca, wszyscy zaczęli się gorączkowo uwijać, latać na wszystkie strony, przynosząc dziesiątki dań i uczta się zaczęła. Zamilkły śmiech i rozmowy, towarzystwo było obecnie całkowicie zaabsorbowane pochłanianiem przysmaków. Szczęki miarowo otwierały się i zamykały, jednocześnie mlaskając i wydając dźwięk, przypominający zgrzyt podziemnej maszyny.

To napychanie się trwało półtorej godziny, w ciągu których została pochłonięta niewiarogodna ilość jedzenia. Od głównej ozdoby stołu — olbrzymiego pieczonego niedźwiedzia nie zostało nic, prócz czegoś w ro-

dzaju krynoliny z żeber. Ten sam los spotkał również i pozostałe dania. Po wetach rozpoczęła się pi'atyka, która rozwiązała języki. Beczułki wina i miodu znikwały jedna za drugą i ukazywały się znowu, towarzystwo stawało się coraz bardziej hałaśliwe i wesołe. Żarty, dowcipy i rozmowy, w których brały udział również i damy stawały się coraz bardziej rozwiązłe. Mężczyźni opowiadali anegdotki, których niepodobna było słuchać, lecz które tu na niczyjej twarzy nie wywoływały rumieńca wstydu. Gdy zaś sprośność przekraczała wszelkie granice, wówczas całe zebranie pokładało się od śmiechu, który przypominał końskie rżenie i od którego drżały ściany. Damy odpowiadały na to historyjkami, któreby w stanie były zażenować nawet królową Małgorzatę Nawarską lub Katarzynę Wielką. Tu zaś te rzeczy nikogo nie konfundowały, lecz odwrotnie, wszyscy ryczeli ze śmiechu na najrozmaitszy sposób. Bohaterami najbardziej obleśnych historyj były osoby z duchowieństwa, co nie przeszkadzało bynajmniej kapelanowi zaśmiewać się wraz z resztą towarzystwa. Co więcej, ustępując ogólnym prośbom, dobry pater zaśpiewał ochrypniętym głosem najbardziej pikantną ze wszystkich piosenek, jakie tu śpiewano w ciągu tej nocy.

Koło północy wszyscy byli wyczerpani pićciem i krzykiem i naturalnie wszyscy byli pijani. Jedni byli ponurzy drudzy podnieceni, niektórzy tylko weseli inni rozmarzeni, a inni znowu spali jak zabici pod stołem. Z dam najokropniejszy widok przedstawiała młodzianka wesoła księżna, dopiero od niedawna zamężna. Prześcignęła ona nawet słynną wiele wieków później córkę Regenta Orleańskiego, którą wyniesiono z sali po wielkoświatowym proszonym obiedzie pijaną do utraty przytomności. Było to za ostatnich haniebnych dni starego regime'u.

Nagle, kiedy kapelan podniósł ręce, a wszyscy którzy nie stracili jeszcze przytomności, pochyłili głowy,

by przyjąć błogosławieństwo, we drzwiach pod arką ukazała się siwa zgarbiona staruszka. Wskazując na królową podniosła kulę, którą się podpierała i zawołała:

— Niech zemsta, niech przekleństwo spadnie na twą głowę, okrutna kobieto, któraś zabiła mego nieszczonego wnuka! Nie miałam nikogo, ani krewnych, ani przyjaciół, nikogo prócz tego dziecka!

Wszyscy w najwyższym przestachu zaczęli się żegnać, gdyż ogromnie się lękano przekleństwa. Jedna tylko królowa podniosła się i z majestatycznym gestem rzuciła okrutny rozkaz:

— Zawleczcie ją i przywiążcie do słupa!

Straż się rzuciła, aby czempredzej wypełnić rozkaz. Była to hańba, wstyd mi było na to patrzeć. Ale co tu czynić? Sandy spojrzała na mnie, pojąłem, że zeszło na nią natchnienie.

— Rób co uważasz za właściwe! — rzekłem.

Wówczas wstała i zwróciła się do królowej. Poczem wskazując na mnie wyrzekła:

— Madame, on mówi, że tego nie powinno być. Zastosujmy się do jego rozkazów, gdyż w przeciwnym razie zniszczy on zamek i zetrze go z oblicza ziemi wraz ze wszystkimi, którzy się tu znajdują!

Jak jej mogło przyjść do głowy stawiać tak szalone warunki! A co, jeśli królowa... Lecz nie zdążyłem się jeszcze opamiętać z przestachu, jak już królowa, dygocząc z przerażenia, dała straży znak, by zaniechała wypełnienia rozkazu, i bez słowa upadła raczej, niż usiadła na swoje miejsce, zapomniawszy o wszelkich ceremonjach. Zebranie zerwało się jak jeden mąż i rzuciło się ku drzwiom, przewracając krzesła, tłukąc naczynia, walcząc i popychając się wzajemnie. W jednej chwili zrobiło się dookoła mnie pusto. Tak, ci ludzie byli zdumiewająco zabobonni i należało z tego zrobić użytek.

Biedna królowa do tego stopnia zmieniała się w owieczkę, że nawet bała się powiesić kompozytora, nie poradziwszy się uprzednio ze mną. Było mi jej bardzo żal, tak czy inaczej biedactwo bardzo cierpiało. Postanowiłem korzystać ze swego wpływu rozumnie, nie nadużywając go. Sprawę kompozytora należało rozpatrzyć i stanęło na tem, że kazałem orkiestrze powtórnie zagrać „Słodycz Spotkania”. Poczem doszedłem do przekonania, że królowa miała kompletną rację i pozwoliłem jej powiesić całą orkiestrę. To małe obluźnienie karbów wywarło na królowej nadzwyczajne wrażenie. Mąż stanu mało zyskuje, jeżeli zbyt mocno przeciąga strunę autorytetu, gdyż to obraża ambicję podwładnych i tem samem podważa jego siłę. Mądra polityka poleca pewną pobłażliwość tam, gdzie nie może ona przynieść szkody.

Gdy królowa przysłała do siebie po przeżytym strachu, wypite wino znów zaczęło robić swoje i powrócił dawny humor. Znów popłynęły słodkie dźwięki, znów zadźwięczały srebrne dzwoneczki jej głosu. Ależ, potrafiła mówić ta kobieta! Jednakowoż zacząłem odczuwać zmęczenie i chęć spoczynku, — z przyjemnością wyciągnąłbym się na łóżku, gdybym nie był zmuszony podporządkowywać się okolicznościom. A ona wciąż dzwoniła i dzwoniła, długo rozbrzmiewał jej głos w pustej sali.

Nagle usłyszałem jakieś oddalone dźwięki, wydobywające się jakby z pod ziemi, dźwięki mówiące o tak nieludzkich cierpieniach, że aż dreszcz przebiegł mnie całego. Królowa zamilkła, oczy jej zabłyśły i z gracją przechyliła główkę na bok, niby nasłuchujący słowik. Dźwięki coraz wyraźniej i dobitniej dochodziły wśród ciszy, która nastąpiła.

— Co to? — zapytałem.

— Drobiazg! To rogata, twarda dusza nie chce

zmięknąć i opuścić ciała. Już od wielu godzin to wytrzymuje.

— Co wytrzymuje?

— Tortury. Chodźmy, ujrzysz piękne widowisko. Jeden z moich ludzi nie chce wydać swej tajemnicy, zobaczysz, jak go rozszarpują.

Jakże pieśczośliwie i miękko wysunęła swe szpony! Jakże niezmaczenie spokojna była wtedy, gdy mnie pociemniało w oczach na myśl o torturach tego człowieka. W otoczeniu straży, oświetlającej drogę płonącymi pochodniami, zstępowaliśmy na dół ciemnymi wilgotnymi korytarzami, po krętych kamiennych schodach. Ze ścian ściekała woda, wilgoć przeszywała mnie drezczem aż do szpiku kości, w powietrzu wznosił się stęchły zapach podziemia. Nasza wędrówka w jakąś nieznaną ciemną głębię wydawała się nieskończenie długą i nie stawała się ani krótszą, ani przyjemniejszą od rozmów pięknej czarownicy. Królowa opowiadała o torturowanym, o jego zbrodni. Na podstawie anonimowej skargi został on oskarżony o zabójstwo jelenia w królewskich lasach.

— Anonimowe skargi nie zawsze są wiarogodne, królowo! — zwróciłem się do niej — sprawiedliwość wymaga skonfrontowania oskarżyciela z oskarżonym.

— Nie pomyślałam o tych drobiazgach, lecz gdybym nawet chciała, nie mogłabym tego uczynić, gdyż oskarżyciel przyszedł w nocy zamaskowany i powiedział kilka słów leśniczemu, momentalnie znikł.

— A więc prócz niego, nikt nie widział, jak zabito jelenia?

— Ach, mój Boże! wogóle nikt nie widział, jak zabijano jelenia. Ale nieznajomy widział tego nędznika niedaleko miejsca, gdzie leżał zabity jeleń i momentalnie doniósł leśniczemu. Postępek, godny pochwały.

— To znaczy, że nieznajomy też się znajdował

w pobliżu zabitego jelenia. Wobec tego można również przypuścić, że to on zabił jelenia, czego dowodzi jego chwalebna zresztą gorliwość, jak również i to, że był zamaskowany! Lecz dlaczego, królowo, uważałaś za wskazane poddać torturom zbrodniarza?

— W przeciwnym bowiem razie nie przyznałby się i nie wypowiedział i duszy jego groziłoby wieczne potępienie. Ja zaś dla uratowania własnej duszy nie mogę dopuścić, by on umarł bez skruchy i odpuszczenia grzechów. Byłabym idiotką, gdybym przez niego miała trafić do piekła.

— Ale niechże Wasza Wysokość sobie wyobrazi, że ten człowiek nie ma do czego się przyznać?

— To właśnie zobaczymy. Jeśli go zamęczą na śmierć, a on jednak się nie przyzna, to będzie to znaczyło, że rzeczywiście nie ma się do czego przyznawać. I wówczas nikt mnie nie osądzi za to, że się człowiek nie przyznał, gdy się nie miał do czego przyznać.

Byłoby zupełnie pozbawione sensu tracić czas i wysiłki, aby ją przekonać. Wszelkie dowody rozbijały się o jej skamieniałe przesady, jak fala o skałę. I temi przesadami byli zarażeni wszyscy bez wyjątku. Najmędrszy człowiek w kraju nie był w stanie spostrzedz absurdalności jej poglądów na tę sprawę.

Gdy weszliśmy do podziemia, ujrzałem obraz, którego nie mogę zapomnieć do dziś dnia. Młody olbrzym lat trzydziestu lub koło tego leżał na plecach w czworokątnej drewnianej ramie, przyczem ręce jego i nogi były przymocowane w przegubach do sznurów, połączonych z kołami po obydwóch stronach ramy. Z twarzy jego zbiegła cała krew, wielkie krople zimnego potu zastygły na jego czole. Ojciec duchowny stał pochylony nad nim z jednej strony, kat z drugiej, straż stała dookoła, wdłuż ścian paliły się pochodnie. W kącie skuliła się nieszczęśliwa młoda kobieta, której twarz wykrzywił spazm rozpaczny. W oczach jej zastygł wyraz



dzikiego przerażenia. Małe dziecko spało na jej kolanach. Kiedyśmy weszli i przystanęli na progu, kat obracał koło maszyny. Równocześnie rozległ się przeraźliwy jęk torturowanego i kobiety. Ja również nie powstrzymałem się od okrzyku zgrozy i kat wypuścił koło, nie oglądając się na drzwi. Nie mogłem dłużej znieść tego widowiska, które mnie mogło zabić. Poprosiłem królową o pozwolenie dojścia do przestępcy i pomówienia z nim sam na sam.

Gdy się zaczęła sprzeczać, powiedziałem jej, że nie chciałem jej robić przykrości w obecności podwładnych, lecz będę jednak obstawał przy swoim. Jestem tu przedstawicielem króla Artura i mówię w jego imieniu. Wtedy Morgan le Fay zrozumiała, iż musi mi być posłuszna. Z wielką przykrością połknęła tę pigułkę i odeszła na stronę, dalej nawet, niż trzeba było. Miałem właśnie zamiar powołać się na rozkaz królowej, lecz uprzedziła mnie powiedziawszy: „Róbcie, co wam rozkaże ten sir. To jest sam Patron”. Nazwa moja i tutaj miała magiczne działanie. Straż królowej posłusznie wyszła wślada za swoją panią z płonącymi pochodniami, budząc echo drzemiących korytarzy miarowym odgłosem oddalających się kroków. Zdjąłem więzienia z ramy i ułożyłem na łożu, potem wymyłem i opatrzyłem rany oraz dałem mu wina. Kobieta podpełzła bliżej i spoglądała na nas z miłością, lecz równocześnie z obawą, jakby się lękając, że ją odepchnę. Spróbowała nawet dotknąć ręką czoła męża, lecz natychmiast ze strachem odskoczyła, gdy tylko na nią niechcący spojrzełem. Jaka głęboka litość wzbudzał ten obraz!

— Ależ na Boga popieść go, jeżeli chcesz — zwróciłem się do kobiety „nie bój się niczego, nie zwracaj na mnie uwagi!” Kobieta spojrzała na mnie z wdzięcznością zamężzonego zwierzęcia, które rozumie, że tym razem nie chcą mu zrobić nic złego. Wypuściwszy dziecko z rąk, schyliła się ku mężowi, przytuliła się do niego,

głaskała go delikatnie po głowie, a łzy bez przerwy lały się z jej oczu. Mąż patrzył na nią wzrokiem pełnym miłości, jego wymęczone torturami ciało nie pozwalało mu unieść nawet ręki. Korzystając z tego, że zostaliśmy sami, powiedziałem:

— Teraz przyjacielu, opowiedz, jak się ta sprawa przedstawia w twojem oświeceniu?

Człowiek nic nie mówił, lecz twarz kobiety się ożywiła.

— Czy znacie mnie? — zapytałem.

— Tak. Wszyscy uciekają do królestwa Króla Artura.

— A więc nie bójcie się mnie!...

— Ach, szlachetny panie, gdybyś potrafił go pokonać, a ty potrafisz co zechcesz. On tak cierpiał i wszystko przecież dla mnie, dla mnie! Jak można to wytrzymać! O, gdybym mogła go ujrzeć umarłego! Wolę go widzieć martwego, niż patrzeć na twe cierpienia! O, mój Hugonie, nie mogę tego już dłużej znosić!

Padła ku moim nogom i płakała, łkając i błagając mnie. Ale, o co błagała! O śmierć dla męża?! nie mogłem zrozumieć, o co chodzi. Lecz tu wtrącił się Hugon.

— Milcz, sama nie wiesz, o co prosisz! Czyż mam, ażeby samemu spokojnie i bez cierpień umrzeć, skazać na głodową śmierć mych najbliższych?!

— Lecz ja nadal nic nie rozumiem, tu jest jakieś nieporozumienie.

— Ach, drogi Panie, przekonamy go! Spójrz, jaką torturą dla mnie jest jego męka! A on nie chce mówić! Nie chce dostąpić pociechy cichej, spokojnej śmierci!

— Ależ o czym tu mówicie! Twój mąż nie ma wcale potrzeby umierać, odejdzie stąd i będzie wolnym człowiekiem.

Błada twarz Hugona się ożywiła, a żona rzuciła się do mych kolan, pełna niewymownego szczęścia i zachwytu.

— On jest uratowany! — krzyknęła — słowa twoje są słowami króla, jesteś wysłańcem króla Artura! Słowa króla są złotem!

— Dobrze. Więc widzicie teraz, że możecie mi zaufać. Dlaczegoż więc mi nie ufacie? Opowiedzcież mi tę całą historję z jeleniem. Doskonale widzę, że nie przyznaliście się dlatego, że nie mieliście się do czego przyznać!

— Jakto nie miałem do czego się przyznać, Panie?! Przecież to ja zabiłem jelenia!

— Wyście zabili? Moi kochani, teraz już nic nie rozumiem.

— Drogi panie, ja na kolanach go błagałam, by się przyznał, ale...

— Wyście prosili? Coraz mniej rozumiem... Pocóż go o to prosiliście?

— Gdyż wtedy umarłby prędko i bez męczarni.

— Tak, to ma swoje podstawy, ale czyż on sam nie chciał prędkiej śmierci bez tortur?

— On? Ależ naturalnie, że chciał.

— Więc czemu się nie przyznał?

— Ach, szlachetny sir, nie łatwo jest zostawić żonę i dziecko bez chleba i bez dachu nad głową!

— O, złote serce! Wszystko teraz rozumiem! Okrutne prawo konfiskuje majątek przestępcy, który się przyzna, a rodzinę puszcza z torbami w świat. Zamęczonoby tu ciebie do śmierci, ale bez przyznania się do winy z twojej strony nie ograbionoby wdowy i dziecka. Postąpiłeś, jak dobry mąż. A ty, wierna żono, jak prawdziwa kobieta, chciałaś kupić mu spokojną śmierć ceną własnej powolnej śmierci głodowej. Obydwoje poświęcaliście się jedno dla drugiego. Wezmę was do swojej kolonji, znajdzie się tam dla was praca. Jest to moja fabryka, gdzie z automatów czynią ludzi.

## XVI. PODZIEMIA KRÓLOWEJ.

Udało mi się wreszcie uwolnić więźnia. Miałem natomiast gorącą chęć skazania kata na tortury. Nie za to, że spełniał swój obowiązek, gorliwie męcząc przestępcę, — nie można przecież karać za spełnienie obowiązku. Lecz chciało mi się odpłacić mu za okrutne obchodzenie z biedną kobietą, za jego nagrywania się z niej. O tem donieśli mi i gorąco mnie prosili, bym go ukarał, obecni przy tem duchowni.

Niektórzy z tych ludzi, trzeba przyznać, byli zdolni do szlachetnych uczynków. Później nawet miewałem niejednokrotnie sposobność stwierdzić, że nie tylko wszyscy duchowni nie są oszustami i samolubami, lecz nawet że większość z nich, szczególnie duchowni chłopskiego pochodzenia, jest bezinteresowna, dobra i poświęca całe swe życie, aby nieść ulgę swym bliźnim.

Wracając do poprzedniego, z jednej strony, nie mogłem skazać kata na tortury ze względu na królową, z drugiej zaś, nie mogłem nie spełnić zupełnie słusznych żądań duchownego. Tak czy inaczej, oprawca powinien był zostać ukarany; wymówiłem mu więc dotychczasowe miejsce i mianowałem go kapelmistrzem nowej orkiestry. Skazaniec prosił mnie o łaskę, zaklinając się, iż nie ma pojęcia o mu-

zyce; ale był to powód, który tylko w bardzo nieznacznym stopniu można było wziąć pod uwagę: w całym kraju nie było bowiem muzykanta, mającego jakie takie pojęcie o muzyce.

Na drugi dzień królowa czuła się ogromnie urażona, dowiedziawszy się, że nie będzie mogła zabrać Hugonowi ani życia, ani majątku. Lecz powiedziałem jej, że musi się pogodzić z losem i cierpliwie dźwigać swój krzyż. Choć zgodnie z prawem i zwyczajem miała ona prawo do życia i majątku przestępca, lecz w tym wypadku zachodziły łagodzące okoliczności. Przebaczyłem mu winę w imieniu króla Artura. Jeleń stratił pola Hugona i ten uniesiony gniewem zabił go, nie myśląc bynajmniej o przywłaszczeniu zwierzęcia sobie. Odniósł nawet jelenia do królewskiego lasu, mając nadzieję ukryć tym sposobem zbrodnię. Nie mogłem jej w żaden sposób wytłumaczyć, że stan podniecenia jest uważany za łagodzącą okoliczność nie tylko w razie zabójstwa zwierzęcia, ale i człowieka. Zostawiłem ją przy swoim zdaniu nadaśaną. Myśląc jednak, że ją przekonam, gdy przypomnę jej własne zaślepienie gniewem przy zabójstwie pazia, nawiązałem do tego rozmowę, mówiąc o jej czynie, jako o zbrodni.

— Zbrodnia! — krzyknęła z oburzeniem. — Jak możesz tak mówić! Przecież ja płacę za pazia!

Zrozumiałem, że nonsensem byłoby żywić jakąkolwiek nadzieję, że zmieni kiedyś swój punkt widzenia.

„Madame” — powiedziałem — „naród z pewnością będzie cię wielbił za twe miłosierdzie”. Nie mniej pewne było to, że z przyjemnością powiesiłbym ją za to miłosierdzie na pierwszym lepszym sęku.

Zebrawszy się na odwagę, postanowiłem zwró-

cić się ze swojemi sprawami do Jej Królewskiej Mości. Opowiedziałem jej, że oswobodziłem wszystkich więźniów w Camelocie i kilku sąsiednich zamkach. Za jej zezwoleniem chciałem również obejrzeć kolekcję jej klejnocików, jeśli można się tak wyrazić o jej więźniach. Królowa protestowała, lecz ja obstawałem przy swoim. Wreszcie prędzej niż na to mogłem liczyć, wyraziła swą zgodę. Tym sposobem moje zabiegi zostały uwieńczone powodzeniem. Morgan la Fay zawołała straż z pochodniami i wyruszyliśmy do podziemi. Podziemia znajdowały się w fundamentach zamku i po większej części były to niewielkie zagłębienia w skałach. Do niektórych zupełnie nie dochodziło światło. W jednej z takich nor ujrzelśmy istotę w brudnych cuchnących łachmanach, siedzącą na ziemi ze spuszczoną głową. Nie wydała ona ani dźwięku w odpowiedzi na nasze zapytania, spojrzała jedynie parę razy poprzez kosmyki włosów, opadające na twarz, jakgdyby chcąc się dowiedzieć, co to się werwało wraz z dźwiękiem i światłem w bezmyślną, tępą drzemkę, w jaką zmieniło jej życie. Potem znowu opuściła głowę i siedziała schylona z rękami, opadającymi na kolana. Ten nieszczęsny półżywy szkielet wyobrażał widocznie kobietę. Jak się dowiedziałem była ona jeszcze nie stara, trafiła tu, mając lat osiemnaście, a przebywała w ciemności od dziewięciu lat. Była to kobieta ze wsi i osadzona tu została w swą noc poślubną za to, że odmówiła swemu panu sirowi Breuse Sans Pitié, tego, co się nazywało wówczas „le droit de seigneur” lub „lex primae noctis”. Opierając mu się, odchodząc od zmysłów ze strachu i rozpaczony, przelała kilka kropel jego drogocennej krwi. Nowożeniec, sądząc, że życie jego młodej żony jest w niebezpieczeństwie, werwał się do komnaty i wyrzucił stamtąd

swego pana do komnaty obok, ku drżącym ze strachu gościom. Tam też go pozostawił zdumionego dziwnym zachowaniem się swych wasalów i naturalnie rozwścieczonego na nich do ostateczności. Ponieważ lord nie posiadał własnych lochów, więc zwrócił się z prośbą do królowej, by dała u siebie schronienie obojgu przestępcom. I od tego czasu, gdy została dokonana „zbrodnia“, od tej nieszczęśliwej godziny, byli oni zamurowani oboje w tych strasznych podziemiach, w pięćdziesięciu krokach od siebie i jedno nie wiedziało nawet, czy drugie żyje. Pierwsze lata ze łzami pytali się jeszcze: „czy żyje?“ Ich prośby zapewne byłyby w stanie wzruszyć kamienie, lecz widocznie serca strażników twardsze były od kamieni. Nigdy nie otrzymali odpowiedzi i wreszcie przestali zadawać pytania nie tylko te, ale wogóle wszelkie.

Wysłuchawszy tę historję, wyraziłem chęć zobaczenia męża. Mężczyzna, mający dopiero 34 lat, wyglądał jak 70-letni starzec. Siedział na bryle kamiennej, z opuszczoną na ręce głową, długie włosy spadały mu na oczy. Patrząc tępo w jeden punkt bez przerwy, coś bełkotał do siebie. Spojrzał przez chwilę na pałającą pochodnię, znowu opuścił głowę, bełkocząc i nie zwracając na nas najmniejszej uwagi.

Oswobodziłem ich oboje i odesłałem do krewnych i przyjaciół. Królowa nie była tem zachwycona, nie dlatego, że była osobiście dotknięta mym czynem, lecz dlatego, że nie chciała obrazić sira Sans Pitié. Zapewniłem ją, że jeżeli zacznie wyrażać niezadowolenie, potrafię go uspokoić.

Ogółem uwolniłem z tych strasznych nor czterdzieści siedem osób, zostawiwszy tam tylko jednego człowieka. Był to lord, który zamordował jakiegoś

pobratymca królowej. Krewniak ten przygotował dlań pułapkę, by go zabić, lecz ten okazał się sprytniejszy i poderżnął mu gardło. Naturalnie, że nie za to chciałem zostawić go w lochu, lecz za to, że zrujnował całą wieś w swych posiadłościach. Królowa miała chęć powiesić go za zabójstwo krewnego. Lecz objaśniłem jej, że nie można uważać za zbrodnię zabójstwa mordercy. Za zrujnowanie wsi natomiast godziłem się go powiesić natychmiast. Królowa po krótkim namyśle ustąpiła.

Mój Boże, za jakie drobiazgi rzucono tu do tych okropnych lochów owych czterdzieści siedm mężczyzn i kobiet. Niektórzy trafiali tu bez najmniejszej winy, a wprost naskutek czyjejś urazy i nienawiści, nietylko królowej, ale także i jej przyjaciół. Jeden z najdłużej przebywających tu zbrodniarzy został uwieczniony za wypowiedzenie nieostrożnej uwagi o tem, że wszyscy ludzie są jednakowi i że gdyby rozebrać cały naród do naga i wpuścić do kraju cudzoziemca, to nie odróżniłby on króla od pierwszego lepszego rybaka, a księcia od własnego sługi. Widocznie umysł tego człowieka nie uległ całkowitej atrofji, nie bacząc na idjotyczne wychowanie i środowisko. Oswobodziłem go i odesłałem do swojej fabryki.

Niektóre z nor, wyrobionych w skale, leżały tuż nad przepaścią i poprzez wąską szczelinę uwięziony mógł widzieć promień błogosławionego słońca. Klatka jednego z tych nieszczęśników była urządzona ze specjalnie wyrafinowanym okrucieństwem. Z ciemnego i ponurego swego gniazda skalnego, znajdującego się na olbrzymiej odległości, mógł widzieć poprzez wąską szparę swój dom, w dalekiej dolinie. W ciągu dwudziestu lat rozdzierał sobie serce widokiem rodzinnego utraconego ogniska. Widział ognie,



sięgające w oknach wieczorami, a w dzień wpatrywał się w postacię przychodzących i wychodzących osób, żony i dzieci, jak mógł przypuszczać, — przypuszczać, gdyż rozróżnić poszczególne osoby z takiej odległości było naturalnie nie sposób. W ciągu długich lat widział uroczystości i starał się odgadnąć, czy to nie ślub któregoś z dorosłych synów lub córek. Widział i pogrzeby, które rozdzierały mu serce. Rozpoznawał trumnę, lecz nie rozróżniał wielkości jej i nie wiedział, kogo traci: żonę, czy dziecko. Cała smutna procesja z odprowadzającymi trumnę krewnymi i duchowieństwem przechodziła przed jego oczyma, zabierając ze sobą tajemnicę. Idąc do więzienia, zostawił on w domu żonę i pięcioro dzieci, a w ciągu dziewięciu lat widział pięć żałobnych procesyj, wychodzących z jego domu. Ze wspaniałości orszaku mógł sądzić, że umarł ktoś z rodziny nie ze służby i łamał sobie głowę nad tem, kogo porwała mu śmierć. Pięć swoich skarbów już stracił. A więc jeszcze z drogich mu istot przy życiu została tylko jedna, szczególnie teraz droga i kochana.

Ale kto? żona czy dziecko? I jakie?

W dzień i w nocy, we śnie i na jawie dręczyło go natrętne pytanie. Promień słoneczny i nie dające mu spokoju zainteresowanie się życiem jego najbliższych miały jedną dobrą stronę; uchroniły umysł jego przed ostateczną katastrofą, przed zwierzęcem stępieniem.

Gdy opowiedział swe fantastyczne dzieje, przejąłem się niemi tak, że opanowała mnie prawdziwa gorączka hazardu, że niemal nie mniej od niego pragnąłem dowiedzieć się, kto został żywy z jego rodziny. Sam odprowadziłem go do domu i byłem świadkiem namiętnych burzliwych przejawów radości i szczęścia. Były to wybuchy radości, podobne do wulkanów i potoki łez przypominające Niagarę.

I jakże wielkie było nasze zdziwienie! Spotkała nas siwa, czerstwa jeszcze matka jego i żona, otoczona młodymi mężczyznami i kobietami, którzy byli żonaci już i zameżni i mieli już własne dzieci. Wszyscy sześcioro — żona i dzieci byli żywi! Tutaj dopiero poznałem szatańską pomysłowość królowej, która będąc specjalnie wrogo usposobiona względem tego więźnia, wydała rozkaz urządzania fikcyjnych pogrzebów, by go w ten sposób dręczyć.

I pomyśleć, że gdyby nie ja, nigdyby już nie odzyskał wolności, i o niczem by się nie dowiedział. Morgan le Fay szczerze go nienawdziła i nigdy mu nie mogła przebaczyć jego przewinienia. A tymczasem przyczyną jego zbrodni była raczej lekkomyślność, niż zła wola. Ośmielił się powiedzieć, że królowa ma rude włosy. Były one rzeczywiście rude, ale nie wolno było o tem mówić. Kiedy wysokopostawione osoby miały rude włosy, to należało je nazywać złotemi.

Trudno sobie to wyobrazić, ale wśród czterdziestu siedmiu więźniów, było pięciu, których nikt nie znał z imienia, nikt nie wiedział za co i kiedy zostali uwięzieni. Wszyscy wiedzieli, że ci nieszczęśliwi siedzą tu bardzo dawno, ale nikt nie wiedział od kiedy. Według niektórych już 35 lat temu uważani byli za dawnych więźniów, lecz dokładnej liczby lat ich uwięzienia nie domyślano się nawet. Król i królowa również nic nie wiedzieli o tych nieszczęśliwacach, lecz przyjęli ich, jako część odziedziczonego po poprzednim władcy inwentarza. Zostali oni przyjęci, jako pewien spadek, nie przedstawiający wartości i dlatego nie zasługujący na zainteresowanie. „A więc pociście ich trzymali?” — zapytałam królową. Pytanie nie wprawiło ją w zakłopotanie. Nie wiedziała poci, gdyż poprostu nigdy o tem nie myślała. Dla mnie zaś było najzupełniej oczywiste, że

według jej pojęć ci odziedziczeni przez nią więźniowie byli jej własnością i pozatem niczem. Gdy dostajemy coś w spadku, nie przychodzi nam na myśl wyrzucić tego przez okno, nawet w tym wypadku, gdy to „coś” nie przedstawia żadnej wartości.

Gdy wyprowadziłem moją procesję ludzkich ruin na światło Boże, uprzednio zawiązawszy im oczy, które dziesiątki lat nie widziały słońca, było na co patrzeć. Gromada szkieletów, potworów i widm mniejszeby wywarła wrażenie.

— Dobrze byłoby teraz ich wszystkich sfotografować! — mimowoli wyrwało mi się na ich widok.

Znamy wszyscy ludzie, którzy nigdy się nie przyznają, że nie zrozumieli jakiegoś obcego wyrazu. Im bardziej są nieokrzesani tem bardziej starają się wykazać coś wręcz przeciwnego. Królowa należała właśnie do tego gatunku ludzi i dlatego jej rozmowy ze mną nie były pozbawione częstokroć najbardziej nieprzewidzianych i zabawnych momentów.

I tym razem zamyśliła się na chwilę, później twarz jej się rozjaśniła i odchodząc, powiedziała mi, że z chęcią uczyni to dla mnie.

Byłem zaskoczony wiadomością, że królowa ma pojęcie o fotografii. Ale moja towarzyszka nie długo mi się pozwoliła namyślać. Obejrawszy się, ujrzałem, że zbliża się do procesji z toporem w ręku.

Doprawdy zadziwiającą kobietą była ta Morgan la Fay! Znałem w swoim czasie różne kobiety, lecz pod względem oryginalności i skomplikowania przewyższała ona je wszystkie o niebo. Oto był charakterystyczny dla niej epizod! Królowa, rozumie się, nie bardziej od pierwszej lepszej krowy rozumiała co znaczy fotografować procesję, lecz rozstrzygnęła swą wątpliwość, próbując zastąpić aparat siekierą.

## XVII. ZAMEK POTWORÓW.

Następnego dnia byliśmy już z Sandy w drodze. W ciągu trzech godzin, od 6-ej do 9-ej, zrobiliśmy dziewięć mil, co jest zupełnie dostateczne dla konia, obciążonego potrójnym ciężarem: kobietą, mężczyzną i zbroją. Wreszcie spoczęliśmy pod drzewami w pobliżu przezroczyściego źródła.

Akurat w tym samym czasie spostrzegliśmy jakiegoś zbliżającego się do nas rycerza. Był już tak blisko nas, że rozróżniałem wyraz niezadowolenia na jego twarzy i słyszałem soczyste przekleństwa, jakie miotał.

Jednakowoż ogromnie się ucieszyłem, gdy przeczytałem na jego plecach olbrzymią reklamę, wymalowaną błyszczącymi złotymi literami: „Używajcie wszyscy patentowanych szczotek do zębów! Wszyscy używają!”

Po tej reklamie poznałem jednego ze swoich zuchów. Był to sir Madok de Monden, kolosalny chłop słynny z tego, że kiedyś omal nie wysadził ze siodła samego sira Lancelota. Nie przepuszczał on nigdy okazji pochwalenia się tem, szczególnie przed obcymi ludźmi.

Opowiadając wszakże to zdarzenie, pomijał dyskretnie milczeniem zazwyczaj jeden tylko drobny

zegół, ten mianowicie, że ostatecznie jedynie dlatego nie wysadził z siodła sir Lancelota, że sam został zeń wysadzony. Naiwny dryblas nie zauważał istotnej różnicy między temi dwoma faktami. Co do mnie lubiłem i ceniłem go wielce za to, że nadzwyczaj poważnie i sumiennie pełnił swoje obowiązki.

Imponujące wrażenie wywierały jego szerokie ramiona i pierś przykryta pancerzem, jego pióropusz, olbrzymia tarcza i oryginalna dewiza na ręce, ubranej w żelazną rękawicę: „Używajcie Nojalont!” brzmiał napis pod wyobrażeniem szczotki do zębów. Była to wynaleziona przezemnie pasta do zębów. Mówił, że jest strasznie znużony i rzeczywiście robił takie wrażenie, choć jednakowoż nie chciał zsiąść z konia. Twierdził, że ściga rycerza Łażni. Na wspomnienie tego człowieka, znów wymysły i przekleństwa posypały się z jego ust. Reklamowanie łażni było powierzone przezemnie sirowi Osserowi ze Surluzu — odważnemu rycerzowi, znanemu naogół ze swych uwieńczonych powodzeniem walk na turniejach. Był to pełen życia, wesoły człowiek, nic sobie z niczego nie robiący. Tego to właśnie obywatela wybrałem, by wzbudzał w obywatelach Brytanji zamiłowanie do kąpienia się w łażni.

Trzeba wiedzieć, że ludzie nie mieli tu pojęcia nie tylko o łażni, ale wogóle o przyzwoiem myciu się.

Wszyscy ajenci moi zobowiązani byli stopniowo i zręcznie przygotowywać społeczeństwo ku wielkiej przemianie, tymczasem zaś wpajać im przynajmniej przekonanie o potrzebie czystości i o łażni, jako drodze ku niej.

Sir Madok był wściekły i bez wytchnienia wyrzucał z siebie krocie przekleństw. Mówił, że niech Pan Bóg go skarże, jeżeli zejdzie z konia lub wogóle pomyśli o odpoczynku, zanim nie znajdzie sira

Ossera i nie porachuje się z nim. O ile mogłem zrozumieć z jego poszczególnych okrzyków i zdań, o świecie zdarzyło mu się spotkać z rycerzem Łażni, który powiedział mu, że skróciwszy drogę i ruszysz na przełaj poprzez błota, pagórki i gąszcza, napotka całą partję podróżników, najbardziej nadających się do użytkowania jego szczotek do zębów. Po trzygodzinnem błędzeniu wśród trzęsawisk, napotkał pięciu patryjarchów, wypuszczonych przezemnie poprzedniego dnia z lochów królowej! Niezszczęśliwi staruszkowie już dwadzieścia lat temu zapomnieli o przeznaczeniu tej niewielkiej resztki zębów, która się im została!

— Ażeby go wszyscy djabli! — w dalszym ciągu wymyślał rycerz — już ja mu urządzę taką łażnię, że mnie popamięta. Nigdy jeszcze nikt nie wystrychnął mnie tak na dudka, jak ta wąsata tyka! Niech mi naplują w twarz, jeśli się nie zemszczę!

Obrażony rycerz zostawił nas, nie przestając przeklinać i potrząsając groźnie włócznią. W południe spotkaliśmy jednego z patryjarchów w jakiejś nędznej wiosce. Grzał się w ciepłe pieszczot rodziny i przyjaciół, których nie widział od lat pięćdziesięciu. Pieściły się z nim i uwijały się dookoła niego dzieci jego licznego potomstwa, których nigdy nie widział.

Lecz dla niego wszyscy byli obcymi, gdyż pamięć jego zanikła, a myśli zasnęły. Trudno uwierzyć, że ten człowiek mógł egzystować, jak szczur, w ciemnej norze w ciągu połowy stulecia, lecz tu była obecna żona, żywy świadek tego faktu.

Nikt z nowego pokolenia w zamku nie wiedział, za co ich dziad pokutuje i kiedy został uwięziony. Zbrodnia jego nigdzie nie była odnotowana. Lecz pamiętała o tej „zbrodni” stara żona, wiedziała

o niej również starsza córka, stojąca teraz obok swoich żonatych synów i zamężnych córek i zapartrzona w ojca, którego znała jedynie z imienia.

Po upływie dwóch dni koło południa Sandy zaczęła okazywać niepokój i gorączkowe oczekiwanie; według jej słów zbliżaliśmy się do zamku potworów. Było to dla mnie niespodzianką i nie powiem, żeby zbyt miłą. Cel naszej wędrówki jakoś wyleciał mi z głowy, a to nieoczekiwane przypomnienie uczyniło go nagle realnym i nadzwyczaj zainteresowało mnie.

Tymczasem podniecenie i niepokój Sandy wzrastały z każdą minutą i udzielały się również i mnie. Serce mi zaczęło mocno bić. Z sercem trudno jest sobie poradzić, — ma ono swoje prawa i zaczyna drzeć wobec rzeczy, które lekceważy zdrowy rozsądek. To też, gdy Sandy ześlizgnęła się z konia, poczułem się bardzo nieswojo. Dziewczyna popełzła, skradając się, schyliwszy głowę niemal ku samej ziemi, pomiędzy krzakami, porastającymi niewielkie wzgórze.

Serce moje było coraz prędzej, silniej i nie przerywało tej swojej czynności dopóty, dopóki Sandy zachowując wszystkie środki jaknajwiększej ostrożności nie dopełzła do szczytu pagórka. Koniec końców dołączyłem się do niej i popełzłem za nią na kolanach. Lecz nagle oczy jej zaświeciły i wskazując coś ręką, szepnęła przerywanym ze wzruszenia głosem:

— Zamek! Patrz, tam jest zamek! Czy widzisz jego zarysy?!

Co za miłe rozczarowanie!

— Zamek? — zapytałem. — Nie widzę nic, prócz chlewu, otoczonego parkanem.

Sandy spojrzała na mnie ze zdziwieniem i za kłopotanie oczywiście znikło z jej twarzy i na parę chwil pograżyła się w milczącym rozmyślaniu.

— Wtedy nie był jeszcze zaczarowany — wyrzekła wreszcie, mówiąc jakby do siebie. — Jaki dziwny i okropny cud! Dla oczu jednych ludzi zamek jest zaczarowany i przyjmuje haniebny i wstrętny wygląd chlewu, zaś dla innych pozostaje wciąż tym samym i wznosi się wciąż tak samo dumny i niewzruszony, jak dawniej. Widzę dokładnie tę olbrzymią twierdzę, otoczoną fosą, z rozwiewającymi się sztandarami na wieżach. Niech nas Pan Bóg ma w swojej opiece! — wyrwało się z jej piersi pobożne westchnienie. Serce mi się krwawi, kiedy przypomnę sobie piękne uwięzione damy. Widzę wyraz głębokiego smutku na ich niebiańskich obliczach. Zbyt długo zwlekaliśmy, — jesteśmy warci potępienia.

Zrozumiałem, co chciała powiedzieć. Była to aluzja do tego, że zamek zaczarowany jest dla mnie, ale nie dla niej. Próbować wyprowadzić ją z błędu byłoby niepotrzebną stratą czasu, a zresztą nie warto było martwić dziewczyny, lepiej było zostawić ją przy jej mniemaniu.

— To bardzo zwykły wypadek czarów, Sandy — rzekłem — kiedy rzeczy i ludzie zaczarowani są dla jednych, nie zmieniając swego istotnego wyglądu dla innych. Lecz w tem niema jeszcze nic strasznego, odwrotnie, tego rodzaju czary można uważać za bardzo szczęśliwe. Gdyby twoje ladies pozostawały świniami w oczach wszystkich i nawet w swoich własnych, wówczas trzebaby było zdjąć z nich czary, co jest rzeczą ogromnie niebezpieczną, gdyż niezbędny jest do tego specjalny klucz. W przeciwnym razie możnaby się pomylić i ze świń ladies mogła łatwo się



zamienić w psy, z psów w koty, z kotów w szczury, i t. d. Koniec końców gotowe się zmienić nagle w jakiś gaz bez zapachu, lub z zapachem nawet, który trudno będzie uchwycić! A teraz, gdy są zaczarowane tylko dla mych oczu, niema potrzeby odczarowywać ich. Ladies przecież nie zmieniają się przez to dla ciebie, dla siebie i dla kogokolwiek bądź. A przez to, że w moich oczach pozostaną świniami, nie poniosą żadnego uszczerbku. Wystarczy mi, bym wiedział że dana swinia — jest lady, abym potrafił wobec niej odpowiednio się zachować.

— Dzięki ci, mój słodki milordzie, mówisz jak anioł. Wiem, że je uwolnisz, gdyż jesteś nieustraszonym rycerzem i świetnie władasz mieczem, a rozum twój zdolny jest do wielkich czynów.

— Pocóż miałbym zostawiać księżniczki w chlewie, Sandy? Lecz zapewne i trzej świniarkowie, których tam widzę, wydają mi się takimi tylko z powodu mego zepsutego wzroku?

— Ludojady? Czyżby i oni byli zaczarowani? Jaki niezwykły cud! Ale lękam się o ciebie! Jakże będziesz walczył z nimi, kiedy trzy czwarte ich ciała jest dla ciebie niewidoczne. Lecz idź odważnie, piękny sir, ten bohaterski czyn godny jest ciebie!

— Nie niepokój się, Sandy! Dość mi wiedzieć, jaka część ciała ludojada jest widoczna, a co do reszty, to już sobie dam z nimi radę. Bądź spokojna, zaraz rozprawię się z tymi zuchami. Poczekaj tu na mnie.

Zostawiłem klęczącą Sandy z twarzą, zwróconą ku mnie, ze spojrzeniem pełnym otuchy i nadziei. Dojchawszy do chlewu, wyraziłem pastuchom chęć kupienia świń i zacząłem się targować. Kupiwszy wszystkie świnię za nędzną sumę sześćdziesięciu pensów, co stanowiło jednak o wiele droższą zapła-

tę od ceny rynkowej, zostałem obsypany podziękowaniami właścicieli. Transakcja została zawarta w najbardziej odpowiedniej chwili, gdyż kościół miał właśnie przysłać nadzorcę podatkowego, który tytułem podatku odebrałby wszystkie świny, pozostawwszy w ten sposób właścicieli bez świń, a Sandy bez księżniczek. Teraz zaś wszystkie podatki zostaną pokryte i coś niecoś jeszcze zostanie. Jeden ze świniopasów miał dziesięcioro dzieci. Opowiedział mi, że ubiegłego roku, gdy pater kazał zabrać najlepsze świny ze stada, cierpliwość jego żony się wyczerpała i kobieta, podając mu dziecko, krzyknęła: „Nielitościwe zwierzę! Poczóż zostawiasz mi dziecko, jeżeli zabierasz wszystko, czembym je mogła żywić?”

Odesławszy trzech pastuchów, otworzyłem drzwi chlewu i zawołałem Sandy. Ta jak wicher werwała się do chlewu i rzucając się od jednej świni do drugiej, ze łzami zaczęła je całować, tytułując księżniczkami. Wstyd mi było za nią i za całe jej pokolenie. Byliśmy zmuszeni gnać te świny dzieśnięć mil drogi, zanim natknęliśmy się wreszcie na jakiś dom. Myślę, że prawdziwe ladies nie byłyby tak uparte i krnąbrne. Nie miały one najmniejszej chęci iść drogą lub ścieżką, lecz rozbiegały się na wszystkie strony, rzucały się do krzaków, wchodziły na skały i pagórki i zapędzały się tak daleko, że niepodobna było je odszukać. I przytem niewolno było ich uderzyć, lub wogóle nieco ostrzej się z nimi obejść, gdyż Sandy nie dopuszczała w najmniejszej mierze zachowania się, uchybiającego ich stanowisku. Najbardziej niespokojna stara maciora zwała się milady i wasza wysokość, jak i znaczna część pozostałych. Można sobie łatwo wyobrazić, jak piekielnie nudne i uciążliwe było to uganie się za świniami.

Była tam jedna mała hrabina z żelaznym pierścieniem, przewleczonym przez ryj i niemal zupełnie łysa na grzbiecie, która mnie doprowadzała do rozpacz i wściekłości. Był to istny djabeł. Skazywała mnie ona na ciągłą opętaną bieganinę. Ledwo zdążyłem wypędzić ją na drogę, kiedy znów zapodziewała się i to niewiadomo gdzie. Wkońcu doprowadzony do ostateczności złapałem ją za ogon i w ten sposób powlokłem na drogę. Sandy z przerażeniem spojrzała na mnie i oświadczyła, że szczytem nietaktu jest ciągnięcie hrabiny za tren.

Już ciemno było, gdyśmy przypędzili całe stado, a raczej większą jego część do jakiegoś pomieszczenia. Nieobecna była księżniczka Nerowena de Morgonore i dwie jej damy dworu: lady Angela Bohn oraz demoiselle Elaine Courtemains. Pierwsza z tych dwóch była młodą czarną świnką z białą łata na czole, druga zaś miała czarne nogi i zlekka kulą. Obydwie dokuczyły mi w drodze do niemożliwości. Nie można było doliczyć się jeszcze kilku baronowych. Lecz wkrótce na szczęście odnalazły się 1 one.

## XVIII. PIELGRZYMI.

Dopiero w łóżku poczułem, jak jestem zmęczony. Z jaką rozkoszą wyprostowałem znękane członki. Teraz właśnie wartoby zasnąć! Lecz skądże, nie mogłem nawet marzyć o tem, za parę minut znikła najmniejsza nadzieja na odpoczynek. Chrząkanie, kwik i tupanie arystokratek, rozmieszczonych po wszystkich pokojach i korytarzach, przeistoczyło skromne mieszkanko w istne piekło. Zupełnie wytracony ze snu oddałem się rozmyślaniom. Najbardziej interesowała mnie w tej chwili zabawna iluzja Sandy. Dziewczyna była najzupełniej normalnym człowiekiem i normalnym wytworem swego środowiska, zaś z mojego punktu widzenia zachowywała się, jak umyślowo chora. Tak wielki jest wpływ warunków, wychowania i obyczajów; człowiek wierzy we wszystko, co jest uznane przez współczesnych za prawdę. Żeby się przekonać, że Sandy nie jest obłąkana, musiałem postawić się na jej miejscu, lub też postawić ją na swoim własnym, by zobaczyć jak łatwo jest uznać kogoś innego za obłąkanego.

Istotnie! gdybym opowiedział Sandy, że widziałem ekwipaż, wcale nie zczarowany, a jednak zdolny do przebycia bez koni sześćdziesięciu mil na godzinę; lub że widziałem człowieka, nie czarodzieja,

wzlatującego pod obłoki; lub że słyszałem nie ubiegając się do czarów rozmowę człowieka, znajdującego się o sto mil odemnie, —gdybym to wszystko opowiedział jej, to nie ulega wątpliwości, że myślałaby, że ma do czynienia z warjatem. Wszyscy wokół wierzą w czary i nikt nie wątpi w ich istnienie. Panuje ogólne przeświadczenie, że zamek może być zamieniony w chlew, zaś mieszkańcy jego w świnie i nikt się temu nie dziwi, podobnie, jak żadnego Amerykanina nie dziwi istnienie telefonu, telegrafu, kolei i t. d. A więc z tego wynika, że powinienem uważać Sandy za zupełnie zdrowego człowieka. I z drugiej strony, by się wydawać Sandy normalnym człowiekiem powinienem kryć się przed nią ze swoją wiarą w zaczarowane lokomotywy, balony i telefony. Nie mogłem wierzyć, że ziemia jest płaska i opiera się na słupach i że niebo jest przestrzenią, zapełnioną wodą, przeznaczoną do zraszania ziemi. Lecz ponieważ byłem jedynym człowiekiem w kraju, mającym tak dzikie i bezbożne mniemania, więc nie odzywałem się w tych kwestjach, by nie uchościć za warjata.

Następnego ranka Sandy zebrała wszystkie świnie w jadalni i podała im śniadanie, usługując z głębokimi reweransami i za każdym razem tytułując swe wysoko urodzone pupilki. Z powodu swego niskiego pochodzenia nie mogłem śniadać z temi arystokratkami i dlatego też zasiedliśmy z Sandy przy oddzielnym stole. Gospodarze byli nieobecni.

— Gdzie jest rodzina, która zamieszkuje w tym domu, Sandy? — zapytałem.

— Rodzina?

— Tak.

— Jaka rodzina, drogi milordzie?

— No, gospodarze tego domu, to zapewne twoja rodzina?

— Nie rozumiem cię, milordzie, ja nie mam rodziny!

— Nie masz rodziny? Jakże to możliwe, myślałem, że to twój dom, Sandy?

— Nie, panie!

— Więc czyj jest ten dom u licha?!

— Z przyjemnością bym ci to powiedziała sir, gdybym sama wiedziała.

— Jakto, więc nie wiesz nawet w czyim jesteśmy domu? Któż nas tu zaprosił?

— Nikt nas nie zapraszał, przyszedliśmy i basta!

— Ależ przepraszam cię, moja droga, w takim razie bezczelność nasza przekracza wszelkie granice. Werwaliśmy się do obcego mieszkania i rozlokowaliśmy się tu wygodnie wraz z jakąś podejrzaną arystokracją, jakiej dotychczas nikt jeszcze nie spotykał pod słońcem. Jakżeś się mogła na coś podobnego zdecydować? Byłem pewien, że sprowadziłaś mnie do swego domu! Co pomyśli sobie gospodarz?

— Co pomyśli? A to dobre! Cóż innego prócz wdzięczności może do nas poczuć?

— Wdzięczności? Ale za co?!

Twarz Sandy wyraziła szczere zdumienie.

— Doprawdy twoje dziwne słowa wprowadzają mnie w zakłopotanie, czy rzeczywiście myślisz, że często zdarza się ludziom ich pochodzenia takie szczęście?

— O, jestem przekonany, że temu człowiekowi po raz pierwszy się zdarza podejmować taką kompanję.

— I dlatego właśnie musi się poczuwać do wdzięczności względem nas, gdyż w przeciwnym razie okazałyby się niewdzięcznym psem!

Tak czy inaczej, sytuacja była według mnie kło-

potliwa. Uważałem za właściwe ubrać świnię i wyruszyć, nie zwlekając, w drogę.

— Już dnieje, Sandy, czy nie czas byłoby zebrać towarzystwo i ruszyć?

— Poco, sir Patron?

— Ależ zapewne trzeba je odprowadzić do domu, czy nie?

— Co ty wygadujesz, milordzie! Toć one pochodzą z rozmaitych krańców ziemi. Każda będzie chciała trafić do domu i czy starczy krótkiego życia, by dokonać tych wszystkich podróży?

— Ale ktoś jednak musi odprowadzić nasze arystokratki do domu?

— Naturalnie, że ich przyjaciele, którzy zjadą się po nie z wszystkich krańców świata!

Było to coś na kształt promienia słońca, przedzierającego się poprzez chmury! Sądząc z tych słów moja towarzyszka ma zamiar zostać tu na straży swych księżniczek.

— Doskonale, Sandy. Rzeczywiście, nasza przygoda została szczęśliwie zakończona, mogę więc udać się do domu i zdać tam sprawę z jej przebiegu. A jeżeli ktoś...

— Dobrze, milordzie, jestem gotowa w każdej chwili jechać z tobą.

Nadzieja zgasła, promień słoneczny znikł.

— Jakto? więc i ty jedziesz ze mną?

— Jakżeś mógł przypuszczać, Panie, że zdradzę swojego rycerza? byłoby to hańbą dla mnie. Mogłabym cię opuścić tylko w tym wypadku, gdybyś został zwyciężony w walce przez innego rycerza, który zabrałby mnie, jako zdobycz. Lecz godna byłabym potępienia za samą myśl o tem. — „Wybrała mnie na długi termin” — rzekłem sobie z westchnieniem w duchu, — trzeba się z tem pogodzić“.

— Dobrze — powiedziałem — więc ruszajmy!  
Dopóki przelewała łzy pożegnania nad świniami, powierzyłem tę całą arystokrację opiece sług. Następnie poradziłem im wziąć szczotki i dobrze zamieść podłogę w pokojach, gdzie księżniczki były umieszczone oraz w tych, gdzie przechadzały się i przyjmowały posiłek.

Ale ci odpowiedzieli, że taki postępek byłby niezgodny z obyczajem i uważany za ciężką zbrodnię.

Stosownie do starodawnego zwyczaju, słudzy powinni byli naznosić świeżo ściętej trzciny i przykryć nią całą podłogę, ażeby ślady arystokratycznego przebywania w domu zostały zachowane.

Pierwsze nasze spotkanie tego dnia miało miejsce w południe, z procesją pielgrzymów.

Choć nie było to nam po drodze, jednakowoż skręciłem i przyłączyłem się do nich. Byłem zdania, że chcąc rządzić państwem, powinienem poznać rozmaite strony jego życia i to nie z drugiej ręki, ale bezpośrednio. Tłum ten był ogromnie różnobarwny i składał się z ludzi wszystkich profesji w najbardziej pstrych kostjumach. Byli tu starzy i starszki, młodzi mężczyźni i kobiety i nawet dzieci. Jedni byli smutni, inni weseli. Wszystko to, kobiety i mężczyźni, jechało na mułach i na koniach, ale oczywiście nie było tu ani jednego damskiego siodła, jak nie było go zresztą w Anglii dziewięć stuleci później. Było to wielkie ludzkie stado, wesołe, zgodne, ruchliwe, pobożne i gadatliwe, nieświadome i naiwne we wszystkich brutalnościach, jakich się dopuszczało. To co nazywali oni wesołymi anegdotkami, wzbudzało w tej samej mierze ogólne zadowolenie, co w najlepszym angielskim towarzystwie po upływie dwunastu stuleci. W rzeczywistości były to oklepane kawały, stojące na poziomie angielskiego humoru



pierwszej połowy XIX wieku, które rozbrzmiewały tu i tam, wywołując zawsze jednakową burzę oklasków. Czasem znów jakieś okolicznościowe bon-mot, rzucone w jednym końcu procesji, trafiało na inny, wzbudzając wszędzie wybuchy zgodnego śmiechu. Sandy wiedziała o celu tej pielgrzymki i poinformowała mnie o nim:

— Jadą oni do Św. Doliny, ażeby otrzymać błogosławieństwo od świętego pustelnika i napić się z cudownego źródła wody, która oczyszcza człowieka od grzechów.

— Gdzie jest to źródło?

— Znajduje się w odległości dwóch mil drogi stąd.

— Opowiedz mi o niem! Cóż to za słynna miejscowość?

— O tak, rzeczywiście słynna, drugiej takiej niema. Już przed wielu, wielu laty żył tam opat z mnichem i takich świętych ludzi, jak oni, nie było nigdy na świecie. Oddawali się oni całkowicie studjowaniu ksiąg świętych, nie rozmawiali ani ze sobą, ani z kimkolwiek, odżywiali się zwiędłymi trawami i korzonkami i spali na gołej ziemi. Wogóle umartwiali ciągle ciało, wiek się modlili i nigdy się nie myli. Zasłynęli oni swem bogobożnem życiem i ściągali do nich zewsząd biedni i bogaci.

— Co dalej?!

— Lecz w źródle zabrakło pewnego dnia wody. Tylko w określonej godzinie, kiedy święty przeor się modlił, ogromny strumień wody wytryskał z bezpłodnej ziemi. Stało się to tak: lekkomyślni braciszkanie usłuchali podszeptów złego ducha i zaczęli natarczywie prosić przeora, by pozwolił w tem miejscu zażywać kąpieli. Przeor długo nie chciał się zgodzić, lecz w końcu ustąpił, ulegając natarczywym prośbom

mnichów. A teraz zwróć uwagę, co znaczy zbroczyć z prostej drogi i dać się uwieść płochym żądom. Mnichowie weszli do wody, wykąпали się tam i wyszli biali jak śnieg. I cóż! W tej samej chwili ukazały się odznaki Kary Boskiej. Skalane święte wody przestały cieć i znikły zupełnie.

— Z kąpiącymi się mnichami bardzo miłośniernie postąpiono sobie, Sandy, sądząc z tego, jak w naszym kraju odnoszą się do tego rodzaju zbrodni!

— Tak, ale to był ich pierwszy grzech, do tego czasu odznaczali się oni surowością życia i nigdy się nie kąpali. Łzy, modlitwy i umartwienia cielesne nic nie pomagały, woda się nie zjawiała. Ani procesje, ani auto-da-fé, ani gromnice ślubowane i ofiarowywane Najświętszej Pannie — wszystko napróżno, wody nie było ani na żąb.

— Jakie to dziwne, że nawet w tego rodzaju handlowem przedsiębiorstwie zdarza się panika, kiedy akcje zaczynają spadać na łeb i następuje zastój. Co dalej, Sandy?

— Równno po upływie roku i jednego dnia dobry przeor ukorzył się przed wolą Boską i wydał rozkaz, by się na tem miejscu przestano kąpać. Wnet ucichł gniew Boży, wody znów popłynęły obfitym strumieniem i do dziś dnia nie przestają płynąć.

— A więc od owego dnia, znaczy się nikt już więcej nie mył ciała?

— Pragnącym się kąpać nie stawiają przeszkód, ale każdy woli zrezygnować z tego prawa.

— I ludność od tej chwili zażywa dobrobytu! szczęścia?

— Naturalnie. Wieść o cudzie rozpowszechniła się po wszystkich krajach. Zewsząd przybywali mnichowie, zbierając się tam, jak ryby na dnie rybackiej łodzi. Opactwo coraz bardziej się rozrastało, budy-

nek przybywał za budynkiem i wrota były zawsze gościnnie rozwarte dla wszystkich wierzących. Przybyły również i zakonnice, jedna po drugiej i zaczęły budować naprzeciwko opactwa, po drugiej stronie doliny, kobiecy klasztor, który stał się niebawem bardzo słynny. Prócz tego zjawili się także bracia pracujący i wybudowali wspólnymi siłami odosobnione schronisko pośrodku doliny.

— Nie mówiłaś jeszcze nic o pustelnikach Sandy?

— A tak, ściągali oni tutaj ze wszystkich stron. Zawsze jest wielu pustelników, gdzie są pielgrzymi. Dookoła można znaleźć najrozmaitszych rodzajów pustelników w grotach, podziemiach i wśród trzęsawisk.

Zaciągnąwszy informacji u Sandy, wszcząłem rozmowę z jakimś drabem o nalanej dobrodusznej twarzy, który dał sobie słowo za wszelką cenę mnie rozweselić. Już po pierwszych moich słowach zaczął niezręcznie, lecz gorliwie opowiadać ten sam kawał, który mi opowiadał sir Dinadan a z powodu którego pokłóciłem się z sirem Sagramorem i nawet zostałem wyzwany na pojedynek. Pośpiesznie go przeprosiłem i odsunąłem się na tył procesji. Ciężko mi było na sercu, chciało mi się czempredzej stąd odejść, odejść z tego pełnego trwogi życia, z tego padołu łez i zabitych nadziei, męczącej walki i powolnego zamierania.

Przed wieczorem spotkaliśmy inną partję wędrowców. Tu już nie widać było ożywienia, nie słychać było ani żartów, ani śmiechu, nie rozbrzmiewały tu głośne lekkomyślne rozmowy, jakie prowadzi między sobą młodzież. Wędrowcy byli w najrozmaitszym wieku — siwi starcy i staruszki, kobiety i mężczyźni w wieku średnim, młodzi mężowie z żonami i dziećmi

i nawet kilka niemowląt. Ale nawet na dziecięcych twarzach nie zauważało się śmiechu. Wśród paruset ludzi nie było ani jednego człowieka, którego twarz nie wyrażałaby przygnębienia, beznadziejnej rozpacz i smutku. Byli to niewolnicy. Kajdany na ich zakutych rękach i nogach trzeszczały.

Wszyscy prócz dzieci związani byli po sześć osób na jednym łańcuchu, łączącym naszyjnik jednego z naszyjnikiem drugiego. Przeszli oni pieszo około trzechset mil w ciągu kilku dni, odżywiając się nędznie resztkami i korzonkami. Nawet w nocy nie zdejmowano z nich kajdanów i nieszczęśni spali związani razem, jak bydło. Nosili oni na sobie jakieś podarte strzępy, wszyscy mieli pokaleczone od kajdanów nogi i kuleli. Połowa tych nieszczęśliwców była już sprzedana podczas drogi. Nabywca jechał obok zakupionych ludzi z biczem w rękę. Bicz się składał z krótkiej rękojeści i kilku grubych i węzłowatych kamieni.

Ten bat wrzynał się w nagie plecy tych, którzy pozostawali w tyle, nie mogąc nadążyć za innymi z powodu słabości, lub zmęczenia.

Właściciel niewolników nie miał potrzeby mówić, gdyż bat przemawiał za niego. Żaden z tych męczenników nie spojrział na nas, gdyśmy przejeżdżali obok, zapewne nawet nas nie zauważył. Nic nie było słychać prócz pobrzękiwania i zgrzytu kajdanów, ciągnących się między szeregiem wolno stąpających nóg.

Twarze tych ludzi były zupełnie szare i pokryte kurzem. Taki osad kurzu zapewne każdemu zdarzyło się zaobserwować na meblach w opuszczonych mieszkaniach. Przypomniałem to sobie, gdy zwróciłem uwagę na twarze niektórych kobiet — młodych matek z dziećmi przy piersi, bliskich wyzwolenia t. j. śmierci. Słowa, wyryte w ich sercach, czytało

się na brudnych zakurzonych twarzach zupełnie wyraźnie i zrozumiale. Były to ślady łez.

Jedna z młodych matek, jeszcze dziewczynka prawie, miała na twarzy znamiona tak strasznej rozpaczy, że poczułem na jej widok ból omal że fizyczny. Widziałem, że łzy są wyciśnięte z oczu dziecka, które mogłoby dopiero zacząć cieszyć się porankiem swego życia. Młoda kobieta właśnie zachwiała się, gdyż dostała zawrotu głowy ze zmęczenia. W tej samej chwili bicz wyrwał kawał mięsa z jej pleców.

Poczułem, że to uderzenie trafiło mnie w serce. Właściciel zeskoczył z konia i ze stekiem wymysłów rzucił się na nieszczęśliwą, krzycząc, że już dosyć ma jej lenistwa, że się wreszcie z nią rozprawi, jak się należy. Kobieta padła na kolana i błagała o litość, lecz właściciel nie zwracał na to uwagi i wyrwawszy z rąk jej dziecko rozkazał zakutym z nią niewolnikom rzucić ją na ziemię, obnażyć jej plecy i przytrzymać. Następnie rzucił się na nią rozwścieczony, z podniesionym biczem i ćwiczył tak długo, dopóki plecy nie zmieniły się w kawał skrwawionego mięsa, a ona sama przestała jęczeć i krzyczeć. Jeden z trzymających ją niewolników odwrócił twarz od tego widowiska i za ten przejaw ludzkiego uczucia został z miejsca okrutnie obity przez nadzorcę. Natomiast pozostali jego towarzysze fachowo się przyglądali egzekucji i wydawali sąd o pracy bąta oprawcy. Do tego stopnia skamieniały ich serca w ciągu długich lat niewoli; nie zdawali już sobie sprawy z tego, że widowisko to nie jest tego rodzaju, aby mogło wywołać fachową dyskusję. Niewola znieprawia ducha. Przecież w gruncie rzeczy ci poczciwcy nie pozwoliliby sobie obchodzić się w ten sposób nawet z koniem.

Chciało mi się położyć kres tej ohydnej scenie i uwolnić nieszczęśliwych, lecz czułem, że nie powi-

nieniem tego czynić, zawczasie wydawało mi się wtrącać do dzikich obyczajów kraju i w sposób gwałtowny łamać jego prawa. Miałem nadzieję, że dożyję do tego dnia, kiedy zniosę niewolnictwo z woli narodu.

Wkrótce przejeżdżaliśmy koło kuźni, gdzie właściciel pobitej kobiety musiał przekuć jej kajdany, by oddzielić ją od partji i zawieść do domu.

Podczas gdy się sprzeczał z dozorcą, kto ma płacić kowalowi, nieszczęśliwa skorzystała z chwili swobody i rzuciła się na szyję niewolnika, który nie zdołał ukryć swego współczucia dla niej podczas okrutnej egzekucji. Ten objął ją i dziecko, obsypał twarze ich pocałunkami i obmył łzami. Zrozumiałem, iż byli to mąż i żona, których rozłączono na wieki. Siłą oderwano ich od siebie. Kobieta krzyczała, wyrywała się i łkała, dopóki partja odchodzących niewolników nie znikła z jej oczu. A mąż i ojciec, czyż miał on nadzieję ujrzeć kiedyś jeszcze swą żonę i dziecko? Odwróciłem się, by tego nie widzieć. Lecz do końca życia nie mogłem zapomnieć tej wstrząsającej sceny.

Zatrzymaliśmy się na noc w wiejskiej oberży a rankiem z okna mego pokoju ujrzałem znajomą sylwetkę i postać rycerza, jadącego zalaną słońcem drogą. Poznałem jednego ze swych rycerzy komisjonerów — sira Orana le Ane Hardy. Miał on wygląd gentlemana i dlatego uważałem za właściwe polecić mu rozpowszechnienie i sprzedaż kapeluszy. W tej chwili właśnie rycerz cały zakuty w przepyszną stalową zbroję, nosił na głowie zamiast hełmu błyszczącego cylinder, wysoki, jak komin. Widowisko było dość zabawne. W tym wypadku zresztą chodziło mi przedewszystkiem o ośmieszenie w oczach wszystkich bezsensownej instytucji błędnego rycer-

stwa. Do siodła sira Orana było przymocowanych kilka pudeł z nakryciami głowy. Przy spotkaniu z wędrującym rycerzem obowiązkiem jego było zwięzić go i włożyć mu na głowę kapelusz, oraz zmusić go do przysięgi, że stale będzie nosił kapelusz zamiast hełmu. Ubrawszy się, pośpieszyłem na dół, by powitać sira Orana i rozpytać o nowości.

— Jak idzie handel? — zapytałem.

— Jak pan widzi, zostały mi tylko cztery pudła a z Camelotu zabrałem ze sobą szesnaście.

— Rzeczywiście ostro wziął się Pan do rzeczy.

— Jadę do św. Doliny, sir.

— Wybieram się tam również. Czy to doprawdy coś godnego obejrzenia, czy też tylko fanaberje starych dewotek?

— O, nie, sir! Przed chwilą dowiedziałem się od pielgrzymów niezmiernie interesujących rzeczy. Są to poczciwi ludkowie, — nikt tak dobrze nie potrafi człowieka poinformować, jak oni. W św. Dolinie zaszło obecnie zdarzenie, jakiego nie pamiętają już ludzie od 200-u lat.

— Zapewne znowu wyszło cudowne źródło?

— O to właśnie chodzi. Sam widziałem, że woda przestała ciec.

— Cóż, czy znowu ktoś się wykapał w źródle?

— Tak podejrzewają. Przypuszczają również, że popełniono jakiś inny, jeszcze cięższy grzech, lecz nikt nie wie nic konkretnego.

— A jak się odniesiono do tej klęski?

— O, tego niepodobna opisać! Wody w źródle braknie już od dziesięciu dni. Większość wdziała włosiennice, lamentuje, modli się przez cały czas, nadszły procesje mnichów i mniszek, — pustelnicy odchodzą od zmysłów z rozpacz. Posłano po ciebie, sir Patron, ażebyś użył swych czarów, ale

ponieważ nie zastano ciebie w Camelocie, więc wezwano Merlina. Oświadczył, iż postawi całą ziemię do góry nogami i zrówna z ziemią wszystko, co istnieje, lecz zmusi wodę, by popłynęła. Już od trzech dni pracuje w pocie czoła, wezwawszy wszystkie siły piekielne do pomocy, ale dotychczas nie może wycisnąć ze źródła ani kropli wilgoci. Gdybyś zechciał, sir...

Śniadanie było gotowe. Po śniadaniu pokazałem sirowi Oranie słowa napisane przezemnie wewnątrz jednego z kapeluszy: „Departament Chemiczny, Laboratorium, oddział DKR. Przysłać dwa ładunki 1-go rozmiaru, dwa — 3-go i sześć — 4-go, wraz ze wszystkimi przysposobieniami. Niech przybędą dwaj doświadczeni asystenci”.

— Teraz, rycerzu, czempredzej jedź do Camelotu — powiedziałem, wręcz ten liścik Klarensow i powiedz mu, aby wszystko zostało natychmiast wysłane. Śpiesz się, szlachetny rycerzu!

— Wszystko będzie załatwione, sir Patron — rzekł rycerz i dosiadł konia.



## XIX. SWIĘTE ŹRÓDŁO.

Pielgrzymi byli ludźmi, dlatego też postąpili w sposób następujący. Przebywszy wielki szmat drogi, teraz, gdy podróż była właściwie zakończona, a główny jej cel znikł, nie zawrócili, nie udali się na poszukiwania czegoś lepszego, jakby to na ich miejscu uczyniły koty, psy, lub inne zwierzęta. Naodwrot kontynuowali drogę, pragnąc ujrzeć miejsce, gdzie tryskało źródło, przyczem ku temu nowemu celowi dążyli z niemniejszym zapałem, niż ku poprzedniemu. Natura ludzka jest tajemnicza i nieodgadniona.

Wyjechaliśmy wszyscy razem i w trzy godziny przed zachodem słońca znaleźliśmy się na wzgórzu w pobliżu Św. Doliny. Stąd można było spojrzeniem ogarnąć całą dolinę. Widać było trzy grupy zabudowań, położonych na olbrzymiej odległości od siebie. Z tej wysokości wydawały się zabawkami, rozrzuconymi wśród ogromnej pustyni. Krajobraz wzbudzał jakąś dziwną melancholję, przygnębiająca cisza nasuwała myśli o nicości wszystkiego doczesnego. Jeden tylko dźwięk mącił ciszę i podkreślał całą jej ponurość. Były to oddalone dźwięki dzwonów klasztornych, które dolatywały do nas wraz z lekkimi podmuchami wiatru i były tak lekkie i przytłumione, iż

trudno było określić czy dźwięczą one w rzeczywistości, czy też są jedynie płodem wyobraźni.

Było jeszcze widno, gdyśmy przestąpili progi klasztoru. Mężczyznom zaproponowano nocleg na miejscu, kobiety zaś odesłano do żeńskiego klasztoru.

Dzwony kołysały się teraz nad nami i uroczyste dźwięki ich brzmiały, jak trąby sądu ostatecznego. Zabobonne przerażenie opanowało tu wszystkich mnichów i odzwierciedliło się na posępnych ich twarzach. Dookoła snuły się ponure, czarne cienie w miękkich sandałach, o bladych twarzach. Bezgłośnie się zjawiały i znikały, jak widziadła gorączkowego snu.

Stary przeor przyszedł do mnie ogromnie podniecony, łzy spływały po jego policzkach, wreszcie, zapanowawszy nad sobą, powiedział:

— Nie zwlekaj, synu, ratuj nas. Jeżeli woda nie zjawi się w najbliższych dniach, to jesteśmy zgubieni! Lecz uczyn tak, synu, ażeby czary twe miłe były Bogu, gdyż kościół nie może zezwolić, by dopomagały mu moce piekielne.

— Bądź pewien, Ojcze, że moje czary nigdy nie są związane z mocą szatana. Dopomagają mi siły, któremi obdarzył mnie Pan Bóg, oraz materiały przezeń stworzone. Lecz chyba i Merlin ucieka się tylko do Boskiej pomocy?

— Ach, synu, obiecuje wciąż, że nas uratuje i przysięga, że dotrzyma słowa.

— A więc, niech-że skończy, co zaczął!

— Czyż możliwe, byś nie wziął udziału w naszym strapieniu?

— Ojcze, nie mogę przeszkodzić czarom innego. Ludzie jednej profesji nie powinni podrywać sobie wzajemnie autorytetu. Dopóki Merlin nie skończy, inny mag nie ma prawa wtrącać się do jego roboty.

— Ależ ja go zaraz usunę! Wobec krytycznej sytuacji nie będzie to nawet niesprawiedliwością. I wogóle, kto śmie stwarzać przepisy dla kościoła, który sam stwarza je dla wszystkich. Usunę go, a ty bez zwłoki weźmiesz się do pracy.

— Nie, to niemożliwe, Ojczel! Masz rację, że tam gdzie dyktuje zakazy siła, należy się jej podporządkowywać. Lecz my biedni magowie znajdujemy się w nieco odmiennej sytuacji. Merlin jest dobrym czarownikiem i w swej skromnej dziedzinie cieszy się dobrą opinią. Stara się zrobić, co może i byłoby nieprzyzwoitem z mojej strony wtrącać się do jego spraw, zanim sam nie zrezygnuje. Oblicze przeora się rozjaśniło.

— Ależ, jeśli tak, to sprawa jest bardzo prosta, można go namówić, by zrezygnował choć zaraz.

— Nie, nie, Ojczel, z tej mąki ciasta nie będzie. Jeżeli namówi się go wbrew własnej woli, to gotów powikłać sprawę złemi czarami, których usunięcie będzie trwało kilka miesięcy. Ale tymczasem już puściłem w ruch nie tracąc czasu, małą czarodziejską sztuczkę, zwaną telefonem, i ręczę, że nawet w ciągu stu lat nie odkryją jej sekretu. A chyba nie chcesz, Ojczel, by się sprawa odwlekała na parę miesięcy.

— Na parę miesięcy! Drzę na samą myśl o tem! Czyń synu, jak uważasz za właściwe, ja zaś nadal będę pościć i umartwiać swe ciało, wzmacniając ducha modlitwami, jak to czynię w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Choć siły moje są już na wyczerpaniu a znekane ciało domaga się odpoczynku.

Rzecz jasna, że najlepiej było przyczepić się do przyzwoitości i pozwolić Merlinowi nadal trudzić się przy źródle. Cud mu się naturalnie nie uda, gdyż jeżeli mu nawet czasami jakiś cud się udaje, to nie w obecności tłumu widzów, jak to miało miejsce te-

Wz. Tłum dla magów zawsze był przeszkodą podobnie, jak dla spirytystów moich czasów. Zawsze znajdzie się sceptyk, który zapali światło w najbardziej nieodpowiedniej chwili i popsuje całą sprawę.

Zresztą, było mi bardzo nie na rękę odrywać Merliną od jego zajęć, dopóki sam nie zakończyłem wszystkich przygotowań do pracy. Moi asystenci zaś wraz z niezbędnymi materiałami mogli nadejść z Camelotu nie wcześniej, niż za jakieś dwa, trzy dni.

Obecność moja jednakże bardzo pokrzepiła mnichów na duchu i na nowo obudziła w nich nadzieję, po raz pierwszy od dni dziesięciu kusili oni siebie tej nocy, jak się należy. Kiedy przestali czuć w brzuchach niemiłą pustkę, nastrój ich się znacznie poprawił, a kiedy do tego przyłączył się wpływ wychylanego dzbanami miodu, wesołość doszła do szczytu. Posypały się żarty i dowcipy, stare, dobre dowcipy krążyły, przechodząc z ust do ust, łzy płynęły z oczu, szerokie gardziele nie zamykały się ani na chwilę, a okrągłe brzuchy trzęsły się od niemiłkącego śmiechu. Ciche, żalosne dźwięki dzwońców tonęły w hałasie tej orgji.

Wreszcie przyszło mi do głowy opowiedzieć własną anegdotę. Trudno opisać jej sukces. Coprawda, nie tak odrazu znowu się połapano o co w niej chodzi, gdyż autochtoni tutejsi są przyzwyczajeni do bardziej nieskomplikowanego i rubasznego humoru. Dopiero po piątym powtórzeniu zaczęli zlekka parzyć, po ósmym, zdawało się, że zerwą sobie boki ze śmiechu, po dwunastem leżeli pokotem na ziemi i pod stołami, a po piętnastem musiałem zbierać ich członki i doprowadzić je własnoręcznie do porządku.

Rozumie się, że wyrażam się obrazowo. Nie ulega wątpliwości jednakże to, że wyspiarzy naogół

z trudem tylko udaje się rozruszać i, że z początku wynagradzają nas bardzo słabo w porównaniu z żużlami przez nas energją i materiałem. Zato już raz się rozruszawszy, stają się tak szczodrzy, że zostawiają daleko w tyle za sobą wszystkie inne narodowości. Ale czas już było działać. Merlin wyczerpał swe czarodziejstwa i pracował, jak bóbr, ale bez skutku. Humor mu też, łatwo zrozumieć, nie dopisywał i za każdym razem, kiedy wspominałem, że sprawa jest trudna, zaczynał wymyślać i kłąć, jak iragarz. Co zaś do źródła, to rzeczy się przedstawiały, jak przypuszczałem. Była to zwykła studnia w najzwyklejszy sposób wykopana i otoczona kamienną cembrowiną. Żadnego cudu, sądząc ze wszystkiego, w dziejach jej nie było. Mogłem to sobie powiedzieć będąc sam na sam ze sobą. Znajdowała się ta studnia w ciemnej sali, mieszczącej się w kamiennych kaplicy. Ściany jej były gęsto obwieszane rozmaitemi obrazami świętobliwej treści, namalowanymi przez wczesnych mistrzów, ale, które, rzecz jasna, nie umywały się nawet do przyzwoitych chromolitografji. Po większej części wyobrażały one rozmaite cuda; nie brak było również aniołów. Ci ostatni coprawda bardzo przypominali strażaków. Przyjrzyjcie się specjalnie obrazom starych mistrzów.

Sala ze studnią była oświetlona słabo paląciami się łuczywami. Wodę wydostawali mnichowie za pomocą wiadra, ciągnionego na łańcuchu. Wyciekała ona nazewnątrz budynku kamiennem korytem. Nikt poza mnichami nie miał prawa wchodzić do kaplicy. Co do mnie dostałem się tam korzystając ze swego autorytetu i dzięki uprzejmości mego kolegi po profesji Merlina. Sam on jednak tam nie wszedł. Nie lubił on nigdy wysilić mózgu, ale zawsze prostodusznie wierzył w swą czarodziejską moc. Gdyby prze-

stąpił próg kaplicy i zbadał rzecz na miejscu, zamiast samemu ją gmatwać, z pewnością znalazłby sposób naprawienia źródła. Był to jednak, jak powiedziałem, stary idjota, nie wątpiący ani trochę w swą, nadprzyrodzoną potęgę. A nie było jeszcze maga, któremu by cokolwiek się udawało przy tego rodzaju wierze.

Przyszło mi do głowy, że w studni zrobiła się poprostu dziura. Zapewne w kamiennej ścianie wypadł kamień i utworzył się otwór, przez który wyciekała woda. Zmierzyłem łańcuch — dziesięć metrów. Zawoławszy paru mnichów, zamknąłem drzwi, wziąłem świecę i kazałem im spuścić siebie na łańcuchu do studni. Kiedy dosięgnąłem dna, stwierdziłem, że przypuszczenia moje mnie nie myliły. Znaczna część ściany była zniszczona i utworzyła się w niej szeroka szczelina.

Żałowałem niemal, że przypuszczenie moje okazało się słuszne: w głębi duszy spodziewałem się czegoś innego i miałem nadzieję, że będę musiał się uciec do cudu. Przypominałem sobie, że w Ameryce po wielu stuleciach, kiedy przestawało bić źródło nafty pomagano sobie dynamitem. To samo zamierzałem zrobić teraz. Ale, jak się okazało, można było obejść się bez bomby.

Tak czy inaczej, nie miałem zamiaru z tego powodu się martwić. Należało wymyśleć coś nowego. „Nie będę się spieszył — pomyślałem — „może przyda się jeszcze i bomba“. Tak też postąpiłem.

Wydostawszy się ze studni, poprosiłem, aby mi przyniesiono miarkę. Studnia miała 14 metrów głębokości, woda zaś podnosiła się na 8 metrów.

— Do jakiej wysokości dochodziła woda w studni? — zapytałem mnicha.

— Do samego wierzchu w ciągu dwustu lat, tak mówią kroniki, zostawione przez naszych poprzedników.

1 Wówczas rzekłem:

→ Ażeby zpowrotem podnieść poziom wody w studni, będę musiał uciec się do bardzo trudnego cudu. Jestem pewien, że wkrótce będę musiał wyręczyć w tej pracy Merlina. Kolega Merlin jest bardzo przeciętnym czarownikiem i może liczyć na jakiegokolwiek wyniki tylko w zakresie salonowej magji. Ale ja potrafię dokonać tego cudu i dokonam go! Nie ukrywam, jednak, że będzie on wymagał z mojej strony bardzo wielkiego wysiłku.

— Nikt nie wie o tem lepiej od naszego bractwa. Mamy wiadomości, z których wynika, że dawniejszemi czasy to zło można było usunąć po wielu wysiłkach i to nie prędszej, niż w ciągu roku. Wszyscy jednak będziemy zanosili modły do Boga, aby twoja praca dała pomyślne wyniki.

Było rzeczą niezbędną szerzenie wiadomości, że zadanie, które przedemną stoi, jest niepospolicie trudne. Mnich był oczywiście pełen szacunku dla mego przedsięwzięcia i rozumie się, że nie omieszka doń odpowiednio usposobić swych towarzyszy. W ciągu dwu dni w miasteczku będzie się kotłowało.

Wracając w południe do domu, spotkałem Sandy: zwiadała ona siedziby pustelników.

— Chciałbym zrobić to samo — rzekłem do Sandy. — Dzisiaj jest środa, czy przyjmują oni zrana?

— Jak się wyraziłeś, sir?

— Co do przyjęć? No, czy zrana sklepik jest otwarty, czy pracują oni rankiem?

— Pracują?

— Tak, pracują! zdaje się, że to jest zupełnie zrozumiałe. Nigdy nie zdarzyło mi się spotykać tak mało rozgarniętych ludzi, jak tutaj. Słuchaj-no, Sandy, czy ty jesteś wogóle w stanie coś pojąć. No, pytam ciebie, czy interes jest zamknięty, czy też otwarty, czy pracują...

— Zamykają interes...

— Daj już spokój! Nie chcesz, czy nie możesz zrozumieć najprostszych rzeczy.

— Drogi sir, staram ci się z całych sił przysłużyć i sprawia mi to ból, że jestem tylko prostą dziewczyną, zupełnie nieuczona, która nigdy nie zanurzyła się w głębokiej krynicy wiedzy i nie była namaszczone świętym olejem nauk. Nieuczenni ludzie godni są miłości, czy ich toną w mroku, a głowa posypana jest popiołem smutku. I, kiedy w mych mrokach zabłysną złote, tajemne słowa mądrości, to tylko dzięki specjalnej łasce Pańskiej nie opanowuje mnie ządrosć do umysłu, który je płodzi i języka który może stwarzać takie wzniosłe, słodko brzmiące dźwięki i mój skromny rozum skłania się przed temi cudami, lecz nie może zrozumieć ich i nie może się nimi nakarmić. Chciałabym tego bardzo, ale nie mogę i dlatego, szlachetny panie i drogi mój lordzie, błagam cię o pobłażliwość dla mnie i proszę cię, zechciej mi wybaczyć moje błędy.

Trudno mi było zrozumieć szczegóły i uchwycić wątek tego długiego monologu, lecz ogólny ton jego skłonił mnie do pożałowania mego rozdrażnienia. Używając terminów i wyrażeń wieku XIX, nie miałem prawa żądać, ażeby sens ich był dostępny dla tego naiwnego dziecięcia VI wieku. A w każdym razie nie miałem prawa jej wymyślać i oskarżać ją o tępość.

Nie zostawało mi nic innego, jak prosić ją o wybaczenie, co też i uczyniłem. Poczem w najlepszej ko-



mitowie i gawędząc o tem i owem, udaliśmy się do grot pustelników.

Przez cały Boży dzień wydeptywaliśmy drogę od jednego pustelnika do drugiego. Naogół niema dziwaczniejszej profesji, niż profesja pustelnika.

Największa rywalizacja daje się tu zauważyć głównie w kierunku metodycznego nawarstwiania na ciele pokładów brudu i robactwa. Ich maniere, sposób zachowania się i całe życie odznaczało się krańcowym brakiem wstydlivosti. Niektórzy z nich np. z nader niezależną miną leżeli zupełnie nadzy w błocie, wydając swoje ciało na pastwę owadów, pod wpływem ukąszeń których występowały pęcherze i wrzody. Drudzy, zatopieni w ekstazie, stali oparci o skałę, podczas gdy pielgrzymi z nabożeństwem oddawali się ich kontemplacji. I wszyscy ci ludzie byli nadzy. Nago pęzali na czworakach, nago sterczeli dniami i nocami w kłujących gąszczach i skręcali się w konwulsjach na widok pielgrzymów. Jedna z kobiet przykrywała ciało, miast odzieży, swemi siwemi włosami, i ciało jej było pokryte taką samą, jak u innych, warstwą brudu i błota, gdyż od 47 lat nie dotykała go woda. Tłumy nabożnych stały, otaczając ich ze czcią, zdumiewając się na widok ich umartwień i zginając kolana przed ich świętością. Dziwni ludzie!

Zbliżaliśmy się do najslynniejszego z pustelników.

Sława jego daleko się rozeszła po całym chrześcijańskim świecie. Szlachta i lud prosty, bogacze i nędzarze ścigali tu ze wszystkich krańców ziemi, aby złożyć mu hołd. Pomieszczenie jego mieściło się w środku doliny i obszerna przestrzeń dookoła była zawsze pełna tłoczących się tłumów.

Pomieszczenie to było właściwie niczem innym, jak kolumną wysokości kilkunastu metrów, z szeroką platformą na szczycie. Kiedyśmy nadeszli, pustelnik

czynił to, czem był zajęty codzien już od lat 20-tu. Bez przerwy i z niesłychaną szybkością zginał całe ciało niemal do stóp, zastępując tym obrzędem swe modły. Obliczyłem z zegarkiem w rękę, że tym sposobem wykonywał on 1244 ruchy na dobę. Było to arcy-niemile, że taka energja przepadała bez żadnego pożytku. Ponieważ tego właśnie rodzaju ruch pedałow, jak wiadomo, ma zastosowanie w mechanice, zanotowałem więc sobie w swym bloku nazwisko pustelnika, mając nadzieję zastosować tu z czasem systemat elastycznych drutów, którymi się połączy go z maszyną do szycia. I rzeczywiście projekt ten po pewnym czasie wprowadziłem w życie i korzystałem z bezpłodnie traconej dotąd siły tego poczciwca przez pięć lat z rzędu, w ciągu których pustelnik uszył 80 tysięcy płóciennych koszul, wyrabiając po 10 na dzień. Z pracy jego można było korzystać również i w niedziele, gdyż nawet we święta nie przerywał swego zajęcia. W ten sposób, poza nieznacznymi kosztami materiału, koszule nie kosztowały mnie nic kompletnie. Cieszyły się one wśród pielgrzymów dużym popytem, mimo dość wysokiej ceny, wynoszącej 1 i pół dolara. Za sumę tę można było nabyć podówczas w królestwie Artura 50 krów lub jednego rasowego konia. Koszule były uważane za talizman przeciwko grzechom i chorobom. Rycerze moi rozwozili i rozwieszali wszędzie jaskrawe, krzyczące plakaty, reklamujące je wszędzie w najbardziej zachęcający sposób. Wkrótce nie było w całym państwie ani jednej skały i ani jednego większego kamienia, na którymby nie widniały olbrzymie litery: „Kupujcie koszule św. Stylita. Najbardziej używane przez lordów. Patent wynalazcy”.

Tak, gdy się ma głowę na karku ze wszystkiego można wytrzasnąć pieniądze.

## XX. ODRESTAUROWANIE ŹRÓDŁA

W sobotę w południe przyszedłem do źródła i popatrzyłem przez chwilę. Merlin palił wciąż swe dymiące prochy, wyczyniając przytem ruchy. Lecz wyglądał jakoś niebardzo zadowolony, gdyż w istocie rzeczy nie mógł wydobyć ze źródła ani śladu wody.

Wreszcie odezwałem się:

— Jak się obecnie przedstawia sprawa.

— Patrz, jestem teraz zajęty próbą co najpotężniejszego czarodziejstwa, znanego księżętom nauk tajemnych w krajach Wschodu. I to mnie zawodzi, i nic nie może zdziałać. Spokoju, póki nie skończę.

Tymczasem Merlin wzniecił dym, który zaciemnił całą okolicę, przyczyniając wiele niewygody pustelnikom, gdyż wiatr dał w tamtą właśnie stronę i ogarniał ich coraz to gęstsza, kłębiącą się mgłą. Z ust Merlina płynęły potoki słów, ciało jego wyginało się, a ręce przecinały powietrze w jakiś niezwykle sposób. Po upływie dwudziestu minut leżał dysząc ciężko na ziemię, niemal całkiem wyczerpany. Wnet nadszedł opat i kilkuset mnichów oraz mniszek, a za nimi tłum pielgrzymów oraz podrzutków, zwabionych nadzwyczajnym dymem. Wszyscy byli w stanie wielkiego podniecenia. Opat zapytywał niespokojnie o rezultaty.

Merlin odrzekł:

— Jeżeli jakaś moc ludzka może wogóle zniweczyć czary, wiążące te wody, to uczyniono wszystko w tym kierunku. Lecz to zawiodło. Teraz więc wiem, że obawy, jakie żywiłem, stały się niezbitym pewnikiem. Niepowodzenie moje świadczy, że na to źródło rzucił swe czary najpotężniejszy duch, jakiego znają czarnoksiężnicy Wschodu, a którego imienia nikt nie śmie wymówić. Niema śmiertelnika, któryby zdołał przeniknąć tajemnicę tego źródła, a bez tej tajemnicy nikt nie potrafi nic zdziałać. Dobry Ojczy, woda ta już nigdy nie tryśnie. Uczyniłem wszystko, co mogłem. Pozwólcie mi odejść.

Słowa te wprawiły opata w stan niezmiernej konsternacji. Zwrócił się do mnie pod tem wrażeniem i rzekł:

— Słyszałeś go. Czy to prawda?

— Poczęści tak.

— Więc, niezupełnie, niezupełnie! Co jest prawdą?

— To, że duch o rosyjskiem imieniu rzucił czary na to źródło.

— Na Boga, zatem jesteśmy zgubieni!

— Możliwe.

— Ale nie pewne? Myślisz, że to nie jest pewne?

— Tak.

— Przeto sądzisz, że kiedy on mówi, iż nikt nie zdoła zdjąć czarów...

— Tak, kiedy on to mówi, opowiada rzecz niekoniecznie prawdziwą. Są pewne warunki, przy których wysiłki zdjęć czarów mogą mieć niejaki — bardzo niewielkie, znikome, — szanse powodzenia.

— Warunki...

— O, to nic trudnego. Tyle tylko: pragnę mieć źródło i okolicę jego w promieniu pół mili do swoje!

dyspozycji, do swojej wyłącznej dyspozycji, poczynając od zachodu dnia dzisiejszego aż do odwołania — i nikomu nie wolno bez mojej wiedzy wstąpić na to terytorjum.

— To wszystko?

— Tak.

— I nie boisz się próbować?

— O, nie. Może, oczywiście, spotkać niepowodzenie, ale też może się udać. Można spróbować i ja jestem gotów uczynić to. Czy przyjęto moje warunki?

— Te oraz wszystkie inne, jakie wymienisz. Wydam odpowiednie zarządzenia.

— Poczekaj, — rzekł Merlin ze złośliwym uśmiechem. — Czy wiesz, że ten kto chce zdjąć czary, musi znać imię ducha?

— Tak, ja znam jego imię.

— I wiesz również, że nie wystarcza je znać, lecz trzeba je wypowiedzieć odpowiednio? Ha - ha? Wiesz to?

— Tak, wiem również i to.

— Posiadasz tę wiedzę? Jesteś szalony? Czy zamierzasz wypowiedzieć to imię i umrzeć?

— Jesteś już zatem nieboszczykiem. Idę powiedzieć o tem Arturowi.

— To słuszne.

Moi dwaj eksperci przybyli wieczorem, porządnie zmęczeni, ponieważ podróżowali przez dłuższy czas. Byli obciążeni tem wszystkim, czego potrzebowałem: mieli z sobą przeróżne narzędzia, ołowiane rury, ogień grecki, świece rzymskie, aparaty elektryczne — słowem wszystko niezbędne do wykonania najwspanialszego z cudów. Zjedli kolację i zdrzemnęli się nieco, a około północy wyszliśmy pośród tak doskonałej i zupełnej nocy, że wprost przewyższała żądane warunki. Zawładnęliśmy źródłem i okolicą. Moi

chłopcy byli biegli we wszelkiego rodzaju sprawach, od ocembrowania studni aż do konstruowania instrumentów matematycznych. Na godzinę przed wschodem słońca przewierciliśmy odpowiednie otwory i woda zaczęła tryskać. Poczem zamknęliśmy ogień sztuczne w kaplicy i poszliśmy spać.

Zanim nadeszła pora południowej mszy, byliśmy już zpowrotem u źródła, gdyż pozostawało jeszcze sporo do zrobienia, a ja postanowiłem okazać cud przed północą dla wielu powodów; przedewszystkiem jeśli cud dokonany dla kościoła w dzień powszedni wart jest zachodu, to sześćkroć więcej wart jest w niedzielę. W ciągu dziesięciu godzin woda podniosła się do swego zwykłego poziomu.

Wciągnęliśmy na płaski dach kaplicy beczkę, tam umocowaliśmy ją i napełniliśmy dno dość grubą warstwą prochu. Dołączyliśmy drut kieszonkowej baterji elektrycznej, a na każdym rogu dachu umieściliśmy duży zapas greckiego ognia: niebieski na jednym, zielony na drugim, na trzecim czerwony i purpurowy na czwartym i połączyliśmy je wszystkie drutami.

W odległości jakichś dwustu jardów wybudowaliśmy na równinie coś w rodzaju zagrody wysokiej na cztery stopy, układając na niej deski, tak że tworzyła wzniesienie. Pokryliśmy ją puszystymi dywanami, wy pożyczonemi w tym celu, i ozdobiliśmy własnym tronem opata. Skoro chce się dokonać cudu dla ludzi z gatunku ignorantów, trzeba uwzględnić każdy szczegół, mający tu znaczenie, trzeba wydobyć wszystko, co działa na zewnętrzny efekt. Znam wartość tych rzeczy, gdyż znam ludzką naturę. Nie można ich przecenić tam, gdzie idzie o cud. To wymaga zachodu, pracy i nieraz pieniędzy, ale wszystko opłaca się wkońcu. Zamiarem moim było rozpocząć widowisko o godzinie jedenastej minut dwadzieścia pięć. Naka-

załem swoim chłopcom przybyć o dziesiątej, zanim ktoś jeszcze znajdzie się w pobliżu, i trzymać się w pogotowiu.

Wiść o klęsce, jaka spotkała źródło, rozszerzyła się tymczasem, i w ciągu dwóch czy trzech dni istne lawiny ludzkie zwały się na dolinę. Niższy jej koniec stał się olbrzymiem obozowiskiem. Heroldowie rozbiegli się wczesnym wieczorem, obwieszczając zbliżającą się próbę, co wprawiło wszystkich w jakiś stan febrycznej gorączki. Doniesiono, że opat wraz ze swiątą przybędzie i zajmie wzniesienie o godzinie dziesiątej i pół, do tej zaś chwili cała okolica będzie w moim władaniu.

Stałem na wzniesieniu, gotowy na przyjęcie uroczystej procesji w chwili, kiedy się ukaże. Wraz z nią zjawił się Merlin i zajął przednie miejsce na wzniesieniu. Gdy zamilkły dzwonki, co było umówionym znakiem, masy ludzkie zalały całą przestrzeń, nakształt wielkiej, czarnej fali i płynęły nieprzerwanie przez pół godziny tak zwartym tłumem, że można było przechadzać się po tem morzu głów.

W ciągu następnych dwudziestu minut trwało uroczyste oczekiwanie, obliczone na wywołanie odpowiedniego efektu. Wreszcie poważny śpiew łaciński w wykonaniu męskich głosów przerwał ciszę i potoczyła się w noc majestatyczna melodia. Był to jeden z najlepszych efektów, jakie wymyśliłem. Kiedy nastąpił koniec, wyciągnąłem, stojąc na wzniesieniu, obydwie ręce i trwałem tak z podniesioną w górę twarzą dwie minuty, to wywołuje zawsze grobową ciszę — poczem z wolna wymówiłem wyraz zaklęcia z pewnym rodzajem grozy, która wprawiła w drżenie setki ludzi a wiele kobiet — w omdlenie.

**„Konstantinopolitanischer dudelsackpfeifenmacher-gesellschaft!“**

Równocześnie dotknąłem jednego z elektrycznych kontaktów i jakiś dziwny błękitny blask zalał cały ten mroczny tłum. Wrażenie było nadzwyczajne! Należało mnożyć dalej te efekty. Podniosłem ręce do góry i zamruczałem następny wyraz:

**„Nihilistendynamittheaterkaestchenssprengungs-  
attentatsversuchungen!”**

— Wypowiedzieć? Oczywiście.

Wraz z tem zabłysło czerwone światło. Po upływie sześćdziesięciu sekund krzyknąłem:

**„Transvaaltruppentropentransporttrampelthiertrel-  
berauungsthraenentraegoedie!”**

I zapaliłem światło zielone. A przeczekawszy tym razem więcej nad czterdzieści sekund, ponownie wyrzuciłem w górę swe ramiona, hucząc groźne sylaby tego słowa nad słowami:

**Mekkamuselmannenmassenmenschenmoerdermo-  
orenmultermarmormentenmacher!”**

Zajaśniało purpurowe światło. Wiedziałem, że moi chłopcy stoją gotowi z pompami u źródła.

Wówczas rzekłem do opata:

— Nadeszła chwila, ojcze, abym wypowiedział straszliwe imię i zdjął czary.

Potem zwróciłem się do zgromadzonego ludu:

— Patrzcie, niebawem czary będą przełamane, lub też — żaden śmiertelnik uczynić tego nie zdoła. Jeśli to się stanie, wszyscy będą wiedzieli, gdyż ujrzą świętą wodę, tryskającą z przed drzwi kaplicy!

Stałem przez chwilę, czekając, aż bliżsi słuchacze będą mogli zakomunikować moje oświadczenie aż do najdalszych szeregów tym, do których nie dotarło, potem przy akompanjamencie niezwykłych ruchów i gestów zawołałem.

— Lo, rozkazuję okrutnemu duchowi, co włada świętem źródłem, by wystrzelił ku niebiosom wszystkie



piekielne ognie, jakie jeszcze w niem tkwią i prze-  
łamał czary. Na jego straszliwe imię rozkazuję to —  
BGWILLJGKKK!

Następnie dotknąłem przewodnika, połączonego  
z beczką i ku górze trysnęła z sykiem fontanna olśnie-  
wającego ognia, wybuchając na tle nieba, niby bly-  
skliwy deszcz klejnotów!

Potężny okrzyk zgrozy wydarł się z ludzkiego  
tłumu, lecz nagle zmienił się w żywiołową hosannę  
radości — gdyż w tej samej chwili ujrzano wodę, bi-  
jącą ze źródła. Sędziwy opat nie mógł wymówić sło-  
wa, lzy wzruszenia tamowały mu głos i tylko objął  
mnie swemi ramionami. Było to wymowniejsze od  
wszelkich słów.

## XXI. YANKES WALCZY Z RYCERZAMI.

W dwa dni później znalazłem rano na stole obok swego nakrycia gazetę, jeszcze wilgotną od druku. Obejrzałem ją, wiedząc, że musi tam być coś interesującego mnie osobiście. Oto, com przeczytał:

### DE PAR LE ROI.

Wobec tego, że możny pan i znakomity rycerz Sir Sagramour Le Desirous zgodził się na spotkanie z ministrem królewskim, Hank Morganem, o przydomku The Boss, celem dania satysfakcji za dawniejszą obrazę, wyżej wymienieni wstąpią w szranki około godziny czwartej zrana dnia szesnastego przyszłego miesiąca. Walka toczyć się będzie à outrance, zważywszy iż obraza miała ciężki charakter, nie dopuszczający pojednania.

### DE PAR LE ROI.

Od tej chwili w całej Brytanji nie mówiono o niczem innem. Wszystkie sprawy uległy zapomnieniu i przestały interesować ludzi. I nie dlatego, że turniej był ważnem wydarzeniem, nie dlatego, że Sir Sagramour znalazł Holy Groid, nie dlatego, że jednym z przeciwników była osobistość zajmująca drugie miejsce w królestwie. Nie, wszystko to nie miało wielkiej wagi. Nadzwyczajne zainteresowanie, jakie budziła ta walka wynikało z tego, że cała ludność wiedziała, iż

nie ma to być pojedynek między zwykłymi ludźmi, lecz spotkanie między dwoma potężnymi czarodziejami! walka nie mięśni, ale rozumu, nie — ludzkiej zręczności, ale nadludzkiej sztuki, ostateczne zapasy o supremację pomiędzy dwoma mistrzami czarnoksięstwa. Rozumiano, że najwspanialsze wyczyny najbardziej znanych rycerzy nie będą mogły iść w paragon z widowiskiem podobnem temu. Wyglądałyby jak dziecinna zabawa wobec tajemniczych i straszliwych zapasów bogów. Tak, wiedziano, że ma to być w rzeczywistości walka między Merlinem i mną, próba jego magicznych mocy wobec mnie. Było rzeczą wiadomą, że Merlin zajęty jest dzień i noc, nasycając oręż i pancerz Sir Sagramoura jakąś nadzwyczajną mocą natarcia i obrony i że dostarczył mu od duchów powietrza specjalnej zasłony, czyniącej posiadacza jej niewidzialnym dla przeciwnika, podczas gdy inni ludzie mogą go widzieć. Przeciwnko Sir Sagramourowi, tak uzbrojonemu i zabezpieczonemu, nic nie mogło zdziałać nawet tysiąc rycerzy, i żadne ze znanych czarodziejstw nie było zdolne sprostać. To było pewne i nie istniała pod tym względem najmniejsza wątpliwość. Ale wynikało inne pytanie. Może inne sztuki czarnoksięskie, **nieznane** Merlinowi, potrafiłyby uczynić zasłonę Sir Sagramoura widoczną dla mnie, a jego zaczarowaną kolczugę wystawić na ciosy mego oręża? To jedno tylko miało decydować w szrankach. I co do tego świat musiał trwać w niepewności.

Byłem szampionem, to prawda, ale nie szampionem lekkomyślnych czarnych sztuk, lecz — twardego, pozbawionego sentymentów zdrowego rozsądku i rozumu. Wstępowałem w szranki, aby zniszczyć błędne rycerstwo, lub też — paść jego ofiarą.

Dnia szesnastego, o godzinie dziesiątej rano, cała wielka przestrzeń, poza szrankami, była całkowicie

wypełniona ludźmi. Zdobiły ją chorągwie i proporce oraz bogate kobierce, zajmowały tłumy królewskich lenników, przybyłych wraz ze świtami i arystokracji brytyjskiej. Na pierwszym miejscu widnieli ludzie królewscy, a wszyscy razem i każdy z osobna błyszczał od jedwabi i aksamitów. W ogromnym obozie roilo się od różnobarwnych namiotów, przed którymi stały wyprostowane stráže. Gdybym nawet wyszedł zwycięsko z walki z Sir Sagramourem, inni mieliby prawo wyzwać mnie, póki byłbym zdolny stawić im czoło.

Na drugim końcu obozu stały tylko dwa namioty: mój i mojej służby. W oznaczonej godzinie król dał znak, zjawili się heroldowie i ogłosili walkę, wymieniając imiona przeciwników oraz przyczynę sporu. Nastąpiła pauza, a potem rozległy się dźwięki rogu myśliwskiego, będące sygnałem dla nas. Zgromadzony tłum czekał z zapartym oddechem, a na wszystkich obliczach malowało się skupione zaciekawienie.

Ze swego namiotu wyjechał olbrzymi Sir Sagramour, imponująca masa żelaza, wielka włócznia sterczała w jego mocnej dłoni; koń jego był zakuty w stal. Wszystko to tworzyło wspaniałą całość, którą powitały okrzyki zachwyty.

A potem wystąpiłem ja. Lecz mnie nie powitały okrzyki. Panowało przez chwilę wymowne milczenie, a potem wielka fala śmiechu zakołysała tem morzem ludzi, lecz ostrzegawczy sygnał rychło położył jej kres. Miałem na sobie zwykły i wygodny kostjum gimnastyczny, cielistej barwy, obciskający mnie od szyi do pięt, błękitną jedwabną opaskę na biodrach i gołą głowę. Koń mój nie przekraczał średniej miary, lecz był żwawy, muskularny i smukłonogi, a śmigły, jak chart.

Zaczęliśmy wolno zbliżać się do siebie. Przystaliśmy: tamten się skłonił, ja mu odpowiedziałem.

Poczem przejechaliśmy obok siebie i ustawiliśmy się nawprost króla i królowej, czekając rozkazów. Królowa rzekła:

— Niestety, sir Boss, będziecie walczyli bez tarczy i bez miecza...

Ale król dał jej w sposób grzeczny do zrozumienia w kilku słowach, że to nie jest jej sprawa. Rogi zagrały znowu. Rozłączyliśmy się, kierując konie ku zewnętrznym szrankom. Zajęliśmy swe miejsca. Teraz wystąpił na widownię Merlin i zarzucił na Sir Sagramoura lekką, niby sieć pajęczą, tkaninę. Król dał znak. Sir Sagramour nastawił swą lancę i po chwili popędził galopem, z rozwiewającą się za nim tkaniną, a ja, niby strzała przesywająca z świstem powietrze, pośpieszyłem mu naprzeciw. Natężyłem ucha, jakby słuchem łowiąc miejsce niewidzialnego rycerza. Rozległ się chór zachęcających dlań okrzyków, a tylko jeden dzielny głos wyrzekł to krzepiące serce moje słowo:

— Dalejże, Jimiel!

Kiedy straszliwy grot lancy znalazł się półtora jarda od mojej piersi, uskoczyłem z koniem w bok bez żadnego wysiłku i cios wielkiego rycerza uderzył w próżnię. Tym razem zdobyłem huczny poklask. Zawróciliśmy konie i znowu spotkaliśmy się. Ponowne niepowodzenie rycerza i uznanie — dla mnie. To samo powtórzyło się kilkakrotnie. Wreszcie Sir Sagramour stracił panowanie nad sobą i, zmieniwszy taktykę, postanowił wysadzić mnie z siodła. Lecz w całej tej grze przewaga była po mojej stronie. Ze swobodą wymykałem mu się, wciąż wirując i ostatecznie inicjatywa przeszła w moje ręce. Tamten stracił wówczas serce. Wyrwałem przytroczone do mojego siodła lasso i uchwyciłem je mocno prawą ręką. Trzeba było to widzieć! Jego oczy nabiegły krwią. Ja sie-

działem lekko na swoim koniu i ponad głową manewrowałem lasso, skręcając je szerokimi kołami. Ruszyłem ku niemu i kiedy dzieliła nas przestrzeń wynosząca czterdzieści stóp, puściłem wężowo skręcone spirale poprzez powietrze i wszystkiemi czterema kopytami wparłem swego rumaka w ziemię. W następnej chwili rzucony sznur wyprężył się mocno, wysadzając Sir Sagramoura z siodła! Cóż to była za sensacja!

Bez wątpienia wszelka nowość na tym świecie jest popularna. Tutejszy lud nie widział nigdy jeszcze podobnych wyczynów cowboya i wszyscy w zachwycie porwali się na nogi. Zewsząd rozległy się jeno okrzyki:

— Encore! Encore!

Dziwiłem się, skąd się wzięło to słowo w ich usta, ale nie czas był na dociekania filologiczne, gdyż w całej masie błędnego rycerstwa zawrzało jak w ulu i moje widoki bynajmniej nie wydawały się lepsze. Kiedy po uwolnieniu z lassa zanieśiono Sir Sagramoura do namiotu, ja znów zająłem stanowisko i zacząłem wywijać sznurem ponad głowę. Byłem przygotowany, aby go użyć z chwilą gdy będzie wybrany następca Sir Sagramoura, a nie mogło to trwać długo tam, gdzie było tylu żądnych kandydatów. Rzeczywiście wybrano zaraz — Sir Hervis de Reval.

W chwilę później siodło jego było puste.

Wysadziłem jeszcze jednego, i następnego, i znów jednego. Kiedy w ten sposób obezwładniłem pięciu, sprawa zaczęła wyglądać poważnie. Zakuci w żelazo mężowie jęli się naradzać. W rezultacie postanowiono wysłać przeciwko mnie największego i najlepszego. Ku ogólnemu zdumieniu wysadziłem z siodła Sir Lamoreka de Galis, a po nim Sir Galahada. Nie pozostawało nic innego, jak — okazać najdumniejszego

z dumnych, najpotężniejszego z potężnych — samego Sir Lancelota.

Czy była to dla mnie chwila dumy? Sądzę, że tak. Tam się znajdował Artur, Król Brytanji, i Genever, tam byli wszyscy lenni królewęża, a na pokrytem namiotami polu znani rycerze za wszystkich krajów i najbardziej wybrani — Rycerze Okrągłego Stołu — najświetniejsi w całym Chryścijaństwie. W umyśle moim przemknął drogi obraz pewnej dziewczyny z West Hartford i pragnąłem, aby ona mogła mnie widzieć w tej chwili. Tymczasem wystąpił Niezwyciężony — wszyscy zerwali się, czyniąc pokłon w jego stronę — fatalne sznury zawirowały w powietrzu i z nim ktoś zdążył mrugnąć, ja już wlokłem Sir Lancelota poprzez pole pośród morza powiewających chustek i grzmiących na moją cześć oklasków.

Zwycięstwo było zupełne — błędne rycerstwo zginęło ostateczną śmiercią.

Triumfujący i upojony sławą siedziałem w siodle i, związując swoje lasso, mówiłem sam do siebie: „Zwycięstwo całkowite, nikt już nie ośmieli się wystąpić przeciwko mnie — błędne rycerstwo umarło”. Wyobraźcie sobie teraz moje zdumienie — każdy zdumiałby się na mojem miejscu — gdy naraz usłyszał znajomy dźwięk rogu, zapowiadający, że nowy przeciwnik pragnie wstąpić na arenę. Tkwiła w tem jakaś zagadka. Tego się wcale nie spodziewałem. Ale jednocześnie zauważyłem Merlina, który prześlizgnął się tuż obok mnie, i od razu zorjentowałem się, że mi skradziono lasso. Stary, nieuczciwy czarownik najpewniej ukradł mi je i ukrył pod swą szatą.

Róg zatrafił ponownie. Ujrzałem Sagramora, pędzącego w moim kierunku, rozbijającego kurz końskimi kopytami, z rozwianą za plecami zasłoną. Przygo-

towałem się na spotkanie, przysłuchując się tętentowi konia.

— Masz dobry słuch — powiedział mi — ale nie uratuje cię przed tem: — Tu uniósł olbrzymi miecz. — Choć nie możesz go zobaczyć naskutek czarów zasłony, ale wiedz, że to nie ciężka kopja, to miecz, i wiem, że nie unikniesz od niego śmierci.

Jego przyłbica była podniesiona i śmierć niósł w uśmiechu. Pewnie, przed mieczem nie mogłem uciec, to było oczywiste. Jeden z nas musiał zginać. Jeżeli trafi mnie, padnę trupem. Pojechaliśmy razem naprzód, by powitać władcę. Król był zmieszany.

— Gdzie masz swój straszliwy oręż? — spytał mnie.

— Ukradziono mi go, najjaśniejszy panie.

— Masz może inny?

— Nie, panie, wziąłem tylko ten ze sobą.

Tu wtrącił się Merlin.

— On przyniósł tylko jeden, mógł bowiem tylko jeden przynieść. Drugi taki nie istnieje. Ten oręż jest własnością króla demonów morza. Ten człowiek to pyszałek, a jednocześnie nieuk, w przeciwnym razie wiedziałby bowiem, że oręża tego można użyć tylko pośmiokroć, a potem wraca on znów do morza, do swego właściciela.

— Zatem jest bezbronny — powiedział król. — Sir Sagramourze, powinieneś zaczekać, dopóki on nie zdobędzie broni.

— Dam mu swoją — powiedział sir Lancelot, zbliżywszy się, kulejąc. — To najdzielniejszy rycerz, jakiego widziałem w życiu, zatem może użyć mojej broni.

Położył rękę na mieczu, aby go wydobyć, lecz sir Sagramour powiedział:

— Stój, tak nie może być. On powinien walczyć



własną bronią. Otrzymał przywilej wybrania sobie broni i przyniesienia jej. Jeżeli ją stracił, niech odpowiada za to.

— Rycerzu — powiedział król — twoje namiętności zaciemniają twój rozum. Czyż zdolny jesteś zabić nagiego, bezbronniego człowieka?

— Jeżeli on to uczyni, będzie miał do czynienia ze mną — powiedział sir Lancelot.

— Stanę do walki z każdym, kto zechce — wyniosło powiedział sir Sagramour.

Merlin przerwał mu, zacierając dłonie z najohydniejszym uśmiechem podłej satysfakcji:

— Dobrze powiedziane, bardzo dobrze powiedziane! I dość rozmów, milordowie, nie przeszkadzajcie królowi, który chce dać sygnał do bitwy.

Król ustąpił. Zatrąbił róg i wróciliśmy na nasze miejsca. Stanęliśmy w odległości stu jardów jeden od drugiego, wyprostowani i nieruchomi jak dwa posągi. Jeszcze chwilę staliśmy tak, bez głosu, patrząc na siebie i nie poruszając się. Zdawało się, że król nie zdoła się na to, by dać sygnał. Ale wreszcie podniósł rękę, róg głośno zatrąbił, sir Sagramour uniósł miecz i długa, wąska, błyszcząca klinga mignęła w powietrzu pięknym zygzakiem. Stałem wciąż nieruchomo. Sir Sagramour zbliżał się do mnie. Nie ruszałem się. Lud był tak podniecony, że krzyczał mi:

— Uciekaj, uciekaj! Ratuuj się! To morderca!

Ja wciąż się nie cofałem więcej niż na cal, dopóki śmiercionośna postać nie znalazła się w odległości piętnastu kroków odemnie. Wtedy dobyłem rewolwer z olstra, rozległ się trzask, błysnęła iskra i pistolet znalazł się znów w olstrze, zanim ktokolwiek zdążył zorientować się, co zaszło.

Koń bez jeźdźca odbiegł, na ziemi leżał sir Sagramour martwy.

Lud, który zbiegł się, oniemiał ze zdumienia, nie znajdując w ciele leżącego ani znaków życia ani widomej przyczyny śmierci. Żadnego uszkodzenia, żadnej rany na ciele, nic podobnego do rany. Był tylko otwór w kolczudze na piersi, ale nikt do takiego drobiazgu nie przywiązywał wagi. Niewielka ranka od kuli nie dała wiele krwi, której nikt nie dostrzegł, bowiem ściekła pod pancerz. Ciało zaniesiono przed króla, który chciał je obejrzeć. Wszyscy byli zdumieni. Wezwano mnie, abym przyszedł i udzielił wyjaśnień. Ale ja stałem wciąż na swoim miejscu, nieruchomy jak posąg.

— Jeżeli to rozkaz, przyjdę, — powiedziałem, — ale jego królewska wysokość wie, że prawo pojedynku żąda, bym pozostał na miejscu dopóty, dopóki ktoś jeszcze nie zechce wystąpić przeciw mnie.

Czekałem. Nikt nie występował. Wtedy rzekłem:

— Jeżeli kto wątpi, że w tych szrankach zwyciężyłem uczciwie i szlachetnie, to nie będę oczekiwać wyzwania, lecz wyzwę sam.

— To szlachetna propozycja — powiedział król — i godna ciebie. Kogo pierwszego chcesz wyzwąć?

— Ja nie wyzywam nikogo, ja wyzywam wszystkich! Tu oto stoję i rzucam wyzwanie całemu rycerstwu angielskiemu i nie w pojedynkę, lecz wszystkim naraz.

— Co! — krzyknęli wszyscy rycerze.

— Słyszeliście wyzwanie? Przyjmijcie je, albo krzyknę, żeście tchórze, których zwyciężyć może pierwszy lepszy!

To było bardzo brutalne. I można się było spodziewać, że z pięćdziesięciu chłopca rzuci się na mnie i rozerwie na sztuki za zuchwalstwo. Stałem i czekałem. Pięciuset rycerzy dosiadło koni w jednej chwili i podażyło w moim kierunku. Dobyłem obydwuch pistoletów z olster i począłem obliczać odległość.

Trach! Jedno siodło opróżniło się. Trach! Drugie. Trach, trach! Jeszcze dwa. Rozumiecie, że działałem już, jak to się mówi, na całego. Gdybym wystrzelił jedenastą kulę i nie nastraszył ostatecznie rycerzy, dwunastym zabitym byłbym ja sam. Dlatego też byłem niewiarogodnie szczęśliwy, kiedy położywszy trupem dziewiątego rycerza, dostrzegłem w tłumie zamieszanie — pierwszą oznakę paniki. Jedna stracona obecnie chwila cofnęłaby mi wszystkie szanse ostatecznego zwycięstwa. I nie straciłem jej. Podniosłem obydwie rewolwery, celując — tłum stał nieruchomo z ćwierć minuty, poczem rozbiegł się.

To był mój dzień. Błędne rycerstwo zostało skazane na śmierć. Cywilizacja obejmowała swoje prawa. Jak ja się czułem? Nie potraficie sobie tego wyobrazić.

A brat Merlin? Jego pozycja upadła. Jak zwykle w starciu czarodziejstwa i kuglarstwa z czarodziejstwem nauki, zwyciężyło to ostatnie.

## XXII. PO TRZECH LATACH

Kiedym zdruzgotał błędne rycerstwo, zbytczne się stało utrzymywanie mojej działalności w tajemnicy. I pewnego pięknego dnia pokazałem zdumionemu światu moje szkoły, kopalnie i cały system moich ukrytych kolonij z warsztatami, fabrykami i zakładami przemysłowemi. Słowem, było to tak, jakgdybym dał wiekowi szóstemu do obejrzenia wiek dziewiętnasty.

We wszelkiej pracy — naczelną zasadą: nie zwlekać, lecz kroczyć szybko naprzód. Rycerze chwilowo zostali obezwładnieni, ale, by utrzymać ich w tej pozycji, należało całkowicie sparaliżować ich siły. Widzieliście, że brawurowałem podczas ostatniego starcia i inaczej nie mogłem wtedy postąpić — cała moja nadzieja leżała w tem brawurowaniu. Teraz nie wolno mi było dać im się opamiętać. Tak też uczyniłem.

Ponowiłem moje wyzwanie, wryłem je na miedzi i rozesłałem do wszystkich miejscowości, gdzie kler mógł odczytać je ludowi. Oprócz tego drukowałem je codziennie w rubryce ogłoszeń w gazecie.

Nietylko ponowiłem wyzwanie, lecz i rozszerzyłem je. „Wyznaczcie dzień — pisałem — a wystąpię wraz z pięćdziesięcioma pomocnikami przeciw rycerstwu całego świata i zniszczę je”.

Tym razem nie brawurowałem. Wiedziałem, co

mówię, i mogłem spełnić obietnice. Nie można było nie zrozumieć sensu mego wyzwania. Najgłupszy z rycerzy zrozumiał, że nadszedł czas albo śmierci albo poddania się. Byli rozsądni i wybrali to ostatnie. W ciągu następnych trzech lat ani razu nie sprawili mi poważnego kłopotu.

Rozpatrzmy teraz postępy ostatnich trzech lat. Jaka stała się Anglja? Całkowicie zmieniony, szczęśliwy i kwitnący kraj. Wszędzie szkoły i kilka uniwersytetów. Duża liczba bardzo dobrych gazet. Pisarstwo rozwinęło się nadzwyczajnie. Humorysta sir Dinadan pierwszy wystąpił na tem polu z całym tomem starych dowcipów, które przeżyły jeszcze trzynaście wieków i zdążyły mi zbrzydnąć w dziewiętnastem stuleciu. Gdybyż on był wydał tę tandetę w niewielkiej ilości egzemplarzy, tylko dla siebie i kaznodziejów, nie powiedziałbym nic. Ale na to liczyć nie mogłem i dlatego zakazałem książki i powiesiłem autora.

Niewolnictwo zostało zniesione, wszyscy ludzie byli równi przed prawem, podatki zostały również zrównane. Telegraf, telefon, fonograf, prasy drukarskie, maszyny do szycia i tysiące wszelkich innych urządzeń mechanicznych, poruszanych zapomocą pary i elektryczności, pracowały dla mieszkańców. Po Tamizie kursowały statki parowe, istniała flota wojenna i tworzyła się już handlowa. Zamierzałem już wysłać ekspedycję dla odkrycia Ameryki.

Przystąpiliśmy do budowy kilku linii kolejowych, a linja między Camelotem i Londynem kursowała już. Byłem na tyle przewidujący, że wszystkie stanowiska urzędowe, związane z obsługą pasażerów, obsadziłem dostojnymi osobami. Moim zamiarem było przyciągnąć do pracy rycerstwo i arystokrację i uczynić je pożytecznymi, nie zaś szkodliwymi. Nadzieje moje ziściły się, współzawodnictwo o posady było olbrzymie. Nadkon-

duktorem ekspresu był książę i nie było ani jednego konduktora na linii poniżej hrabiego.

Dzielni to byli chłopcy, jeśli nie brać pod uwagę dwóch wad, na które nie mogłem nic poradzić i wkońcu machnąłem na nie ręką. Nie mogli mianowicie rozstać się ze swem uzbrojeniem i zawsze ukrywali kilku pasażerów, t. j. mówiąc poprostu okradali kompanję. Nie było już prawie w kraju ani jednego rycerza, któryby nie był zaprzęgnięty do jakiejś pożytecznej pracy. Przebiegali oni kraj z końca w koniec z najróżnorodniejszymi zleceniami. I tu ich dziwactwo i doświadczenie były nietylko na miejscu, ale i przydawały się bardzo dla rozpowszechnienia oświaty. Zakuci w stal, uzbrojeni w pikę, miecz lub topór, zachęcali oni do wypróbowania maszyny do szycia, instrumentu muzycznego, aparatu do golenia i setek innych wytworów kultury, a w razie odmowy zabijali uparciucha i wędrowali dalej. Byłem bardzo zadowolony. Wszystko szło tak składnie, że cel moich tajemnych pragnień wydawał się bliski urzeczywistnienia. Miałem, widzicie, w głowie dwa schematy, według których chciałem urzeczywistnić jeden z mych najdonioślejszych projektów. Po pierwsze chciałem obalić kościół katolicki, a zamiast niego wprowadzić protestantyzm, oczywiście nie jako religję panującą, lecz dla chcących tego. Po drugie chciałem osiągnąć wydanie dekretu, któryby za życia Artura ustanowił nieskrępowane głosowanie mężczyzn i kobiet — wszystkich mężczyzn: głupich i mądrych i wszystkich matek, które w średnim wieku powinny wiedzieć w przybliżeniu tyle, ile wiedzą ich synowie w dwudziestym roku życia.

Artur mógł żyć jeszcze ze trzydzieści lat. Był wtedy w moim wieku, t. j. miał lat czterdzieści. Liczyłem, że w ciągu tego czasu uda mi się przygotować czynną część ludności do takiego przewrotu. W ten spo-

sób odbyłaby się niespotykana w historii rzecz — rewolucja rządowa bez przelewu krwi. Tak, spodziewałem się tego wszystkiego, ale było w tem także coś, na wspomnienie czego zawsze rumienię się. Chwytałem się na marzeniach o zostaniu pierwszym prezydentem owej nowej republiki.

Nagle wbiegła Sandy okropnie przestraszona i zanosząca się od płaczu do tego stopnia, że nie mogła wymówić ani jednego słowa. Podbiegłem do niej, objąłem ją, pieściłem, uspokajałem i prosiłem, by powiedziała o co chodzi.

— Powiedz, najdroższa moja, powiedz prędeż! Co się stało?

Głowa jej opadła na moją pierś. Z trudem wyjąkała:

— Hallo — Centrala!

— Prędeż — zawołałem do Klarensa — telefonujcie do królewskiego homeopaty, żeby tu natychmiast przyszedł.

W dwie minuty byłem przy kołysce dziecka, Sandy zaś rozesała służbę po lekarstwa i doktorów. Na pierwszy rzut oka poznałem, że dziecko ma krup. Nachyliłem się i wyszeptalem:

— Obudź się, mój skarbie.

Powoli otworzyła oczęta i przemówiła:

— Papa.

Poczułem ulgę. Była jeszcze daleka od śmierci. Posłałem po preparat siarkowy, wiedząc, że przydaje się on w przypadku krupu. Wogóle nigdy nie siedziałem z założonemi rękami w oczekiwaniu doktora, gdy Sandy lub dziecko bywały chore. Umiałem je pielęgnować, a małeńka spędziła większą część swego życia na moich rękach. Często udawało mi się wywołać uśmiech na jej usteczkach, zanim jeszcze obeschły łyzy, perlące się w oczach, co nie udawało się nawet matce.

Sir Lancelot w swym bogatym rynsztunku zmierzzał właśnie poprzez wielką salę do komitetu giełdowego, którego był przewodniczącym. Komitet giełdowy składał się z rycerzy Okrągłego Stołu i posiedzenia jego odbywały się przy tymże Okrągłym Stole. Sir Lancelot, choć wstąpił na nową drogę, pozostał dobrodusznym niedźwiedziem, jakim był i dawniej. Zajrzawszy po drodze do nas i dowiedziawszy się, że jego ulubienica jest chora, odrazu zapomniał o wszystkim. Zapytał, co ma czynić i, odstawivszy oręż w kącie, w minutę później wkręcał już nowy knot do spirytusowej lampki i stawiał na niej rondelek.

Przez ten czas Sandy przykryła kołyskę białą kapą i wszystko było gotowe. Lancelot zagotował wodę, poczem włożyliśmy do kociołka niegaszonego wapna, kwasu karbolowego oraz odrobinę kwasu mlecznego i poczęliśmy kierować strumień pary pod kapę, przykrywającą kołyskę.

Wszystko było teraz w porządku i nie odchodziłimy ani na chwilę od kołyski. Sandy zaopatrzyła nas w tartą korę bukową zamiast tytoniu i powiedziała, że możemy palić, gdyż zasłona nie przepuści dymu do dziecka, a ona sama przyzwyczała się już do niego. Niekiedy paliła nawet sama i była pierwszą z dam, którą widziano wypuszczającą kłęby dymu z ust. Wzruszający był widok sir Lancelota, siedzącego w pełnym uzbrojeniu z zatroskaną miną u kołyski dziecka.

Był to przemiły i dobry człowiek, który powinien mieć własną żonę i dzieci, a bezwątpienia uczyniłby je szczęśliwymi. Ale, bezwątpienia, Guniwera... choć nie warto opłakiwać tego, na co nie można poradzić.

Trzy doby spędziliśmy u łóża dziewczynki, zanim minęło niebezpieczeństwo. Sir Lancelot wziął ją na ręce i mocno ucałował, a pióra, zdobiące jego hełm, opadały na jej złocistą główkę. Potem ostrożnie położył



ją na kolanach matki i ruszył dalej w swą drogę przez wielką salę, stąpając dumnie obok patrzących nań z zachwytem strażników i sług. I żadne przecucie nie tknęło mego serca, że widzę go ostatni raz na tym świecie. Boże, jakże okrutne ciosy ranią serca nasze na ziemi.

Doktorzy radzili nam wyjechać z dzieckiem, aby poprawiło się i wzmocniło. Według ich zdania potrzebne było dla dziewczynki morskie powietrze. Wzięliśmy ze sobą wodza i świętę, złożoną z dwustu sześćdziesięciu osób i pojechaliśmy. W dwa tygodnie dotarliśmy do brzegów Francji, gdzie doktor poradził nam zamieszkać. Jeden z mniejszych króli zaofiarował nam swój pałac i przyjął bardzo gościnnie.

Gdyby miał on wszystko to, czego brakowało, urządzilibyśmy się znakomicie. Ale i tak było nam bardzo dobrze w jego starym zamku, zwłaszcza z wszystkimi rzeczami, które przywieźliśmy na statku.

Wkońcu miesiąca wysłałem okręt do domu po zapasy i wieści. Między innymi chciałem dowiedzieć się o rezultacie pewnej próby, którą uczyniłem przed odjazdem.

Zamiarem moim było zastąpienie turniejów czemś, co ostatecznie wypleniłoby wśród rycerstwa jego krwiożerczość, a jednocześnie zaspokoilo potrzebę współzawodnictwa. Wybrałem z pośród rycerzy kilkunastu do specjalnego treningu i właśnie teraz mieli oni wystąpić na publicznych zawodach.

Próba ta polegała na grze w piłkę. Aby usunąć ze sprawy wszelkie niesnaski i wyłączyć wszelką krytykę, wyznaczyłem do partji po dziewięciu ludzi, wybranych nie wedle ich zdolności, lecz według tytułów, tak że w partjach byli sami koronowani rycerze. Jeśli chodzi o towar tego rodzaju, było tego poddostatkiem w otoczeniu Artura. Nie można było rzucić kamieniem w jakimkolwiek kierunku, by nie trafić jakiegoś króla.

Oczywiście, nie było mowy, abym mógł zmusić tych ludzi do zdjęcia zbroi. Nie zdejmowali ich nawet wtedy, kiedy się myli.

Zgodzili się jedynie, dla odróżnienia partyj, nosić kolczugi z różnej stali. Tak więc jedna partja przybrana była w kolczugi ulsterowskie, druga zaś w gładkie kolczugi z mojej nowej bessemerowskiej stali. Ćwiczenia ich na boisku stanowiły tak fantastyczne widowisko, jakiego nigdy nie widziałem. Gdy piłka leciała w stronę któregoś z nich, nie odskakiwał on nabok, lecz oczekiwał skutku. Jeśli trafiała bessemerowca, z hukiem odbijała się, odlatując nieraz na sto pięćdziesiąt jardów. A gdy któryś z nich uciekał i rzucał się na ziemię, by uniknąć uderzenia, wyglądał jak pancernik wchodzący do portu. Spoczątku wyznaczyłem na sędziego człowieka nieutytułowanego, ale trzeba było go zmienić. Nie mógł nigdy wszystkich zadowolić. Jego pierwsza decyzja była ostatnią.

Rozbijali mu głowę na części swemi berłami i przyjaciele odnosili do domu sztywnego trupa. Trzeba było wyznaczyć na sędziego którąś ze znanych osobistości. Oto nazwiska członków obu partyj.

#### *Bessemerowcy.*

Królowie: Artur, Lot Lochiana, Północnej Galji, Marcil, Małej Brytanji, Labour, Pelham-Listinghouse, Bagelemagus, Tollem - La - Feint.

#### *Ulsterczycy.*

Cesarz Lucjusz. Królowie: Lagris, Marchoń Irlandzki, Morganor, Marek Kornwalijski, Nentres Harlota, Mediadas Liona, Lacka. Sułtan Syryjski.

Sędzia — Klarens.

Pierwsze publiczne zawody ściągnęły pięćdziesiąt tysięcy widzów. Dla takiej uciechy warto byłoby objechać kulę ziemską. Zdawało się, że wszystko sprzyja, pogoda była przecudna i cała natura przyodziała się w swą nową wiosenną szatę.

### XXIII. INTERDYKT.

Moja uwaga została zwrócona nagle w inną stronę. Nasze dziecko znów zaczynało chorować i my musieliśmy siedzieć obok niego, gdyż sytuacja stała się bardzo poważna. Nie mogliśmy pozwolić, aby ktokolwiek wyręczał nas w tych sprawach i tak spędzaliśmy na czuwaniu dzień za dniem.

Ach Sandy! Jak cudowne było twe serce, proste, szczerze i dobre! Jako żona i matka była bez zarzutu, a jednak ożeniłem się z nią z przyczyn całkiem osobliwych. Jak wiadomo, miała być moją własnością dopóty, dokąd którykolwiek z rycerzy nie odbierze mi jej na polu walki. Jeździła za mną po całej Brytanji, odnalazła mnie pod szubienicą pod murami Londynu i zajęła przy mnie swe dawne miejsce, łagodnie lecz zdecydowanie, jakby czując swe niezaprzeczone prawo. Byłem anglikiem późniejszej epoki i sądziłem, że tego rodzaju stosunek prędzej czy później mógł mi skompromitować. Wtedy, gdy się najmniej tego spodziewała, przerwałem swe rozmyślenia, oświadczając się jej. To była, oczywiście, loterja — lecz po 12 miesiącach ubóstwiałem ją i między nami zapanowała tak doskonała przyjaźń, jak tylko to można sobie wyobrazić! Wiele mówi się pochlebnie o przyjaźni ludzi tej samej płci. Lecz czyż można porównać najserdeczniej-

szą z nich z przyjaźnią pomiędzy mężem i żoną, gdzie pobudki z najwyższych płynące źródeł dwojga różnych istnień łączą się w jednolitą, nienaruszalną harmonję? Nie może istnieć wogóle porównanie — jedna przyjaźń jest ziemska, druga — niebieska. Przez długi czas wracałem we śnie do dziewiętnastego stulecia i mój nieukojony i wzburzony duch przysłuchiwał się dźwiękom i wymawiał słowa, zawierające pojęcia z zagasłego już dla mnie świata. Często Sandy słyszała okrzyki, wyrywające mi się z ust podczas snu, lub natarczywe żądania zapomocą użycia tych samych wyrazów, które słyszała ode mnie również na jawie i które szczególnie zapamiętała. Z właściwą sobie szlachetnością postanowiła nazwać nasze dziecko imieniem mej utraconej ukochanej. Byłem wzruszony do łez i jednocześnie omal nie runąłem jak długi, gdy ze swym czarującym uśmiechem oznajmiła, jaką szykuje mi niespodziankę.

— Imię, które było ci tak drogie, pozostanie dla nas święte i stanie się muzyką dla naszych uszu. Jestem pewna, że będziesz zachwycony i ucałujesz mnie, gdy się dowiesz, jakie imię postanowiłam nadać naszemu dziecięciu.

Oczywiście, nie mogłem sobie wyobrazić tego imienia i byłem na tyle okrutny, że pozbawiłem ją przyjemności uczynienia mi niespodzianki we właściwym czasie.

— Znam twe dobre serduszko, najdroższa! Ale chciałbym, żeby twe słodkie usteczka wymówiły teraz to drogie imię, które ma się stać zczasem muzyką dla naszych uszu.

Zmieszana i promieniejąca szczęściem niedowypowiedzenia wyrzekła:

— Hallo! — Centrala!

Nie zaśmiałem się, oczywiście, byłem wzruszony i wdzięczny, lecz wysiłek, by nie wybuchnąć śmiechem,

był tak potężny, że omal mi nie skreśliło kręgow. I co najmniej przez tydzień jeszcze potem słyszałem, jak trzeszczały mi kości przy każdym poruszeniu. Nigdy nie poznała swego błędu. Spoczątku słysząc ode mnie to umówione pozdrowienie telefoniczne, dziwiła się, a nawet złościła. Potem przyszło jej do głowy, że wymyśliłem ten wyraz, by uczcić i uwiecznić pamięć ukochanej, i że to było jej pieszczotliwą nazwą. Oczywiście, nie było to prawdą — ale naogół mniej więcej się z nią pokrywało.

Dwa i pół tygodnia spędziliśmy przy kołysce naszego maleństwa i nie wiedzieliśmy o niczem, co się działo poza ścianami dzieciennego pokoju. Ostatecznie byliśmy wynagrodzeni — nasz skarb zaczął powoli powracać do zdrowia. Cośmy wtedy czuli? Radość? Wdzięczność?

Wszystkie słowa były zbyt ubogie, by wyrazić to uczucie. Każdy je zna, kto wyrwał swe dziecko z krajny cieni i widział, jak życie doń powraca i uśmiech radości zaigra na ukochanym buziaku.

W jednej chwili powróciliśmy do rzeczywistości. I natychmiast przeczytaliśmy nawzajem w naszych oczach jedną i tę samą myśl: dwa tygodnie minęły od odejścia naszego okrętu, dotąd jednak nie powrócił!

W następnej chwili już byłem przy swej eskorcie. Z ich twarzy widziałem, jak straszliwy przeżywali niepokój. W ich otoczeniu ruszyłem na wzgórze, by rozejrzeć się po morzu. Gdzie się podział mój olbrzymi handlowy okręt, olśniewający pięknem swych białych, rozwinętych żagli?

Znikł. Ani żagla, ani dymu, od końca do końca jak okiem sięgnąć — pustka i martwota bezludna w tem królestwie wiatru i ruchu. Szybko zawróciłem, nic nikomu nie mówiąc. Opowiedziałem tylko Sandy o smutnej nowinie. Nie przychodziło nam do głowy żadne wytłu-

maczenie. Napad? Trzęsienie ziemi? Zaraza? Być może cała ludność została starta z oblicza ziemi? Błądzenie poomacku było bezcelowe. Obowiązek nakazywał mi jechać tam natychmiast. Król użył mi swego małego okręciku, nie przekraczającego wymiarami drobnego rzecznego stateczka.

Trzeba było się rozstać — cóż za okrutny los! Zasypywałem moje maleństwo pożegnalnymi pocałunkami, a ono śmiało się do mnie, bełkocąc coś w swej osobliwej gwarze. Po raz pierwszy od dwóch tygodni — omal nie powarjowaliśmy z radości! Kochany dzieciny bełkot, którego nie zamieni mi najpiękniejsza muzyka. Jakżeż smutno, gdy ustępuje miejsca prawidłowej wymowie... Ale nie wywołujmy lepiej miłych, subtelnych wizyj minionego.

Następnego ranka zbliżyłem się do Anglii. W porcie Dawida były statki, ale ogołocone z żagli, i nigdzie nie ujrzałbyś znaku życia. Była to niedziela. Nawet w Canterbury ulice świeciły pustką, a co najdziwniejsze nigdzie ani jednego księdza i do uszu nie wpadł mi dźwięk dzwonów. Wszędzie panowała śmiertelna ponurość. Nie mogłem tego pojąć. Wreszcie w odległym zakątku tego miasta ujrzałem pogrzeb — rodzina i kilku przyjaciół towarzyszyło trumnie — bez księdza. Pogrzeb — bez dzwonów i świec. W pobliżu znajdował się kościół, zamknięty. Przeszli obok niego, płacząc, ale nikt tam nie wszedł. Spojrzałem na dzwonnice: dzwon był owinięty krepą, a serce jego — odjęte. Teraz zrozumiałem! Wiedziałem teraz, jaka to straszliwa klęska spadła na Anglię. Inwazja? Inwazja to frazka w porównaniu z tem. To był INTERDYKT!

Więcej nie pytałem, gdyż to było zbyteczne. Kościół karał. Jedyne, co mi pozostawało — przebrać się i mieć się na ostrożności. Jeden ze służących dał mi

swą odzież, a gdy już byliśmy za miastem, odprawiłem go i poszedłem samotnie, obawiając się pozostawać w czyjekolwiek towarzystwie.

Smutna podróż. Wszędy beznadziejne milczenie. Nawet w Londynie. Handel ustał. Ludzie nie rozmawiali i nie śmiali się, nie chodzili grupami a nawet we dwójkę. Błąkali się samotnie z pochylonymi głowami i spazmem przerażenia w sercach.

Na wieży dały się zauważyć ślady wojennych operacji. O tak, wiele się tu stało beze mnie. Ma się rozumieć, zdażałem ku pociągowi do Camelot. Pociąg! Na stacji było pusto i ciemno, jak w podziemiach. Poszedłem pieszo. Podróż do Camelot była powtórzeniem tego, com już widział. Poniedziałek i wtorek niczem się nie różni od niedzieli. Przybyłem późną nocą. Zamiast jaskrawo oświetlonego elektrycznością miasta — podobnego najbardziej do odpoczywającego słońca — zobaczyłem złowrogą czarną plamę na ciemnym tle, jeśli można tak się wyrazić, gdyż było ciemnością bardziej zgęszczoną od otaczającego mroku. Poczułem w tem coś jakby symbol — znak, że kościół położył władczą rękę na wszystkich mych poczynaniach, zgasił światło mej cudownej cywilizacji, zarówno jak i światła Camelot'u. Nie było życia w ciemnych ulicach. Szedłem dalej z ciężkim sercem. Olbrzymi zamek, niby czarne widmo, piętrzył się na wzgórzu, nie wyblęśla ani jedna iskierka. Most był spuszczonej, potężne wrota rozwarły na oścież. Wszedłem bez hasła i słyszałem tylko stuk własnych kroków pośród mogilnej ciszy rozległego podwórca.

## XXIV. WOJNA.

Odnalazłem Klarensa samotnego w mieszkaniu, pogrążonego w melancholji. Zamiast elektryczności przyświecał sobie starożytną lampką z olejem i gałganikiem. Wszystkie zasłony były zapuszczone; przebywał w ponurym półmroku. Podskoczył radośnie ku mnie.

— Och, zobaczyć znów żywego człowieka, przecież to warte milion milrejsów!

Poznał mnie natychmiast mimo przebrania. Łatwo odgadnąć, że ta okoliczność cokolwiek mnie zaniepokoiła.

— Powiedz-że mi jaknajrychlej, co było przyczyną tego nieszczęścia! — spytałem. — Jak to się stało?

— Ba, żeby nie królowa, być może, tak prędkoby się to nie stało, chociaż, ostatecznie, musiało się tak skończyć. Potroszkę z pańskiego powodu, ale, na szczęście, stało się to właściwie z powodu królowej.

— I sir Lancelota?

— Istotnie.

— Opowiedz mi szczegółowo.

— Znana jest panu zapewne historja, że tylko jedna para oczu w królestwie nie patrzyła krzywo na królową i sir Lancelota.

— No tak, Króla Artura.



— ...i tylko jedno serce nie dopuszczało podejrzeń.

— Tak, serce króla, serce niezdolne do złej myśli o przyjacielu.

— Właśnie. Zapewne król żyłby nadal w szczęściu i ufności do końca swych dni, gdyby nie jeden z pańskich wynalazków, mianowicie — komitet giełdowy. Po pańskim wyjeździe wszyscy byli gotowi i dojrżeli do rozpoczęcia giełdowych operacyj. Że tu mieściła się beczka z prochem, to dla każdego zrozumiałe. Papiery były wyznaczone do sprzedania z rabatem.

Cóż tedy czyni sir Lancelot...

— Wiem. Skwapliwie cofnął omal wszystkie za bezcen. Ponadto, nabył dwa razy tyle, ile przeznaczano się do wykupienia. Chciał je już wtedy przedkładać, gdy wyjeżdżałem.

— Nawet przedłożył. Nasi chłopaczkowie nie byli w stanie ich zapłacić. Wtedy ich przycisnął. Śmieli się w kułak, radzi z kawału, że udało im się sprzedać mu papiery po 15 i 16, gdy nie warte były dziesięciu. Ale nie śmieli się już tak wesoło, gdy Niepokonany zmusił ich do kompromisu na 283.

— To ci dopiero kawał!

— Obdarł ich żywcem ze skóry, a całe królestwo przyklasnęło, mówiąc, że dostali za swoje. Pośród obdartych znajdowali się kuzynkowie królewscy, sir Agrevan i sir Mordread. Tu mamy koniec aktu pierwszego. Akt drugi, scena pierwsza — pokój w Carlyle Castle, dokąd dwór zjechał po parodniowym polowaniu. Osoby — cały wylęg królewskich kuzynków. Mordread i Agrevan proponują zwrócenie uwagi pocziwego Artura na Guniwerę i sir Lancelota.

Panowie Jawen, Garet i Harris postanowili nie mieszać się do tej sprawy. Rozgorzał głośny, zacięty spór, podczas którego wszedł król. Tableau. Z rozporządzenia królewskiego Lancelotowi zastawiono pułapkę,

w którą wpadł. Ma się rozumieć, dla świadków — panów Agrevana, Mordreada i całego tuzina pomniejszych rycerzy — sprawa nie skończyła się dobrze, bowiem Lancelot wszystkich ich, prócz Mordreada, pozabijał. Ale nie wpłynęło to oczywiście na załagodzenie jego zatargu z królem.

— O, kochanie, w tym wypadku mogło być tylko jedno zakończenie, właśnie je spostrzegam: wojna; właśnie wszyscy rycerze tego kraju dzielą się na dwie partje, jedna po stronie królewskiej, druga — przy Lancelocie.

— Rzeczywiście, tak się też stało. Król posłał królową na stos, proponując jej, by oczyściła się przez ogień. Lancelot ze swymi rycerzami uwolnił ją i podczas tego starcia zabito wielu pańskich i moich przyjaciół, w każdym razie, najczcigodniejszych, jakich kraj posiadał. Naprzykład, sir Belias le-Argulus, sir Geglarides, sir Greeflet, sir Braudiles i Agloval...

— Och, rozdzierasz mi serce!

— Ha! To jeszcze nie wszyscy. Sir Tor i sir Hautez... trzej bracia sir Raynolda, sir Priamus, sir Kay-Cudzoziemiec oraz Driant i... któż, myślałby pan jeszcze?

— Kończże pan prędzej!

— Sir Harris, sir Harret, obaj!

— Niemożliwe! Ich przywiązanie do Lancelota było wszak niezniszczalne!

— Tu zaszła zwykła, fatalna pomyłka. Byli tylko widzami, nie mieli nawet zbroi, przyglądali się jedynie, jak karzą królową. W swej zacięłości sir Lancelot rzucał się na każdego, kto mu się podwinął pod rękę. Zabił ich, nie wiedząc nawet, kim byli. Oto prosię migawkowe zdjęcie, które zrobił jeden z naszych chłopców w transie utarczki. Wystawiono je na sprzedaż na wszystkich kolejowych stacjach. Tu są osoby z najbliż-

szego otoczenia królowej — sir Lancelot z podniesionym mieczem i sir Harret, wyziewający ducha. Może pan tu dostrzec poprzez kłęby dymu cierpienie na obliczu królowej. Wspaniały batalistyczny obraz!

— Istotnie, musimy go zachować. Bezcenny historyczny dokument. Proszę, mów dalej.

— Więc, ostatecznie zaczęła się prawdziwa wojna. Lancelot cofnął się ku swemu miastu i zatarasował się w zamku, gromadząc rycerzy. Król wyruszył przeciw niemu z olbrzymiem wojskiem, zawiązała parodniowa bitwa, w której rezultacie ogromna przestrzeń została zasłana trupami i odłamkami żelaza. Wtedy kościół jakoś załagodził spór między Arturem, Lancelotem i królową oraz pomiędzy walczącymi stronami z wyjątkiem sir Jawena, bardzo rozgoryczonego z powodu śmierci swych braci, Harreta i Harrisa, i nie godzącego się na zawieszenie broni. Powiadomił Lancelota, że odstępuje ze swoimi, a tymczasem począł szykować się do ataku. Jawen poszedł za nim ze swoimi i namówił Artura, by się przyłączył. Artur pozostawił rządy królestwem aż do czasu swego powrotu w rękach Mordreada...

— A! Poznaję króla z jego mądrych czynów!

— Właśnie. Sir Mordread natychmiast przystąpił do utrwalenia swej władzy — na zawsze. Pierwszym krokiem była decyzja poślubienia Guniwery, lecz królowa uciekła i zamknęła się w wieży londyńskiej. Mordread zaatakował wieżę. Biskup Canterbury gruchnął weń interdyktem. Król wrócił. Mordread rozproszył jego wojska przy Dovorze, pod Canterbury i raz jeszcze przy Bergamie, poczem zainicjowano rokowania pokojowe. Zważ pan: Mordread otrzymał Kornwalję i Cant jeszcze za życia króla — i całe królestwo po jego śmierci.

— Wszystko tak, jak myślałem! Moje marzenie o republice niestety pozostanie marzeniem...

— O, tak. Obydwie armje zajęły pozycje w pobliżu Salisbury. Jawen... jego głowa znajduje się obecnie w Dovorze, poległ tam na polu walki. Zjawił się królowi we śnie, a raczej uczynił to jego duch, i ostrzegł, by za wszelką cenę wystrzegał się starcia w ciągu miesiąca. Lecz bitwa została podjęta z najgłupszego powodu. Artur zarządził alarm i atak, jeśli tylko podniesie się w górę choć jeden miecz w trakcie pertraktacyj z Mordreadem, gdyż mu nie dowierzał.

Mordread wydał analogiczny rozkaz swemu wojsku. Nagle żmija ugryzła pewnego rycerza w piętę. Przełknięony zapomniał o rozkazie, dobył miecza i przepołowił żmiję. Chwila nie minęła, jak obydwie wojska zwały się we wściekłej walce. Rzeź trwała przez cały dzień. Wtedy król... Ale muszę panu pokazać teraz pewną nowość, którą zapoczątkowaliśmy tu bez pana w naszym piśmie.

— Serjo? Cóż to?

— Korespondencja wojenna.

— Cóż, wspaniale!

— Tak, pismo alarmowało naprawo i nalewo, że interdzykt nie jest w stanie wywrzeć należytego wpływu, i wogóle znaczenie jego niknie, a wojna obarcza kraj. Miałem korespondentów w obydwu armjach. Zakończę swą opowieść o walce słowami jednego z moich zuchów:

„Wtedy król rozejrzał się dokoła i zobaczył, że ze wszystkich jego sławnych rycerzy i z całego wojska pozostali tylko dwaj: sir Łukasz de-Boutler i brat jego Bediwer, przyczem obaj są ciężko ranni. Wielki Boże, rzecze król, co się stało ze wszystkimi mymi szlachetnymi rycerzami? Gorze mi, żem doczekał tak bolesnego dnia! Albowiem — rzecze Artur — nadszedł i na mnie kres. Azaliż Bóg nie da mi spotkać się ze zdrajcą Mordreadem, sprawcą złego? Aż oto dojrzał król Mor-

dreada, stojącego z mieczem pośród stosu trupów. — Daj mi mój miecz! — rzecze król do Łukasza — ujrzałem bo zdrajcę Mordreada, winnego nieszczęściu. — Sir, daj mu spokój — powiada sir Łukasz — wszak on również jest nieszczęśliwy. Minie ten złowrogi dzień, będziesz, królu, pomszczony sprawiedliwie! Wspomnij na swój sen i na to, co rzekł ci duch Jawena tej nocy. Bóg w swem miłosierdziu zachował cię przy życiu, oszczędź tedy ty Mordreada. Dzięki miłosierdziu Bożemu, bądź co bądź bitwę wygraliśmy: nas trzech zostało przy życiu, a sir Mordread jeno sam jeden. Gdy mu je, królu, darujesz, złowrogi dzień odejdzie do wieczności.

„Kwestja życia i śmierci jest mi obojętna“, — odrzecz król, — teraz widzę tylko jego jednego, i nie ujdzie mych rąk; dogodniejszej sytuacji nie przewidyję“.

„Niech Bóg cię ma w swej pieczy“ — odpowiada Bediwer. Wtedy król porwał oburącz za miecz i pognał ku Mordreadowi z okrzykiem: ha, zdrajco, wybiła twa godzina! — A skoro usłyszał głos króla, sir Mordread porwał również za miecz i runął na spotkanie. Tedy Artur zadał cios panu Mordreadowi poniżej tarczy, przebijając go nawylot. Czując się rannym śmiertelnie, sir Mordread zebrał resztki sił i skoczył z mieczem na Artura. Trzymając oburącz miecz, ciał swego brata Artura przez hełm i czaszkę i padł martwy na ziemię. A za nim padł również szlachetny Artur“.

— Świetna próbka wojennej korespondencji. Klarens, jesteś wspaniałym dziennikarzem. Ale cóż z królem? Przyszedł do siebie?

— Nie, zmarło się biedakowi.

Byłem wstrząśnięty, sądziłem, iż żadna rana nie może być dlań śmiertelna.

— A królowa?

— Została mniszka w Almesbury.  
— Ileż zmian w tak krótkim przeciągu czasu! To niepojęte! Cóż teraz począć?

— Właśnie chcę rzec.

— No?

— Rzucić wszystko na los szczęścia i powstać przeciwko nim.

— Co masz na myśli?

— Jest pan wraz z Mordreadem na indeksie i pozostanie pan do końca życia. Kościół posiada wykaz wszystkich rycerzy, którzy ocaleli, i skoro się dowie, że pan tu przebywa, będziemy mieli sporo kłopotu z ratowaniem pana.

— Ależ! Przy naszych wojennych środkach, z naszym zdyscyplinowaniem wojskiem...

— Bez przesady, sir. Nie wiem, czy doliczylibyśmy się do 60 ludzi.

— Co mówisz! A nasze szkoły, kolegja, warsztaty, nasze...

— Skoro tylko nadejdą rycerze, wszystkie te instytucje staną pustkami, a nasi uczniowie i majstrzy przejdą na stronę wroga. Myśli pan, że pan wygnał za bobon z tych ludzi wychowaniem?

— Oczywiście, byłem o tem przekonany.

— To niech się pan rozczaruje. Wszystko, co nowonabyte, trzymało się ich tylko do czasu interdyktu. Od interdyktu zaś są twardzi za ledwie po wierzchu, w sercach ich strach panuje. Gdy zobaczą wojsko, mąski opadną.

— Smutne nowiny. To znaczy, żeśmy zginęli. Obróć przeciwko nam naszą własną naukę.

— Tego nie uczynią.

— A to dlaczego?

— Ponieważ ja i garść oddanych mi ludzi przedsięwzięliśmy po temu odpowiednie środki. Opowiem,

co uczyniłem, i co mnie do tego skłoniło. Jesteś pan sprytny, wszakże kościół sprytniejszy od pana. Przecież to on usunął pana stąd przy pomocy swych sług—lekarzy.

— Klarensiel!

— Tak, tak! Teraz już wiem. Cała obsługa na okręcie, zarówno jak i pańska eskorta, to byli nastani ludzie.

— O, Boże!

— Najistotniejsza prawda! Spoczątku również o niczem nie wiedziałem, i dopiero pod koniec zorjentowałem się. Czyż pan dawał zlecenie kapitanowi, by mi zakomunikował, że otrzymawszy zapasy, wyjedzie pan do Kadyksu na zamieszkanie?

— Kadyks? W myślach go nie miałem!

— ...Żeś pan postanowił mieszkać w Kadyksie i pływać po okolicznych morzach dla poprawienia zdrowia swej rodziny? Czy pan dawał takie zlecenie?

— Oczywiście, nie. Napisałbym, a nie przekazywał ustnie.

— Sądzę. Od tego czasu powziąłem wątpliwości. Gdy okręt wyruszył spowrotem, wsadziłem tam swego szpiega. W ciągu dwóch tygodni oczekiwałem wiadomości, wreszcie postanowiłem wysłać statek do Kadyksu. Ale tu powstała przeszkoda, która mi uniemożliwiła wykonanie zamiaru.

— Jakaż?

— Cała nasza flota nieoczekiwanie i w tajemniczy sposób zniknęła. Również tajemniczo i nagle przestały funkcjonować telegraf i telefony, obsługa rozbiegła się, druty zostały przecięte. Ostatecznie — kościół wypędził nawet elektryczne oświetlenie! Nie było czasu do stracenia. Pańskiemu życiu niebezpieczeństwo nie zagrażało — nikt w całym królestwie poza Merlinem nie ważyłby się podnieść ręki na takiego przeciwnika,

jak pan, nie mając za sobą co najmniej tysiąca ludzi. Pozostawało mi tedy dbać jedynie o to, by wszystko było w porządku na pański przyjazd. O siebie też się nie lękałem; nikt nie ważyłby się tknąć również kogokolwiek z pańskich przyjaciół. I oto, com przedsięwziął. Ze wszystkich warsztatów i szkół pańskich począłem wybierać młodzieńców, za których ręczyłbym głową, zebrałem ich wszystkich razem i dałem instrukcje. Jest ich 52, w wieku od 14 do 17 lat.

— Pocoś pan wybrał takich wyrostków?

— Dlatego, że inni narodzili się w atmosferze zabobonu i wrócili doń. Wszedł w ich krew i kości. Łudziliśmy się, żeśmy ich przekształcili, zresztą oni również tak myśleli, ale interdzykt obudził ich, jak odgłos grzmotu. Pokazał, czem są w istocie, ale co do chłopców, to co innego. Wybrałem takich, którzy wychowywali się u nas niemniej niż 7 do 10 lat i nie stykali się z uci-skim kościoła. Przedewszystkiem zaś odwiedziłem cichcem groty Merlina — nie małą, a wielką...

— Tę, gdzieśmy założyli nasz główny skład elektrycznych maszyn, gdy projektowałem jeszcze jeden cud?

— Właśnie, właśnie. Ponieważ zaś nie zachodziła potrzeba cudu, sądziłem, że byłoby niezgorzej, abym wykorzystał te maszyny i aparaty. Chodziło mi o przygotowanie groty do obłożenia.

— Dobra myśl, Klarensie. Całkiem dobra!

— I ja tak myślę. Czterech chłopców umieściłem tam jako straż wewnętrzną, by nikt ich nie dojrzał. Niech tylko kto spróbuje dostać się do groty, już my go powitamy! Dalej, znalazłem ukryte druty, łączące pańską sypialnię ze składami dynamitu pod naszymi młynami, warsztatami, magazynami i t. d. W nocy przecięliśmy druty i połączyliśmy je z grota. Nikt prócz pana i mnie nie podejrzewa, dokąd prowadzą ich drugie



końce. Ma się rozumieć, przeciągnęliśmy je pod ziemią i cała praca została wykonana w ciągu 2 godzin. Teraz nie pozostawimy już naszej twierdzy w wypadku konieczności zniszczenia naszej cywilizacji.

— Krok prawidłowy i całkiem naturalny. Nieunikniona konsekwencja wojny przy zmienionych warunkach. Ba! Ależ jakie zmiany zaszły! Spodziewaliśmy się osaczenia w pałacu, prędzej czy później, ale... No, mów dalej.

— Ponadto zrobiliśmy ogrodzenie z drutów.

— Z drutów?

— No, tak. Pan sam podsunął nam tę myśl przed dwoma-trzema laty.

— O, pamiętam! To było wtedy, kiedy kościół po raz pierwszy spróbował pokazać nam swoją moc, ale postanowił odłożyć do bardziej sprzyjających warunków. Dobrze, więc jakie urządził to ogrodzenie z drutu?

— Przeciągnąłem 12 nadzwyczaj mocnych drutów — niezolowanych — od wielkiej dynamo do groty. Maszyna tylko o dwóch szczotkach, dodatniej i ujemnej.

— W porządku.

— Druty idą od groty i tworzą pod ziemią krąg o średnicy 100 jardów. Powstało w ten sposób 12 przegródek na dystansie stu stóp, i wszystkie ich zakończenia zdążają również ku grocie.

— Pięknie! Cóż dalej?

— Ogrodzenie umocniają ciężkie dębowe pale, trzy stopy od siebie odległe, wbite na głębokość 5 stóp

— To mocno.

— Druty nie mają uziemienia — poza grota. Idą od końca dodatniego, połączenie z ziemią odbywa się poprzez ujemny. Drugie końce drutów wracają do groty i każdy niewidocznie łączy się z ziemią.

— O nie, to do niczego!

— Dlaczego?

— Niewygodne, marnuje się siła. Uziemienie jest niepotrzebne, z wyjątkiem połączenia z ujemną szczotką. Drugie zakończenie każdego drutu winno być doprowadzone spowrotem do groty i bezpośrednio umocowane bez połączenia z ziemią. Teraz uważaj, jaka stąd ekonomja. Kawalerja cwałuje na zagrodzenie. Nie tracisz energii, ponieważ posiadasz tylko jedno uziemienie, dopóki konie nie dotkną drutów. Z chwilą zaś dotknięcia powstaje połączenie z ujemną szczotką przez ziemię i powoduje śmierć. Jasne. Nie zużyłeś energii, dokąd nie zachodziła potrzeba, twój piorun zawsze jest wpgotowiu, jak nabój w lufie, ale to cię nic nie kosztuje, zanim się do tego nikt nie dotknie. — O, tak— połączenie przez ziemię, jedyna rzecz!

— Racja. Przeoczyłem to. To jest nie tylko oszczędniejsze, ale i skuteczniejsze, gdyż w razie porwania się lub poplątania drutu nie powoduje szkód.

— A nie, tembardziej, skoro posiadamy akumulator w grocie i możemy każdy złamany drut wyłączyć. Więc, proszę dalej. Armaty?

— Zrobione. W centrum wewnętrznego koła, na placu, zgrupowałem baterję z 30 dział z odpowiednim zapasem ładunków.

— Pięknie. Gdy rycerze papiści zawitają, spotka ich niezła orkiestra. Wierzchołki przepaści nad grota?

— Przeprowadziłem tamtędy druciane zagrodzenie i ustawiłem jedno działo. Nie przedostaną się przez żadną skałę.

— Dobrze. A szklane cylindry i dynamitowe torpedy?

— Też są. Posiadam piękny ogródek, jakiego nikt jeszcze nie hodował. Jest to pas 40-tostopowej szerokości, otaczający zewnętrzne oparkanie; dystans między nim a zagrodzeniem wynosi około 100 jardów, sta-

nowiac coś w rodzaju neutralnego pasa. Niema ani jednego jarda ziemi, nie zawierającego torpedy. Przykryliśmy je warstwą piasku. Ogródek posiada całkiem niewinny wygląd, ale niechby kto spróbował nań wstąpić!

— Czyś wypróbował torpedy?

— Chciałem to uczynić, ale...

— Co za „ale”? To bardzo nieogłędnie z twojej strony, żeś nie wypróbował.

— Wiem, ale w gruncie rzeczy one są wypróbowane. Położyłem parę na wielkiej drodze opodal naszej linji, no i te zostały wypróbowane.

— To co innego. Któż tego dokonał?

— Komitet kościelny. Szedł do nas, by zażądać podporządkowania się. Jak pan widzi, szli nie po to, aby wypróbować torpedy, ale uczynili to przypadkiem.

— No i co? Złożyli raport komitetowi?

— A tak. Pan już mógł o tem słyszeć.

— Jednogłośnie?

— Coś w tym rodzaju. Po tym wypadku ustawiłem znaki celem uprzedzenia następnych komitetów, i od tej pory już nie mieliśmy wtargnięcia na nasze tereny.

— Masę rzeczy załatwiłeś, Klarence, i wszystko bardzo dobrze.

— Mieliśmy dość po temu czasu i nie śpieszyliśmy się.

Pomilczeliśmy chwilę w zamyśleniu. Ale moja myśl poczęła pracować; rzekłem:

— Teraz wszystko gotowe. Wszystko przewidziane w szczegółach. Wiem teraz co czynić.

— Wiem również: siedzieć i czekać.

— O nie, sir. Wstać i działać.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Właśnie to, co powiedziałem, Wolę ofensywę od defensywy. Słowem: podnosimy się i czynimy — w tem nasza gra.

— Jeden na sto, że pan ma rację. Ale od czego zaczniemy?

— Ogłosimy republikę.

— O, istotnie, to wpłynie na tok spraw przyspieszająco.

— Zmuszę ich do brzęczenia; zapewniam cię. Jutro w południe Anglja będzie gniazdem szerszeni, o ile ręka kościoła nie utraciła jeszcze swej sprawności. A wiemy, że nie utraciła. Teraz pisz, co podyktuję:

## PROKLAMACJA

Czyni się wszystkim wiadomem!

Ponieważ król umarł i nie zostawił następcy, obowiązkiem moim staje się dalsze sprawowanie władzy wykonawczej, na mnie przelanej, dopóki nie zostanie utworzony rząd, który władzę obejmie. Monarchja upadła i przestała istnieć. Skutkiem tego cała potęga polityczna wraca do swego pierwotnego źródła, którem jest naród. Wraz z monarchją padły również związane z nią instytucje: niema więc już szlachty, niema klasy uprzywilejowanej, ani urzędowego kościoła. Wszyscy ludzie stają się zupełnie równi, są na jednym i tym samym poziomie, a pod względem wyznania — całkiem wolni. W ten sposób zostaje ogłoszona Republika, jako naturalny stan narodu w chwili gdy przestała istnieć władza. Obowiązkiem narodu brytyjskiego jest zebrać się natychmiast, w drodze głosowania wybrać swych przedstawicieli i powierzyć im władzę.

Podpisałem „Mistrz” i sygnowałem „z pieczary Merlina”.

— Poco im mamy mówić, gdzie jesteśmy — rzekł Klarens — i w ten sposób wskazywać im drogę?

— Właśnie zależy mi na tem. My występujemy z proklamacją, a teraz na nich kolej wystąpić.

— Zarządź natychmiast wydrukowanie jej i rozesłanie. Prócz tego każ osiodłać parę dobrych koni, byśmy mogli odjechać do pieczary Merlina.

— Za 10 minut wszystko będzie gotowe. Jakiż cyklon rozpęta się jutro, gdy ten świstek papieru zacznie działać!

Kochany, stary zamek! Byłoby dziwne, gdybyśmy spowrotem... Ale lepiej o tem nie myśleć.

## XXV. BITWA W PIASKOWYM PASIE

W grocie Merlina — Klarens, ja i 52 młodzieńców, sam kwiat wytwornej, wykształconej i doskonałej brytyjskiej młodzieży.

O świecie rozesłałem do wszystkich naszych pokazowych instytucyj rozkaz zaprzestania pracy i usunięcia ludzi na odpowiedni dystans na wypadek wybuchu, nie określając wszakże jego terminu. Ci ludzie znali mnie i ufali memu słowu. Opuszczą niewątpliwie zakłady, zanim spadnie włos z ich głowy; będę miał dość czasu na spowodowanie wybuchu. Za żadną cenę tam nie powrócą, wiedząc, że eksplozja jest nieunikniona.

Odczekaliśmy tydzień. Nie nudziłem się, gdyż przez cały czas pisałem. W ciągu pierwszych trzech dni opracowywałem dziennik, przerabiając go na niemiejsze opowiadanie; pozostało zaledwie dopisać dwa—trzy rozdziały dla zamknięcia całości. Resztę dni spędziłem na pisaniu listów do żony.

Przyzwyczailem się pisywać codziennie do Sandy, gdyśmy bywali rozłączeni; teraz czyniłem to samo, aczkolwiek nie miałem pojęcia, co mam uczynić z napisanymi listami. Lecz listy skracają mi czas, czyniąc go znośniejszym.

Wydawało mi się, że pisząc, rozmawiam z Sandy. „O, Sandy! Gdybyś była tu wraz z Hallo-Centralą za-

miast waszych fotografii, jakby nam było dobrze!" I marzyłem, że moje maństwo coś mi bełkoce w odpowiedzi, wpakowawszy rączyny do buzi, leżąc nawznak na kolanach matki.

Miałem, oczywiście, szpiegów, którzy co noc dostarczali mi wiadomości. Z każdym ich raportem widziało się coraz wyraźniej, że sprawa wygląda poważnie. Wojska gromadziły się. Wszystkimi drogami i ścieżkami Anglii kłusowali rycerze w towarzystwie duchowieństwa, błogosławiącego ten swoisty krzyżowy pochód w obronie kościoła. Cała szlachta i arystokracja — więksi i pomniejsi zdążali w tymże kierunku. Słowem, wszystko odbywało się tak, jak należało przewidywać.

Tylko osadziwszy jak należało tych panów mogliśmy się spodziewać, że lud wystąpi i upomni się o swoje prawo do republiki.

Ach, jakimżeż byłem osłem! Już ku końcowi tygodnia uświadomiłem sobie, że ludowa masa podniosła głowę i witała republikę tylko przez jeden dzień, a później wszystko się skończyło. Kościół, arystokracja i szlachta ściągnęli brwi... Tego starczyło, by lud stał się zpowrotem stadem owiec!!! Od tego momentu też owce poczęły zbierać się w stada, to znaczy w wojska i nastawiać swych bezwartościowych karków i wartościowej wełny za „dobrą sprawę”. O, tak: nawet ci, którzy doniedawna byli niewolnikami, szli umierać za „dobrą sprawę”, wychwalali ją, modlili się za nią, z uczuciem siapali nosami i ślinili się, jak i całe prostactwo. Trzeba dopiero wyobrazić sobie te ludzkie odpadki, by zrozumieć ich ubóstwo myśli.

Teraz już wszyscy krzyczeli „precz z republiką!", a nie były to poszczególne głosy. Cała Anglja wyruszyła przeciw nam! Doprawdy, to już przekraczało moje przewidywania.

W ciasnym i stałym kontakcie miałem możność obserwowania moich 52 chłopaczków. Obserwowałem ich twarze, ich poruszanie się, ich nieświadome gesty. Wszystko razem składało się na wymowę — wymowę, która może mimowoli nas zdradzić, gdy najbardziej ukrywamy swe najtajniejsze myśli. Znałem tę myśl, panującą coraz wszechwładniej nad ich mózgami i sercami: „Cała Anglja przeciwko nam!”.

Z coraz większą uwagą wsłuchiwali się w te słowa, wchodzili w ich treść, z każdym powtórzeniem coraz ostrzej realizowali je w swej wyobraźni, tak iż wkońcu opanowały nawet ich sny. W niespokojnych snach straszliwe duchy krążyły nad nimi, jęcząc w uszy: „Cała Anglja... Cała Anglja!” Wiedziałem, co z tego wyniknie, zgadywałem, iż wewnętrzny głos dojdzie do takiego natężenia, iż przedrze się nawewnątrz. A więc — musiałem się przygotować do odpowiedzi — odpowiedzi zimnej i przemyślanej.

Przewidziałem trafnie, ta chwila przyszła. Musieli się wypowiedzieć. Biedaczyska! Byli tak bladzi, zmaltretowani. Spoczątku ich przedstawiciel zaledwie odnajdywał słowa, z trudem opanowując głos. Wreszcie zebrał się w sobie i oto co powiedział w swej nowej angielszczyźnie, której nauczył się w naszych szkołach:

— Spróbowaliśmy zapomnieć, żeśmy dziećmi Anglji. Spróbowaliśmy rozum postawić ponad uczuciem, obowiązek ponad przywiązanie. Rozum wytrzymuje próbę, lecz protestuje serce. Dokąd chodziło o arystokrację, o szlachtę, o jakieś 25 do 30 tysięcy rycerzy, niedobitków z ostatniej wojny, zgadzaliśmy się z panem w zupełności i nie gnębiło nas zwątpienie. Każdy z 52 młodzieńców, którzy stoją obecnie przed panem, mówił sobie: „to ich rzecz, sami podpisali na się wyrok”. Ale niech pan spojrzy, jak rzecz przedstawia się obec-



nie — „cała Anglja przeciw nam!“. O, panie, pomyśl, zastanów się! Lud ten, to nasz lud, kość naszej kości, my kochamy go — nie zmuszaj nas, panie, byśmy zniszczyli nasz naród!

Oto miałem dowód, jak niezbędne jest przewidywanie zdarzeń i przygotowanie się do nich. Gdybym nie przemyślał odpowiedzi, byłbym teraz zaskoczony. Ale nie byłbym przygotowany, gdybym nie wiedział zawczasu co mi powiedzą.

— Przyjaciele! — odrzekłem, — wasze uczucia są dla mnie zrozumiałe, uważam je za rzetelne, godne szacunku. Jesteście anglikami i pozostaniecie anglikami, nie plamiąc tego imienia. Uspokójcie się i nie trapcie się wątpliwościami. Rozejrzyjcie się jeno — dlaczego cała Anglja przeciw nam i kto ją prowadzi? Kto z reguły jest na przedzie? Odpowiedzcie.

— Rycerze pancerni.

— Istotnie. Jest ich trzydzieści tysięcy, zajmą całe akry przestrzeni. Teraz zważcie: nikt poza nimi nie wstąpi na piaskowy pas! A gdy wstąpią, stanie się coś takiego, po czym już żaden zwykły śmiertelnik, z tych co idą w tyle, nie zgodzi się pójść za ich przykładem. Teraz postanawiajcie, i niech tak będzie, jak postanowicie. Czy, waszem zdaniem, winniśmy ustąpić z placu, unikając bitwy?

— Nie!!! — wykrzyknięto jednogłośnie i szczerze.

— A może... może lękacie się tych trzydziestu tysięcy rycerzy?

Żart wywołał głośny wybuch śmiechu, niepokój i wątpliwości moich chłopaczków znikły i rozeszli się wesoło na swe posterunki. Śliczni to byli chłopcy, urodziwi, jak dziewczęta.

Teraz byłem gotów na przyjęcie wroga. Niech nastąpi doniosły dzień, czuwamy!

Wielki dzień nastał. O świcie zameldował mi war-

townik, że na widnokregu pokazała się czarna masa i dolatują jakieś dźwięki, zapewne wojskowej muzyki. Ponieważ śniadanie było gotowe, zjedliśmy je tymczasem, poczem wygłosiłem do chłopców krótkie przemówienie i posłałem niewielki oddział pod dowództwem Klarena, by obsadzić baterje.

Słońce rychło weszło i zalało przestrzeń ostremi promieniami. Zobaczyliśmy olbrzymie wojsko, rozkołysane jak fale i nasuwające się na nas. Coraz bardziej zbliżało się i coraz groźniej wyglądało. Rzeczywiście była tu cała Anglja. Dostrzegliśmy wkrótce wielką ilość rozwiniętych proporczyków, a słońce rozjarzyło całe morze zbroi. Piękny był to widok. Nigdy nie myślałem, że sądzone mi będzie rozbić takie wojsko.

Teraz już mogliśmy zaobserwować szczegóły. Cała awangarda, na wiele akrów przestrzeni, składała się z jeźdźców - rycerzy w hełmach z pióropuszcami i w lśniącej zbroi. Nagle zaryczały trąby. Powolny marsz przeszedł w galop i wtedy... Strach było patrzeć! Potężna fala jeźdźców zbliżała się do piaszczyste go pasa, — zatrzymałem oddech. Bliżej, bliżej, — pas zielonego torfu przed pasem żółtym zwężał się gwałtownie, stał się wreszcie wąziutką wstążką przed końskimi kopytami — wreszcie znikł pod nogami. Wielki Boże! Cała awangarda wyleciała w powietrze z hukiem i traskiem, stając się nieforemną masą odłamków, resztek i strzępów... a nad ziemią uniósł się gęsty słup dymu, kryjąc przed oczami resztę wojska.

Teraz nastał czas na następne posunięcie w planie kampanji! Dotknąłem guziczka wyłączników i zmusiłem kości Anglji do opuszczenia kręgosłupa!

W wybuchu następnym ginęły nasze szkoły, warsztaty — wszystkie nasze kulturalne urządzenia. Wyleciały w powietrze i znikły tam na zawsze. Szkoda...

ale to był mus. Nie mogliśmy zezwolić, by nasz wróg zwrócił je przeciwko nam.

Nastąpił najnudniejszy kwadrans, wydłużający się w wieczność. Czekaliśmy, milcząc, zamknięci naszemi kręgami drutów i jednolitą ścianą dymu za niemi. Nie mogliśmy nic dojrzeć ponad nią lub przez nią. Ale oto stopniowo poczęło się przerzedzać, ziemia wystąpiła wyraźniej i mogliśmy zaspokoić naszą ciekawość. Jak okiem sięgnąć, ani żywego ducha! Wystąpiła natomiast pewna okoliczność, będąca nam na rękę. Oto wybuch uczynił głęboką wyrwę, ponad sto stóp szeroką, obwałowaną po bokach. Trudno byłoby określić, ile tu zginęło ludzkich istnień. Oczywiście nie mogliśmy zliczyć zabitych, gdyż ich wcale tu nie było; była jakaś bezkształtna masa, złożona ze strzępów ludzkiego mięsa z dodatkiem żelaznych guzików.

A więc, nie dojrzelśmy żywego ducha, lecz niewątpliwie byli gdzieś ranni z ostatnich rzędów. Wśród pozostałych przy życiu mogły zapanować choroby, jak zwykle bywa po tego rodzaju katastrofach. Ale trudno było oczekiwać nadejścia rezerw. To była wszak ostatnia stawka angielskiego rycerstwa po niedawno zakończonej niszczycielskiej wojnie. Wobec powyższego byłem przekonany, że jeśli nawet wystąpi przeciwko nam jeszcze raz wojsko, to będzie ono bardzo nieliczne. Wydałem następującą dziękczynną odezwę do mojej armji:

„Żołnierze, bojownicy o ludzką wolność i równość! Wasz wódz was pozdrawia! Pełen pychy i pewny siebie wróg wystąpił przeciwko wam. Byliście przygotowani. Starcie było krótkie. Po waszej stronie chwała. To sławne zwycięstwo, jedyne w historii, zostało wywalczone bez strat z naszej strony. Dokąd planety nie zaprzestaną obiegu w swych orbitach, bitwa w piaskowym pasie nie zniknie w ludzkiej pamięci. Patron”.

Odczytałem to z namaszczeniem i oklaski, któremi mnie nagrodzono, ucieszyły mnie wielce. Zakończyłem swe przemówienie następującym okrzykiem:

— Wojna z angielskim narodem, jako narodem, skończona. Naród opuścił pole walki. Zanim go nakłonią do powrotu, wojna całkiem się skończy. Cała wojna wyczerpała się w pierwszym starciu, krótkim, najkrótszym w historii, ale też najbardziej niszczycielskiem. Zakończyliśmy rozrachunki z narodem, lecz nie zniszczyliśmy jeszcze wszystkich rycerzy. Rycerze Anglii mogą być zabici, ale nie mogą być zwyciężeni. Wiemy, co należy czynić. Dokąd chociażby jeden z nich pozostaje przy życiu, nasze dzieło nieskończone, wojna nierozegrana. Zabijemy ich wszystkich. (Głośne, długotrwałe oklaski).

Ustawiłem na wielkim wale, uformowanym przez wybuch, posterunek złożony z dwóch chłopców, aby mnie powiadomili o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Później posłałem jednego inżyniera i 40 ludzi na południe od naszych fortyfikacyj, by skierowali znajdujący się tam górski strumień do wewnątrz fortyfikacyj. Oddział ten podzielił się na dwie kompanje, zmieniające się przy pracy co 2 godziny. W ciągu 2 godzin zadanie było wykonane. W nocy odwołałem posterunki. Obserwator od strony północnej doniósł, że na dalekim dystansie widać obóz, ale można go dostrzec dopiero przez lunetę. Zameldował również, że kilku rycerzy skierowało się w naszą stronę i napędzili bydło na nasze linje, ale sami nie zbliżyli się. Było właśnie tak, jak się spodziewałem: badali nasze zamiary, chcąc się dowiedzieć, czy zamierzamy nadal stosować czerwony terror. Możliwe, że w nocy będą śmielsi. Z całą wyrazistością przejrzałem ich plan, gdyż trzymałbym się takiego samego, będąc na ich miejscu, na ich stopniu cywilizacji.

Gdy podzieliłem się przypuszczeniami z Klarenssem, przytaknął mi:

— Sądzę, że ma pan rację — powiedział, — jasne, że muszą jeszcze raz spróbować.

— No tak, odrzekłem, ale jeśli to uczynią, zginą.

— Oczywiście.

— Nie będą mieli żadnego wyjścia.

— Bezwątpienia.

— To potworne, Klarensie. Żal mi ich.

Ta myśl tak mnie męczyła, że nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Wreszcie, by uspokoić swe sumienie, postanowiłem posłać do nich parlamentarjusza z następującą odezwą:

„Do szanownego przywódcy rycerzy - powstańców Anglii.

Walczyście napróżno. Znamy wasze siły — o ile je tak jeszcze można nazwać. Wiemy, że najwyżej możecie nam przeciwstawić jakieś 25 tysięcy rycerzy. Nie możecie w żadnym wypadku liczyć na powodzenie. Zważcie: jesteście wspaniale uzbrojeni i umocnieni, jest nas 54. 54, ale jakich? Czy ludzi? O nie, rozumów, najdoskonalszych z całego świata, — to potęga, której nie złamie siła fizyczna. Jak nie złamają morskie fale granitowych brzegów Anglii. Bądźcież rozsądni. Ofiarujemy wam wasze życia. W imię waszych rodzin nie odrzucajcie naszego daru. Dajemy wam ostatnią deskę ratunku, skorzystajcie z niej. Złóżcie broń, uznajcie republikę i wszystko będzie zapomniane”.

Podpisane: „Patron”.

Odczytałem to Klarensowi i powiedziałem, że zamierzam zaproponować zawieszenie broni. Zaśmiał się swym sarkastycznym śmiechem i rzekł:

— Zdaje mi się, że pan nigdy nie będzie w stanie pojąć, czym jest nasza szlachta. Natomiast obecnie musimy oszczędzać nasz czas i spokój. Niech pan sobie

wyobrazili, że ja jestem wodzem rycerzy. A teraz pan przychodzi do mnie z białą chorągwią i przynosi mi odezwę, czekając na odpowiedź.

Udałem, że przychodzę do obozu wrogów i odczytuję wodzowi odezwę. Miał odpowiedzi Klarens wyrwał z moich rąk papier, pogardliwie się uśmiechnął i powiedział z niesłychaną pychą:

— Wypatroszcie to zwierzę i odnieście je jego panu, szubrawcowi. Innej odpowiedzi nie będzie!

Cóż znaczy teoria wobec rzeczywistości, a rzeczywistość właśnie tak wyglądała. Nie można było wątpić, że sprawa przybrałaby taki obrót, jak przedstawił Klarens. Przedarłem papier i odrzuciłem raz na zawsze sentymenty.

Tedy do dzieła. Wypróbowałem elektryczną sygnalizację od placu do grotty: przekonałem się, że działa sprawnie. Później uczyniłem to samo z sygnalizacją, otaczającą ogrodzenie — tu mogłem puszczać lub zamykać prąd dowolnie w każdym ogrodzeniu. Trzech najpewniejszych chłopców postawiłem na straży połączenia ze strumieniem. Mieli się zmieniać co dwie godziny przez całą noc, na wypadek gdybym był zmuszony do dania sygnału — trzy pistoletowe strzały raz po raz. Nocnych posterunków pozatem nie ustawiałem: plac pozostawał pusty. Prócz tego zarządziłem, by w pieczarze panowała cisza, a elektryczne światła przyćmiono.

Wybrawszy dogodny moment wyłączyłem prąd z całej sieci; przedostałem się do wału przez rów. Wdrapawszy się na wierzchołek, ułożyłem się na świeżej ziemi i zacząłem obserwować. Ale było za ciemno, by cokolwiek dojrzeć. Panowała martwa cisza nie przerywana niczem poza zwykłymi nocnymi odgłosami. Szczebotały nocne ptaki, brzęczały i ówierkały świerszcze, szczerkały gdzieś daleko psy, leniwo i łagodnie poryki-

wało bydło. Lecz wszystkie te głosy nie przerywały cichy, raczej jeszcze bardziej ją pogłębiały. Przystałem się wpatrywać, ponieważ noc stawała się coraz ciemniejsza, ale zato począłem tem bardziej nasłuchiwać, by ułoić każdy podejrzany brzęk, który, mojem zdaniem, winien był nastąpić.

Czekałem dość długo. Wreszcie ucho me ułoiło cichy, ledwo uchwytny dźwięk — jakby głuchy metaliczny dzwon. Nastawiłem ucha i wstrzymałem oddech, pojmując, że właśnie to oznacza, czego się spodziewałem. Dźwięk narastał i zbliżał się od północnej strony. Teraz słyszałem go na jednym poziomie ze mną — tupot końskich kopyt i brzęk broni na przeciwnym wale. Tupot jakby setki nóg, a może i więcej. W następnej chwili wydało mi się, że dostrzegam szereg czarnych punktów na skraju wału. Co to? Ludzkie głowy? Nie mogłem określić. Możliwe, że było to co innego, gdyż niepodobna dowierzać rozigranej wyobraźni. W każdym razie musiało się rozstrzygnąć lada chwila. Słyszałem jak metalowy dźwięk schodził do rowu. Zapewne chcieli nam urządzić małą niespodziankę, winniśmy oczekiwać wizyty o świcie, a może nawet wcześniej. Skierowałem się ku domowi, gdyż już dość zobaczyłem. Wróciwszy na plac, dałem sygnał włączenia prądu do dwóch wewnętrznych zagrożeń. W pieczarze zastałem wszystkich pogrążonych we śnie prócz warty. Zbudziłem Klarensa i powiedziałem mu, że rów jest pełen ludzi i że zapewne rycerze całą masą ruszyli na nas.

Mojem zdaniem, winniśmy się spodziewać, że rów będzie obsadzony o świcie tysięcznym wojskiem, które zaatakuje wał.

Klarens odrzekł:

— Będą musieli posłać naprzód jednego lub dwóch wywiadowców, zanim jeszcze ciemno. Dlaczego byśmy nie mieli puścić prądu na zewnętrzne druty?

— Jużem to uczynił, Klarensie. Czyżby pan sądził, że nie znam się na gościnności?

— Skądże! Wiem, że ma pan dobre serce. Muszę zresztą iść.

— Na spotkanie kochanych gości? Chodźmy razem.

Przeszliśmy między dwiema baterjami dział i położyliśmy się pomiędzy ogrodzeniem. Po słabem świetle w grotcie noc wydała nam się jeszcze ciemniejsza. Po chwili poszczególne przedmioty poczęły występować z mroku i dojrzeliliśmy pale ogrodzenia. Wtem Klarens zapytał:

— Co to jest?

— A co?

— Jakiś przedmiot, tam!

— Co za przedmiot, gdzie?

— Tam, w pobliżu pana, coś niewyraźnego, ciemnego... przy drugim ogrodzeniu.

Obaj przypatrywaliśmy się chwilę.

— Może to człowiek, Klarensie?

— Nie, sądzę, że nie. Patrz pan, ależ rzeczywiście człowiek! Oparł się o pall!

— Zdaje się, że tak. Chodźmy zobaczyć.

Poczołgaliśmy się na kolanach i zobaczyliśmy człowieka. Duża postać stała, oparłszy obie ręce o drut. Dochodził swąd przypieczonego mięsa. Biedaczysko zmarł, nawet nie wiedząc, że został rażony prądem. Stał jak posąg, dokoła niego panował spokój, tylko poranny wiaterek kołysał jego pióropuszem. Zajrzeliśmy pod przyłbicę, lecz nie mogliśmy rozróżnić rysów twarzy.

Usłyszeliśmy zbliżający się stłumiony szmer. Przypadliśmy do ziemi tam, gdzie staliśmy. Skradał się ku nam drugi rycerz. Widzieliśmy jak macał ręką górny przewód, nachylił się i dotknął dolnego. Następnie



zbliżył się do stojącego rycerza i stanął, dostrzegłszy go. Postać chwilę, zdziwiony widocznie jego sztywną postawą, poczem powiedział: „Czyś się zdrzemnął, sir Mar...” — dotknął ręką ramienia trupa i natychmiast z cichym jękiem padł martwy. Trup, zmarły przyjaciel, zabił go. W tem było coś potwornego!

Te pierwsze jaskółki przylatywały w naszych oczach jedna po drugiej w ciągu pół godziny. Rycerze dobywali miecza nie dlatego by pomścić krzywdę; czynili to z przyzwyczajenia i dotykali niemi drutów. Teraz widzieliśmy błyski niebieskich iskier to tu, to tam, podczas gdy samych rycerzy nie było widać. Wiedzieliśmy, skąd powstawały te iskry: nieborak dotykał mieczem drutu i padał martwy. Przerwy w ciszy były teraz bardzo krótkie — ciszę przerywał głuchy łoskot padającego ciała, zakutego w pancerz. Robiło to złowrogię wrażenie.

Postanowiliśmy przejść pomiędzy wewnętrznem odrutowaniem, licząc na to, że pociemku wezmą nas raczej za swoich, niż za wrogów. W ten sposób nie ryzykowaliśmy, iż wpadniemy na miecze, któremi byli tamci uzbrojeni. Dziwny to był spacer. Wszędzie za drugim ogrodzeniem leżały trupy. Zaledwie się ich widziało, ale tych, co stali przy drucie jak posągi naliczyliśmy piętnastu.

Prąd nasz był tem bardziej przerażający, że zabił zanim który zdążył krzyknąć. Niebawem usłyszeliśmy nowy, miarowy szelest i domyśliliśmy się, że wojsko postanowiło urządzić nam niespodziankę. Szepnąłem do Klarensa, by zbudził całą naszą armję i uprzedził ją, by w zupełnej ciszy czekała na dalsze rozkazy. Wkrótce wrócił i obaj patrzyliśmy dalej, jak nasz pion czynił spustoszenie wśród zbliżającego się wojska.

Trudno było zaobserwować szczegóły, widzieliśmy jeno, jak czarna masa gromadziła się przy dru-

giem zagroźeniu. Powstawał wał trupów. Obóz nasz był otoczony swego rodzaju bastjonem trupów! Jeszcze jedna okoliczność pogłębiała grozę: wszystko odbywało się bezgłośnie. Nie dochodziły rozmowy, wojenne okrzyki, jęki. Mając zamiar napaść zniemacka, wojsko posuwało się możliwie bez hałasu. I każdorazowo, gdy pierwszy szereg dochodził do drutów i chciał wydać wojenny okrzyk, padał bez głosu, nie ostrzegając następnych. Przepuściłem prąd nieznacznie przez trzecią linję a następnie przez czwartą i piątą. Widziałem, że nadszedł czas wykonać swój zamiar — całe wojsko winno było dostać się do pułapki. Dotknąłem elektrycznego guzika i zapaliłem 50 elektrycznych słońc nad przepaścią. Boże, cóż za widok! Byliśmy oddzieleni trzema ścianami martwych ciał. Wszystkie inne zagroźenia były przepełnione żywymi ludźmi, którzy, skradając się, szukali drogi między drutami. Nieoczekiwane światło sparaliżowało ich ruchy, zdrętwieli. Z tej chwili musiałem skorzystać, by nie tracić szans, gdyż w następnej mogli się opamiętać i, z bojowym okrzykiem rzucić się na nas i zerwać wszystkie druty. Lecz straszna chwila odebrała im wszelkie szanse na ratunek. Puściłem prąd przez wszystkie linje i całe wojsko padło trupem na miejscu. Nikt nigdy nie słyszał podobnego jęku! To był śmiertelny krzyk 11 tysięcy ludzi, który napełnił noc grozą rozpacz.

Dość było jednego spojrzenia, by się zorientować, że reszta wrogów — około 10 tysięcy — wspinała się na wał, szykując się do ataku. A więc byli w naszym ręku wszyscy! Nastąpił ostatni akt tragedji. Dałem trzy strzały z pistoletu. Sygnał oznaczał: puścić wodę!

Rozległ się szalony ryk i szum. W ciągu jednej minuty górski potok napełnił rów, stając się rzeką stu-stopowej szerokości i 25-stopowej głębi.

— Do broni! Ognia!

Trzyście dział niosło śmierć skazanym 10 tysiącom. Stali jakąś minutę, wytrzymując ogień, poczem rozsypali się jak słoma na wicherze. Czwarta część wojska nie dopadła nawet wału, 3/4 dopadło, by utonąć. W ciągu trzech minut resztki armji uległy zniszczeniu, kampanja była zakończona i 54 ludzi panowało nad Anglją! Dwaście pięć tysięcy trupów spoczywało dokoła nas.

Lecz jakże zmienne bywają losy! W krótkim czasie — powiedzmy, w ciągu godziny — stało się coś, z mej własnej winy, co... Ale nie mam odwagi o tem pisać. Niech skończą się tu moje notatki.

## XXVI. POST-SCRIPTUM KLARENSEA

A więc ja, Klarens, muszę dokończyć za niego. Zaproponował mi, byśmy poszli odnaleźć rannych i okazać im pomoc. Protestowałem usilnie, twierdząc, że jest ich tak wielu, że nie będziemy w stanie okazać pomocy, skądinąd zaś należy mieć się przed nimi na baczności. Ale Patron, skoro już raz postanowił, nie dał się przekonać. Wyłączyliśmy prąd ze wszystkich linii, wzięliśmy ze sobą strażników i poczęliśmy zwieźdzać pole walki. Pierwszy ranny, którego jęk usłyszeliśmy, siedział, opierając się plecami o zabitego. Patron pochylił się nad nim i przemówił, tamten zaś, poznawszy go, dobył sztyletu i uderzył. Był to rycerz, sir Meligrauks, gdyż poznałem go po zdjęciu zeń hełmu. No, ten już więcej nie wzywał pomocy!

Odnieśliśmy Patrona do pieczary i opiekowaliśmy się nim, zanim jego rana, zresztą niegroźna, nie zagoiła się. Dopomagał nam Merlin, aczkolwiek, ma się rozumieć, o tem nie wiedzieliśmy. Przebrał się za kobietę i wyglądał na pocziwą wieśniaczkę. Dzięki gładko golonej, smągłej twarzy nie budził podejrzeń, gdy zjawił się, jako kobieta, proponując ugotowanie obiadu. Twierdziła, że wszyscy mężczyźni zaciągnęli się do nowo formującego się wojska, a ona sama nie ma co jeść. Patron w tym czasie już przyszedł do siebie i był

zajęty wykańczaniem swego dzieła. Byliśmy radzi, że ta kobieta weźmie na siebie część pracy domowej: wpadliśmy w potrzask, któryśmy sami na siebie zstawili, pozostając na miejscu, narażaliśmy się na niebezpieczeństwo zarazy, mogącej powstać z powodu rozkładających się trupów, wychodząc zaś stąd, mogliśmy wpaść w ręce wrogów. Zwyciężyliśmy — i byliśmy zwyciężeni jednocześnie. Patron zdawał sobie z tego sprawę, jak i my wszyscy.

Gdybyśmy poszli do tych nowo formujących się wojsk, może udałoby się nam nawiązać z nimi przyjazny kontakt. Ale Patron nie mógł chodzić, ja również nie byłem w stanie, gdyż pierwszy zapadłem na zdrowiu z powodu straszego smrodu rozkładających się ciał. Zachorowywali stopniowo inni. Jutro... przyszło wreszcie to „jutro”, a z niem nasz kres.

Około północy obudziłem się i zobaczyłem, że wiedźma czyni rękami jakieś dziwne passy nad obliczem Patrona. Nie rozumiałem, co to ma oznaczać. Wszyscy prócz warty przy dynamo spali. Kobieta zaprzestała swych dziwacznych ruchów i na palcach posunęła się ku drzwiom. Krzyknąłem:

— Stać! Coś tam robiła?

Zatrzymała się i rzekła ze złośliwym śmiechem:

— Zwyciężyliście i jesteście zwyciężeni! Tamci wszyscy zginęli, lecz i wy zginiecie wszyscy. Umrzecie tu prócz niego. On śpi i będzie spał przez 13 wieków. Jestem Merlin!

Atak złośliwego, szaleńczego chichotu wstrząsnął nim tak, iż kołysząc się jak pijany, złapał za jeden z drutów, by nie upaść. Jego usta pozostały otwarte, jakby wciąż jeszcze śmiał się. Sądzę, że ten skamieniały śmiech pozostanie na jego twarzy, zanim ciało nie rozsypie się w proch.

Patron wciąż nie poruszał się, leżał jak kamień. Jeżeli dziś się nie obudzi, będziemy już wiedzieli, co oznacza ten sen. Jego ciało odnieśliśmy w najdalszy kąt pieczary, gdzie nikt go nie znajdzie i nie pohańbi.

Co się zaś tyczy reszty, tośmy postanowili, że ten, kto pozostanie przy życiu, zapisze wszystko, co się stanie i schowa rękopis wraz z ciałem Patrona, naszego dobrego wodza, jako jego własność za życia i po śmierci.

XXVII. KONIEC RĘKOPISU  
OSTATECZNE POSTSCRIPTUM M. T.

Był już świt, gdy odłożyłem rękopis. Deszcz ustał milknąca burza wzdychała i pochlipywała na pożegnanie.

Wszedłem do pokoju nieznanego i nadśluchiwałem przy półotwartych drzwiach. Usłyszałem jego głos i zastukałem. Odpowiedzi nie było, lecz głos wciąż się rozlegał. Zajrzałem. Leżał nawznak w łóżku i rzucał oderwane słowa, pełne ognia, wskazując na coś rękami, któremi gorączkowo gestykulował. Cicho nazwałem go po imieniu, pochylając się nad nim. Bredził w dalszym ciągu, przerywając bełkot okrzykami. Wymówiłem jeszcze parę słów, by zwrócić na siebie jego uwagę. Jego szklany wzrok ożywił się na moment błyskiem miłości, radości, powitania...

— O, Sandy, nareszcie przychodzisz! Tak długo na ciebie czekałem! Siądź przy mnie... Nie porzucaj mnie już, Sandy, nigdy nie porzucaj. Gdzie twoja ręka? Daj mi ją, będę ją trzymał... O, tak, teraz już dobrze, spokoj... Teraz już jestem szczęśliwy... jesteśmy znów szczęśliwi, nieprawdaż Sandy? Jesteś we mgle, niby widmo, obłok, ale niemniej jesteś tu, i jestem zadowo-

lony. Trzymam twoją rękę, nie odbieraj mi jej... choć nie na długo pozostaw mi ją, nie żądam na długo. A gdzie nasze dziecko? Hallo - Centrala?... Ona nie odpowiada. Śpi, być może? Gdy się zbudzi, przynies mi ją, daj dotknąć się jej rączki, twarzyczki, włosów... Pozwól mi się z nią pożegnać... Sandy! Jesteś tu, sądziłem, żeś odeszła. Czy długo byłem chory? Zapewne długo, wydaje mi się, że parę miesięcy. A jakie miałem sny! Taki ciężki, męczący koszmar! I wszystko było takie podobne do rzeczywistości. Oczywiście, to było bredzenie, ale takie realne. Widziałem, że król umarł, żeś ty pozostała w Galji, nie mając stamtąd powrócić, i że była rewolucja.

W fantastycznej malignie widziałem, jak Klarens wraz z garścią moich uczniów ze szkół wojennych walczy z całym angielskim rycerstwem i niszczy je. Ale nie to było najdziwniejsze. Zdawało mi się, że jestem człowiekiem z innego, bardzo oddalonego stulecia, które jeszcze nie egzystuje, i że ono jest właśnie moją rzeczywistością, a nie cała reszta. O tak: wydawało mi się, że przeleciałem w ten dawno miniony wiek, a potem znów powróciłem do swego i że znów zobaczyłem Anglię po 13 stuleciach, a między mną i tobą powstała przepaść! Pomędzy mną a moim domem i moimi przyjaciółmi. Pomędzy mną i wszystkim, co mi było drogie i dla czego warto było żyć! To było okropne! Okropniejsze od wszystkiego, co tylko można sobie wyobrazić, Sandy! Ach, nie odchodź ode mnie Sandy... nie pozwól mi wracać do moich snów... Śmierć jest niczem wobec tego, niech przyjdzie, byle tylko bez tych snów, bez tych mąk... nie zniosę więcej, Sandy!!

Bełkotał jeszcze chwil parę bez sensu. Wtem zaczął skwapliwie zbierać dokoła siebie kołdrę i przebie-



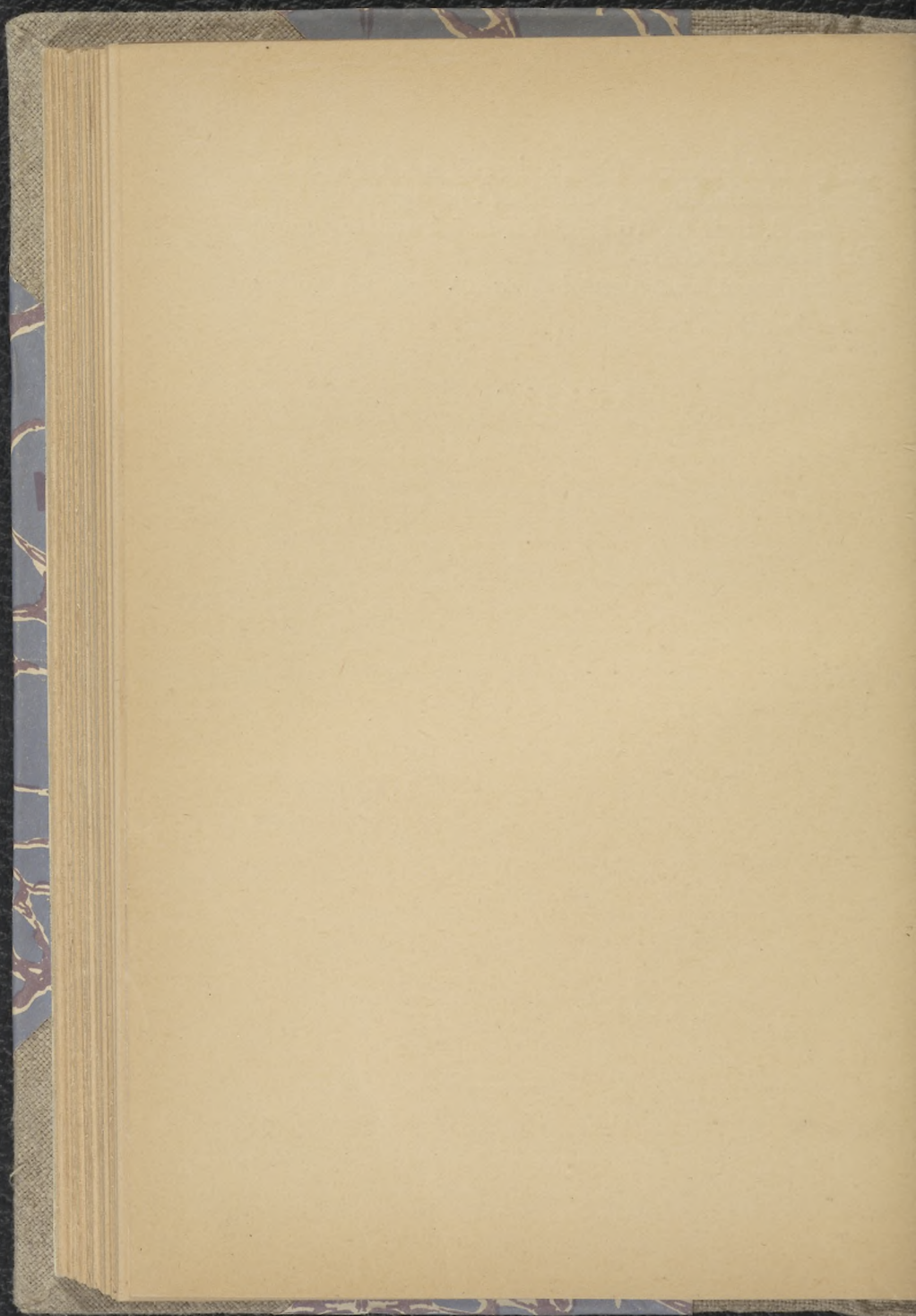
rać po niej palcami. Wywnioskowałem z tego, że koniec jest bliski. Nagle podniósł się i powiedział:

— A trąba?... To król! Prędszej, zwodzony most! Do fortów! Obrócić...

Szykował swój ostatni „efekt”, ale już go nie mógł wykończyć.

KONIEC





B E R T R A N D R U S S E L L

## WIEK DZIEWIĘTNASTY

Bertrand Russell jako historyk!

Dla szerokiego ogółu praca historyczna — to mniej lub bardziej suchy zbiór faktów i dokumentów, dotyczących czasów dawno minionych. Bodaj pierwszy — Russell pokazał swoją ostatnią książką, że historia ludzi i idei może być napisana w sposób żywy, dowcipny i przemawiający do umysłu i wyobraźni inteligentnego czytelnika mocniej, niż beletrystyczna fantazja.

Książka zaczyna się od przedstawienia atmosfery Kongresu Wiedeńskiego w r. 1815 i świetnej charakterystyki głównych aktorów epoki — cara Aleksandra I, Talleyranda, Metternicha. Potem przenosi nas do Anglii połowy XIX w.: salony arystokracji, rewolucja przemysłowa, ruch robotniczy i zdobywanie władzy przez demokrację — a na tem tle powolny i głęboki przewrót pojęć i pochód nowych idei: liberalizm Benthama Milla, Ricarda, początki socjalizmu — Robert Owen i wreszcie — Karol Marks. Część następna — to Ameryka Północna: epopea kolonizacji Zachodu, geneza i historia partii Republikańskiej i Demokratycznej, Wojna Domowa — i rozkwit potęgi monopolistycznego kapitału. Potem wracamy do Europy, gdzie poznajemy postać Bismarcka, rozwój potęgi Niemiec i nacjonalizmu niemieckiego, z którego wyrósł hitleryzm, wreszcie — imperjalizm kolonialny wielkich mocarstw w przededniu Wielkiej Wojny. Wszystko to przytem opowiedziane tak, że nie tylko słyszymy teorie i hasła, ale i widzimy wypowiedających ich ludzi, a w walce kierunków i prądów nie prześcajemy ani na chwilę odczuwać ich wyraźnej, nieraz przejmującej aktualności.

### POPRIEDNIO UKAZAŁY SIĘ:

Małżeństwo i moralność  
Przebudowa społeczna  
Podbój szczęścia  
Perspektywy przemysłowej cywilizacji  
Wychowanie a ustrój społeczny  
Drogi do wolności.

### W DRUKU:

Pochwała próżniactwa  
Szkice sceptyczne

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

A N D R É M A L R A U X

## CZASY POGARDY

André Malraux, młody autor „Kuszenia Zachodu” — „Zdobyców” — „Drogi królewskiej”, ostatnią swą powieścią „Dola człowieka” (*La condition humaine*) uwieńczoną **Prix Concourt** 1933, zajął stanowisko czołowego prozaika młodej Francji.

Obecnie Malraux zbogacił swój dorobek ideowo - artystycznym utworem niewielkim rozmiarami, lecz potężnym i w nasileniu treści moralno-uczuciowej i w formie dającej arcydzieło plastyki i ekspresji stylu, doprowadzonego do ascezy słowa.

Opowiadanie „Czasy pogardy” (*Les temps du mépris*) w niezapomnianych obrazach łączących przebogatą wizyjność z najostrejszym realizmem, maluje przeżycia więźnia hitlerowskich obozów koncentracyjnych, oparte w osnowie faktów na dokumentach.

Martyrologja przeciwników obecnego régime'u w Niemczech posłużyła autorowi do wzniesienia się na wyżynę **hymnu na cześć Braterstwa** — bo ta, chwilami djaboliczna w swej grozie opowieść jest tem właśnie w swej najgłębszej intuicji i w potędze artystycznego wyrazu.

**Poprzednio ukazały się:**

„ZDOBYWCY“

„DOLA CZŁOWIECZA“

**TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“**

M I K O Ł A J B I E R D I A J E W

## NOWE ŚREDNIOWIECZE

Jeden z najgłębszych myślicieli rosyjskich, przedstawiciel współczesnej filozofii religijnej daje w „Nowem Średniowieczu“ wnikliwą syntezę dzisiejszej rzeczywistości.

Wpływ tej książki na Zachodzie był ogromny. U wielu myślicieli niemieckich, francuskich, szwajcarskich spotykamy się z ujęciem podstawowych zagadnień filozoficznych, opartem o przesłanki Bierdiajewa.

„Nowe Średniowiecze“ jest próbą uchwycenia przemian społeczno - kulturalnych niejako u źródła i wytłumaczenia ich zgodnie z założeniami filozofji idealistycznej, mającej wyraźny systemat prawd i szukającej związku człowieka z Bogiem.

„Nowe Średniowiecze“ jest książką niezwykłą. Łączy się tam trafność sądu z głębią spojrzenia filozoficznego, z intuicją wynikłą na tle ogromnej kultury i erudycji autora.

Możnaby o książce tej powiedzieć krótko: mądra, ciekawa i ultra nowoczesna.

Sposób patrzenia Bierdiajewa jest nawskroś nowoczesny, wybiega on daleko poza chwilę dzisiejszą i tkwi w dalekiej przyszłości której sens umie uchwycić swoją genialną wyobraźnią filozoficzną.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“

FRANCISZEK KAFKA

# PROCES

Wyjątkowa pozycja Kafki w współczesnej literaturze, jego miejsce wśród reprezentatywnych duchów pokolenia zostało niedawno znów stwierdzone entuzjastyczną enuncjacją zbiorową czołowych pisarzy europejskich. W literaturze naszych czasów stoi on jako zjawisko samotne, rodzajem i natężeniem swego podstawowego zagadnienia bliższy duchom Pascala i Kierkegaalda, niż współczesnym, podejmujący odwieczne zagadnienie bytu ludzkiego z niemniejszą od tamtych tragiczną siłą i bezwzględnością—w nowej, odmiennej sytuacji historycznej.

Od tych wielkich duchów przeszłości różni się Kafka tem, że gdy tamci byli myślicielami on jest poetą — mitotwórcą najwyższej miary; jego organem jest nie analiza i myśl, ale rzeczywistość poetycka przez niego stworzona, rzeczywistość o tak potężnej suggestywności, że nikt wrażliwy nie potrafi uchylić się od magji tej przedziwnej poezji. „Proces“ Kafki wciąga nas z jakąś niemal perfidną, niesamowitą siłą w krąg swej mitycznej, jedynej w swoim rodzaju rzeczywistości bez precedensu: która nie tracąc pełnej cielesnej dotykalności, ukazuje jednak w każdym szczególe podwójne dno, jakąś migotliwą metaforyczność, aspekt jakiejś niewyraźnej nadrzeczywistości.

Dlatego książka ta fascynuje i przenika wzruszeniami skomplikowanego typu: podczas gdy bez tchu i opamiętania poddajemy się jej przedziwnej fabulistyce wchodzi w nas niepostrzeżenie dreszcz i przecucie spraw najwyższych i ostatecznych, które jakimś sposobem toczą się poza bezpośrednią akcją, jako właściwy, niewyraźnany sens tych dziejów.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J“

PEARL S. BUCK

# M A T K A

W zapadłej chińskiej wiosce, odciętej od świata żyje biedna chłopka. Pracuje i spoczywa, rodzi i grzebie, kocha i cierpi. Na tle żyznych pól ryżowych upływają jej dni napozór bliźniaczo do siebie podobne, jednak dla niej zawsze pełne treści.

Czasem przepłynie ustronną dolinę echo zdarzeń, które rozgrywają się gdzieś poza łagodnym pasmem wzgórz, na szerokim, nieznanym świecie. Zmącą sielską ciszę odgłosami walk społecznych porwą w swe tryby bezpowrotnie naprzód męża a potem ukochanego syna. Ona pozostaje na miejscu, tak zwarta i krzepka, jak wierzba, która korzenie zapuściła głęboko w rodzinną glebę. Poznajemy ją młodą i czynną, żegnamy zgrzybiałą i zmęczoną życiem. A rozstajemy się z nią pełni rozrzewnienia i serdecznej sympatii, bowiem nie sposób pozostać obojętnym wobec jej dziejów, wzruszających w swej prostocie.

Ta wieśniaczka, zrośnięta rdzeniem swej istoty z naturą, prymitywna w odruchach, a jednak zawsze pełna szlachetności, wzbudza podziw i szacunek. Mimowoli rodzi się pytanie: Czem jest cały nasz kodeks moralny wobec kultury serca? I raz jeszcze uświadamiamy sobie, że niema zasadniczych różnic w sposobie odczuwania ludzi, bez względu na kolor ich skóry, rasę czy klasę społeczną, do której należą.

Oto książka dla matek z całego świata, książka dla każdego, komu arcy ludzkie uczucia nie są obce.

**Poprzednio ukazały się;**

**BŁOGOSŁAWIONA ZIEMIA**

**SYNOWIE**

**ŁUDZIE W ROZTERCE**

**SPOWIEDŹ CHINKI**

**TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”**

FRANCISZEK MAURIAC

# CZARNE ANIOŁY

Z nieustającą pasją, z głęboką wiarą człowieka wierzącego w przyrodzoną szlachetność człowieka schodzi Mauriac na samo dno duszy ludzi przeklętych i wydziedziczonych; schodzi by w najtajniejszych jej zakamarkach, spod pyłu zbrodni, z najtragiczniejszych jej załamań wydobyć jedną niespodzianą łzę, jasną jak uśmiech dziecka. Gradère, centralna postać „Czarnych Aniołów” — to jedna z takich dusz zbrodniczych, stojąca obok najznakomitszej kreacji Mauriaca — Teresy Desqueyroux. Całe środowisko, w którym obraca się Gradère, środowisko ludzi zżartych najgorszą z ludzkich chciwości — chciwością ziemi — obraca się w atmosferze nienawiści, o krok od zbrodni. Monumentalna postać Symforjana Desbats, którego śmierci oczekują wszyscy, — biedna, zatracona w świetle Matylda, i niemniej zaplątany, uwikłany w sieciach życia syn Gradère’a — wszyscy oni znajdują się o krok od zbrodni. Ale on jeden, demon zła, szatan wcielony, ma odwagę próg ten przekroczyć, on jeden nie cofa się przed zbrodnią, obmyśla ją na zimno i nie waha się własnymi rękoma zadusić tej, która stanęła mu na drodze. I właśnie on — najpodlejszy z podłych — w zbrodni tej znajdzie oczyszczenie, które pozwoli mu — na łożu śmierci — uśmiechnąć się owym czystym i jasnym uśmiechem dziecka.

Piękna to książka, mocna i głęboko wzruszająca.

K. M.

poprzednio ukazała się

TERESA DESQUEYROUX

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”



FRANCIS DE CROISSET

# PANI Z MALAKKI

...Bohaterka p. de Croisset'a jest czarująca. Jest to Irlandka, nauczycielka angielskiego w jednej ze szkół w Calais. Los staje naprzekór jej pragnieniom: straciła ojca i narzeczonego, jest biedna i pozbawiona nadziei, mimo swej urody. Przyjaciółka jej, pani Turpin właścicielka czytelnicy, napróżno stara się ją przekonać, że stworzona jest do rzeczy wielkich; rzeczy owe bowiem jakoś się nie pokazują. Jeden tylko człowiek interesuje się panną Andrey: jest to mizerny lekarzyna wojskowy, Herbert Carter, stanowiący kompletne zaprzeczenie ideału, jaki wytworzył sobie może romantyczne serce.

Gdy Carter otrzymuje przydział do korpusu okupacyjnego na Dalekim Wschodzie, Andrey decyduje się jednak wyjść za niego; poza tem małżeństwem bowiem ukazują jej się Indje. Wyjeżdża z mężem i jeszcze na pokładzie „Rajputany“ poznaje tego, którego pokocha: to Aleksander-Mohammed Selim, sultan Udaigoru, potomek Aleksandra Wielkiego, piękny, bogaty i tajemniczy.

„Dama z Malakki“ jest skomponowana znakomicie: to książka barwna i żywa, dramatyczna gdy trzeba, zabawna gdy to jest konieczne, opowiedziana z doskonałym wyczuciem.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“

SINCLAIR LEWIS

# ANNA VICKERS

Autor uwieńczonego nagrodą Nobla, nieśmiertelnego „*Babbitta*” daje nam w niemniej świetnym utworze swoim „*Anna Vickers*” mistrzowsko nakreślony obraz ciekawego odcinka życia amerykańskiego, barwnie rozsnuty na kanwie dziejów bohaterki, stanowiących doskonale pomyślane tło powieści. Przed oczami czytelnika przesuwają się kolejno: pełen wdzięku świątek dziecięcy, uczniów i uczenie szkoły powszechnej i szkoły niedzielnej prowincjonalnego miasteczka; kolegum kobiece z jego faryzeuszowskim tłumieniem budzącego się w młodych dziewczętach zdrowego instynktu płciowego, który z natury rzeczy musi znajdować dla siebie nienaturalne ujście; pierwsze próby reformatorskie Anny na terenie opisanej z niezrównanym humorem Kwatery Głównej sufrażystek i wreszcie zbudzenie się w Annie szczerego ducha rewolucyjnego, każącego jej zrazu szukać wyładowania na terenie pracy społeczno-oświatowej w ośrodku proletariatu włosko-żydowskiego (w tomie drugim terenem tym jest udział Anny w reformie więziennictwa).

Wszystkie te poszczególne etapy życia Anny Vickers i jej zapędów reformatorskich prześwieśla ciepła, czysto kobieca nuta utajonego pragnienia miłości i opieki mężczyzny, posiadania własnego ogniska domowego, dzieci i gospodarstwa, których braku nie są w stanie zrównoważyć dla Anny sukcesy, osiągnięte przez nią na polu pracy społecznej.

Głębokie, subtelne wczucie się w duszę kobiecą, stanowiące rzadkie zjawisko w literaturze amerykańskiej, cechuje w wysokim stopniu powieść Sinclaira Lewisa'a, nadając jej — obok wybitnych walorów ideowych — czar niepospolitego arcyzmu, z jakim odtwarza autor środowiska i działające w ich obrębie postacie.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

**FRYDERYK KULLESCHITZ**

# REJS DOKOŁA ŚWIATA

Książka osiągnęła w kwietniu 1936  
Nagrodę literacką (marynistyczną)  
im. Jerzego Szareckiego.

...Z artystyczną wnikliwością w duszę czytelnika podszedł do nas z dalekich przestrzeni mórz i oceanów, młody autor, Fryderyk Kuleschitz, uczestnik niedawnego rejsu „Daru Pomorza“. Książka jego p. t. „Rejs dokoła świata“ jest przesycona wrażliwością uczuciowego rodzaju. Zawiera dużo reminiscencyj z literatury i odznacza się bystrością epickich spostrzeżeń, przełożonych na nutę serca. F. Kuleschitz znany jest z fragmentów książki, drukowanych w „Kurjerze Porannym“. Teraz jego wrażenia z wysp Hawajskich, Japonji, czy też piękne refleksje poetyckie z wyspy Mauritius, krainy tkliwego roman-su Pawła i Wirginji w powieści Bernardin de Saint Pierre, ożywają zebrane razem jak rozwinięty w desenie kolorowy wachlarz. Książka F. Kuleschitza — może wbrew intencjom autora, który starał się ograniczyć do obiektywizmu reportażysty — przedstawia dużą wartość literacką. Pogłębia ją znajomość psychologii ludzi morza i celne docieranie do istoty zagadnień społecznych.

„Rejs dokoła świata“, jako utwór marynistyczny, odznacza się ponadto znajomością techniki nawigacyjnej i wiedzy żeglarskiej oraz dokładnością terminologii. Książka zdradza rzetelny talent; cechuje ją prawdziwie artystyczne wyczucie morza, jego kolorytu i nastrojów...

**Janusz Stępowski:** „Robinsonada morska“. (Ze szkicu literackiego, wygłoszonego w Polskim Radjo, dnia 7 stycznia 1936 r.).

**TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J“**

## MARJA LESZCZYŃSKA - MITTELSTAEDT

# FRATECO

Stałam w księgarni przeglądając książki, gdy zainteresowała mnie konwersacja miłego starszego pana o mądrych, dobrych oczach z właścicielką sklepu. Z młodzieńczym zapałem opowiadał o jakiejś książce. Zaciekawiona podeszłam bliżej: okazało się, że to pan Korczak, autor prześlicznych powieści dla dzieci — zachwyca się niezmiernie dziełem nieznaney mi dotąd autorki, pani Leszczyńskiej-Mittelstaedt p. t. „Frateco“.

Czemprowadź ją nabyłam — i błogosławię zrządzenie losu, które sprawiło, że poznałam powieść, obok której bez tego polecenia byłabym prawdopodobnie przeszła, nie wiedząc.

Lekarz filantrop — w statku szkole — wychowuje garść dzieci, wybierając najzdolniejsze, najwięcej utalentowane, wszelkich narodów i ras. Lecz statek ginie, rozbijając się wśród mgieł. Ocalało tylko jedno dziecko. Zbyt małe, by pamiętać swoje pochodzenie — wynosi ze statku jako jedyną własność, pełną niezachwianej ufności miłość do ludzi, którą w maleńkie serca umiał zaszczerpić dobry doktor. Wszak hymn ich szkolny, jedyne wspomnienie z okrętu zaczynał się od słów: „Dziecię nienające nienawiści...“ I ta wciąż rozjarzona iskra miłości toruje mu drogę, budzi oddźwięk i w dzikiem sercu cygana, który go znajduje i innych różnych ludzi, do których los go zbliża. A są tu i żydzi i kupiec grecki i zarządczyni Niemka i biskup ze swoim kapelanem: wszyscy bardzo ludzcy, bardzo prawdziwi z błędami swemi, nieraz zbrodniami — i z jasnymi świetlanemi stronami, które przeblyszują wśród popiołów naniesionych przez życie.

I jest cudna przyroda bałkańskiego półwyspu, pięknem swem karmiąca sierotę, wyrzuconego przez morze u jego wybrzeży. I jest pogodna, jasna, konsekwentnie przeprowadzona, pełna wiary w przyszłość filozofja, którą warto przemyśleć — i dużo piękna, którego dalej analizować nie będę, pozostawiając czytelnikom radość z poznania się z niem osobiście i spędzenia nad tą niezwykłą powieścią kilka dobrych chwil.

TERESA SKORZEWSKA. Pani Domu.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J“

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

# TWINKO

„Twinko“ — to powieść historyczna. Akcja jej rozgrywa się na Wileńszczyźnie, w czasach ponowosilcowych. Tematem powieści jest ekspiacja syna za winy ojca, który służył Moskałom. Głęboko ujęty dramat młodego bohatera przedstawia Świętochowski na tle ówczesnej rzeczywistości polskiej, a potem na tle owej niemniej rzeczywistej, drugiej polskiej rzeczywistości — syberyjskiego wygnania. Dziś, z perspektywy dwudziestu lat niepodległości stosunek nasz do tamtych czasów inne przebiera formy; rewizję tego stosunku, — rewizję odważną, gruntownie przemyślaną i konsekwentną podejmuje właśnie Świętochowski w swej powieści.

Poprzednio ukazała się:

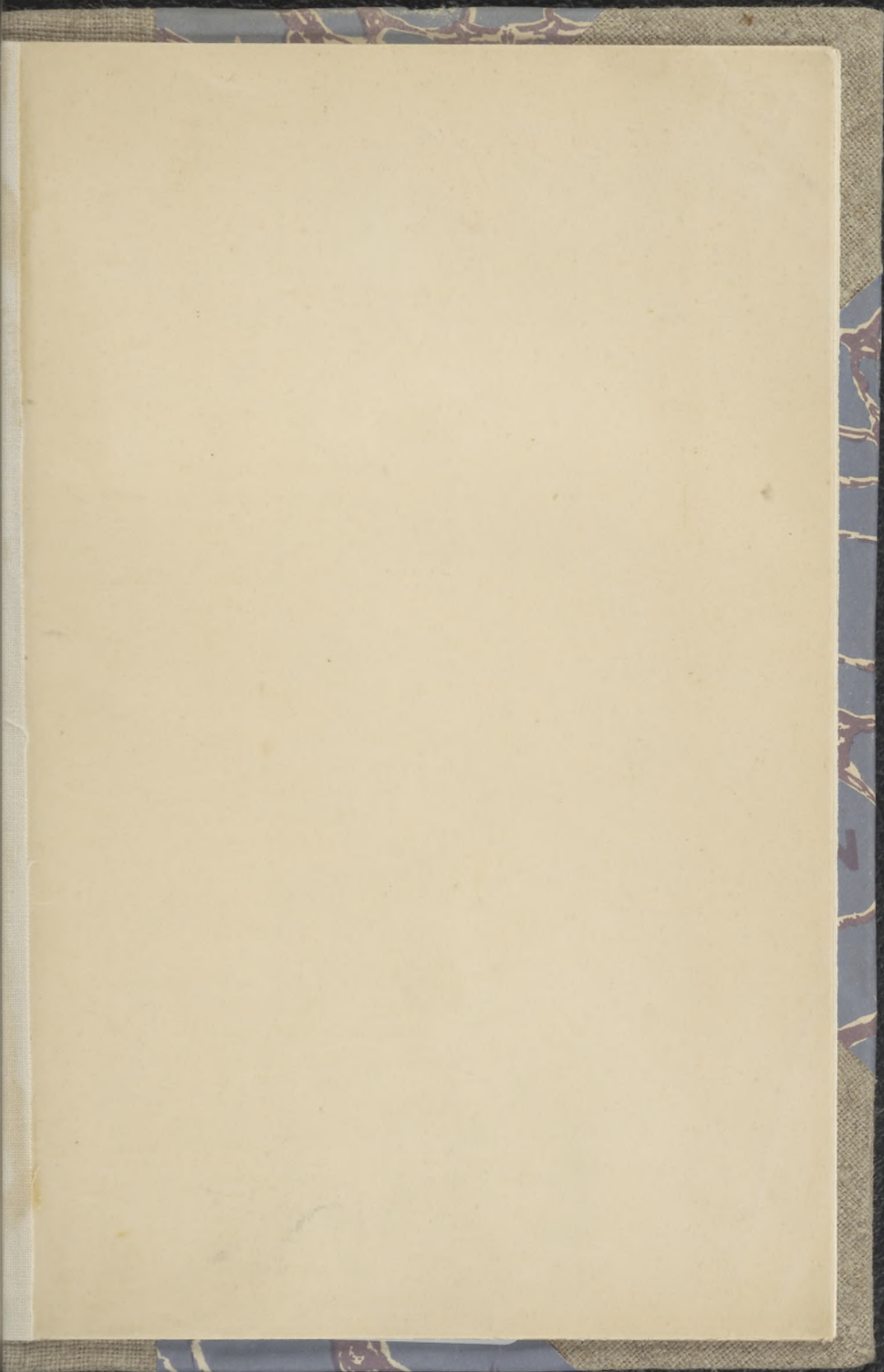
## GENEALOGJA TERAŹNIEJSZOŚCI

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J“

150-

2858/752214

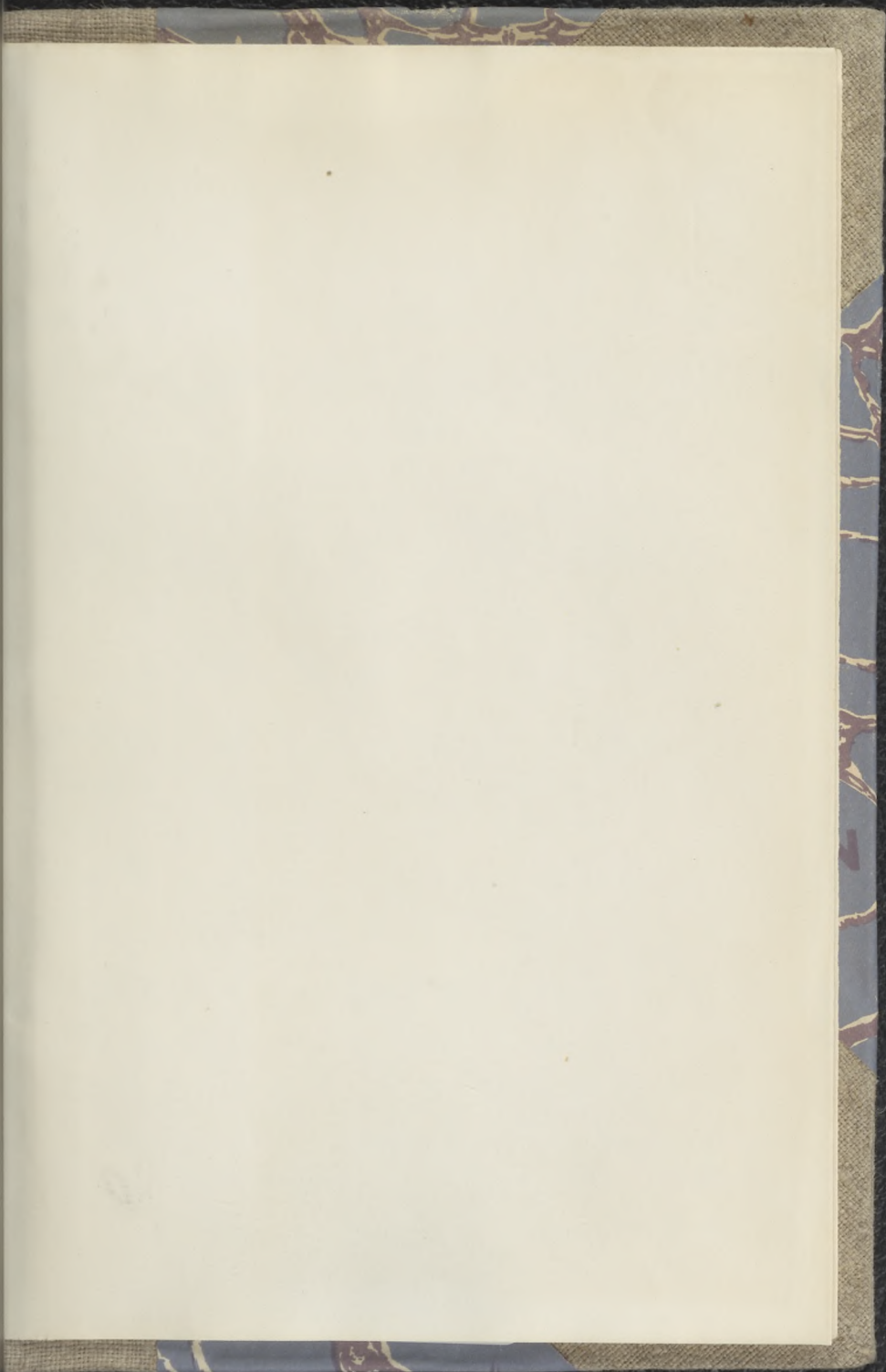
Ant Nau  
N-wa 16X  
-150-

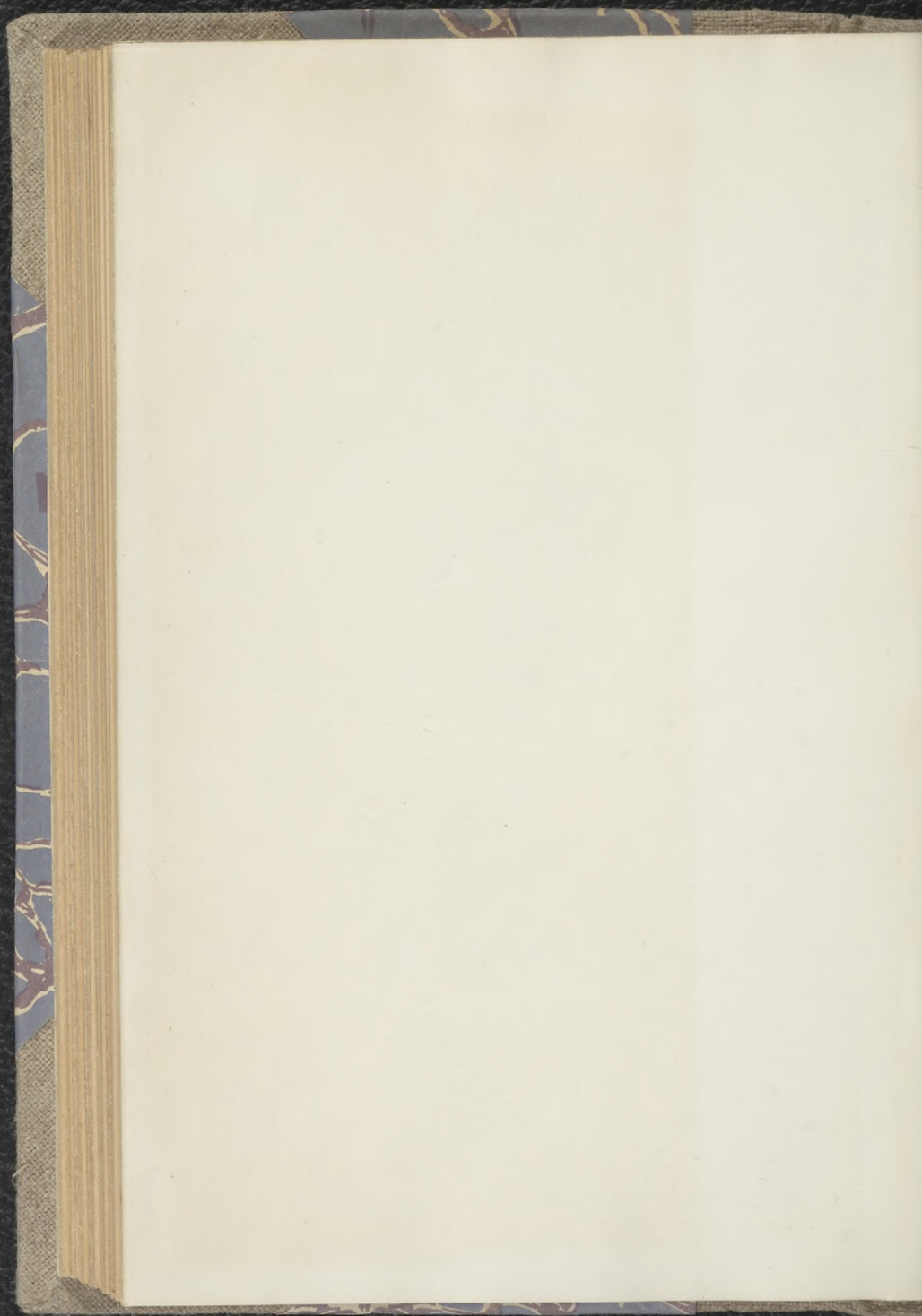




BP







Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001020674579



1461556

